T R Z E Ź W O Ś Ć

MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY, POŚWIĘCONY SPRAWIE WALKI
Z ALKOHOLIZMEM I INNEMI NARKOMANJAMI,
ORGAN POLSK. T-WA WALKI Z ALKOHOLIZMEM „TRZEŹWOŚĆ",
POL. KOMITETU DO SPRAW NARKOTYKÓW I ZAPOBIEGANIA NARKOMANJI,
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW,
KOŁA LEKARZY ABSTYNENTÓW
I WILEŃSKIEGO TOWARZYSTWA WALKI Z ALKOHOLIZMEM
I INNYMI NAŁOGAMI „MENS".

Pod redakcją JANA SZYMAŃSKIEGO.

Nr 11 - 12 LISTOPAD — GRUDZIEŃ 1938 Rok XIII

STALOWA WOLA.

(Wykład wygłoszony 12. XII. 1938 r. na otwarciu XIII Kursu Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie).

Na wschodnich kresach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej w ciągu stu lat niewoli przypominano sobie w każdym domu polskim krzepiące proroctwo, że zmartwychwstanie Polski nastąpi w dniu rozejmu największej w dziejach świata wojny ludów, o którą modlić się kazał Mickiewicz. Przepowiednia ta zapisana w klasztorze dominikańskim w Wilnie w r. 1819, jako słowa Andrzeja Boboli, wypełniła się po stu latach w sposób przewidziany w dniu 11 listopada r. 1918. Był to dzień rozejmu w wojnie światowej, największej, jaką prowadziła ludzkość. Historja nowoczesna zapisała pod tą datą zwycięstwo marszałka Focha, a kroniki militaryzmu notują, że armją tak olbrzymią, jak on właśnie, jeszcze nikt przed nim nie dowodził.

Co o takim sławnym genjuszu wojennym, my, w zagadnieniach wojskowości laicy, możemy powiedzieć nad to, że musiał być człowiekiem stalowej woli. I takie też słowo we wspomnieniach o tym wielkim wodzu przewijało się przed miesiącem, gdy świat cywilizowany obchodząc 20-lecie zakończenia wojny, musiał mówić o dniu jego tryumfu.

Ale wraz z innymi narodami, przystającymi ze wzruszeniem u grobu Nieznanego żołnierza w swoich stolicach, my Polacy mieliśmy tegoż dnia drugi powód radosnego święcenia 20-ej rocznicy. Wszak zgodnie z owem proroctwem, właśnie w dniu rozejmu wojennego, nastąpiło wskrzeszenie, po stukilkudziesięciu latach, suwerennej państwowości polskiej. Przecież w tym dniu 11-ym listopada r. 1918-go na gruzach potrójnej potęgi naszych zaborców, zaczął od nowa budować Polskę niepodległą i zjednoczoną, Józef Piłsudski, na którego życie spoglądając z perspektywy historycznej, potomność będzie musiała powiedzieć, że ten wódz nowej Polski był człowiekiem o stalowej woli.

On tak, jak tamten z całej siły woli chciał zwycięstwa i tą nieugiętą swoją wolą do niego doprowadził. Stalową niezłomnością woli, złamał kajdany niewoli, by wskrzesić wolność Ojczyzny i tchnąć w naród wolę niepodległości.

Hołd tej stalowej woli oddała Polska przed miesiącem w dniu swego święta narodowego i państwowego. A stało się ono sposobnością do obejrzenia się poza siebie. Naród popatrzył na Polskę, jak wyglądała lat temu 20 — i rozejrzał się dokoła, jak się jego państwo po latach suwerennej gospodarki przedstawia. Jakie było jego stolicy wczoraj, i jakie jest dzisiaj. Jakie zaszły zmiany w granicach Rzeczypospolitej. Rozglądając się zaś po szerokich ścianach swego domu, naród zatrzymał się u swego bałtyckiego okna na świat. Kaszubi pokazali mu na obrazku z przed 20 lat nieznaną, mizerną osadę rybacką, na wybrzeżu morskiem, a polscy admirałowie zaprowadzili do nowoczesnego wielkiego portu, rozwijającego się z rozmachem żywiołowym, w tempie iście amerykańskim, i zapewniają, że to jest ta sama Gdynia, jaką nam Niemcy zostawili po wojnie. Tylko, że tam nad morze polskie, na miniaturowe wybrzeże, wcale nieodpowiadające wielkości mocarstwa o 30 i kilku miljonach mieszkańców, przyszedł człowiek o stalowej woli i pokazał, jakich cudów woli w ciągu kilku lat i niemal z niczego dokonać może wolny naród.

Olśnieni tem rodacy przenieśli wzrok na Śląsk, na Chorzów, na Mościce i wreszcie ze zdumieniem oglądać jęli nieprawdopodobne cuda postępu w samem sercu kraju, gdzie dotychczasowe mapy Polski wykazują białą plamę nędznego pustkowia, zaniedbanego rozmyślnie przez zaborców i nawet przez własnych rodaków w pierwszym okresie samodzielnej gospodarki zapomnianego, mimo, że to właśnie trójkąt bezpieczeństwa. A tam dziś, jakgdyby, wiatr od morza nawiał z Gdyni cud wiary w siebie i jakgdyby pobliskie Mościce promieniowały wielkie tchnienie genjuszu polskiej nauki i techniki, tworzy się w Centralnym Okręgu Przemysłowym, dosłownie, nowa Polska, którą symbolizuje nazwa miasta, mającego stać się drugą polską Gdynią, śródlądową, nazwa dziwnie wymowna dla tego epokowego dzieła: Stalowa Wola.

Jej idea, to samowystarczalność dla gospodarki narodowej i zapewnienie podstaw niewzruszonych rozwojowi obrony narodowej, którą przecież w Polsce stwarzała stalowa wola Wodza.

Takie oto refleksje radosne mogli Polacy snuć z okazji 20-ej rocznicy odzyskania swej niepodległości, rocznicy, którą przeżywaliśmy co dopiero i której echa powtarzają się jeszcze dalej i teraz i nie rychło zamilkną.

Ale na rok przed tym, entuzjazm w sercach polskich budzącym obchodem, tu, w Warszawie, rozegrał się moment dramatyczny, który w niesamowity sposób ostudziłby zapał radości z powodu owych refleksyj jubileuszowych, gdyby cała Polska zechciała zaznajomić się z treścią tej tragedji narodowej. Oto w sali Teatru Polskiego w Warszawie zasiadło kilkuset ludzi różnych narodowości i wszelkich zawodów. Uczeni i politycy, lekarze i prawnicy, socjologowie i kryminolodzy, duchowni, nauczyciele i publicyści, działacze społeczni i pracownicy umysłowi. Wszyscy hołdujący wspólnej idei, która ich zwołała z różnych stron kraju i świata, na wielki kongres międzynarodowy.

Sala zapadła w ciemność, a scena zamieniła się w ogromny ekran kinowy. I naraz na tym ekranie zaczęły rozgrywać się dramaty, których

obmyśleć nie zdołałby żaden autor scenarjusza filmowego. To była przerażająca rzeczywistość, którą ukazał aparat fotograficzny.

Jego cudowne oko zajrzało w głąb studni, z której tryskają cudowne zdroje stalowej woli. Czyliż nie mózg ludzki jest jej źródłem, jako siedlisko myśli? Ten mózg, o którym nauka powiada, że trzeba go uznać za największy cud w organizmie człowieka.

Bo ta nauka zagłębiła się już w tajemniczą puszczę kory mózgowej i zbadawszy tajniki tej Boskiej stacji radiowej nadawczej i odbiorczej, umie w tym przesubtelnym aparacie gospodarować, jak inżynier w najzawilszym mechanizmie. Potrafi na kliszę fotograficzną pochwycić błyskawicznem zdjęciem nawet moment krótkiego spięcia w mózgu pod wpływem kropli trucizny, która dostanie się tam z krwią i nagle zagasi w nim światło, na podobieństwo unieruchomienia sieci elektrycznej w całym domu, skutkiem byle drobnostki. To sparaliżowanie woli ludzkiej. Zagaszenie światła świadomości.

A zabójczą trucizną, która we krwi dotarłszy do aparatu mózgowego, zdołała go znienacka unieruchomić, lub tak cały jego mechanizm zepsuć, że nadal funkcjonuje już tylko fałszywie, stała się kropla jadu alkoholowego..

Jakie potworne spustoszenie ta trucizna wyprawia w następstwach swego działania w korze mózgowej, obserwowało przez godzinę na ekranie w długim szeregu obrazów owo audytorjum kongresowe w wielkiej sali teatralnej, a prelegent, który je objaśniał naukowo, musiał co chwila przypominać, że pokazuje nie rysunki, lecz najoryginalniejsze fotografje powiększone, zdjęte z rzeczywistości w pracowni uniwersyteckiej. Tym prelegentem był znakomity uczony, jeden z najlepszych w Europie znawców mózgu, jako ścisły badacz jego tajemnic, profesor Maksymiljan Rose, chluba Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie.

Na kilka miesięcy przed swą przedwczesną śmiercią, stanął on w Warszawie przed świetnem audytorjum Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego, by mu przedstawić ilustrowane własnemi zdjęciami bezcenne wyniki swej badawczej pracy nad oddziaływaniem alkoholu na mózg, którą w ciągu kilku lat prowadził specjalnie dla przygotowania referatu na ten światowy kongres w stolicy Polski.

Dla wielu uczonych specjalistów zagranicznych, a kongresu tego pilnych uczestników, pokaz ekranowy prof. Rosego w sali Teatru Polskiego stanowił istną rewelację i stał się kongresu warszawskiego uświetnieniem.

Ale dla polskiego publicysty-społecznika godziną największego przygnębienia. Ukazał mu bowiem tragedię narodową, która nie da mu już radować się przeglądem najpiękniejszych sukcesów naszego państwa i postępów narodu w dni jubileuszu dwudziestolecia niepodległości Polski.

Jemu już wizja Gdyni, Śląska, Mościc, Rożnowa, czy Centralnego Okręgu Przemysłowego jawi się zawsze poza tragicznym woalem oparów alkoholizmu.

Jakto — spyta ktoś — cóż może mieć alkoholizm do tych niezaprzeczonych tryumfów nowej Polski? Ano, jedźmy np. do Gdyni. Wnijdźmy w to kipiące życie wielkiego portu. Zajrzyjmy za jego ku-

lisy, a napewno owioną nas tam wyziewy pijaństwa. Marynarz, czy robotnik portowy, wszelkiej kategorji pracownik wielkich przedsiębiorstw komunikacyjnych i spedytorskich, handlowych i przemysłowych, któremu dobre zarobki lub sowite zyski daje morze, topi ten zdobyty ciężką pracą, albo lekką spekulacją, grosz złoty w knajpie. Wszystko jedno czy w salonowym barze-dancingu, w towarzystwie wykwintnych kokotek i eleganckich szulerów-defraudantów, czy też w podłej spelunce portowej, w gronie ordynarnych kryminalistów i sprzedajnych dziewek z pod ciemnej gwiazdy.

Tak, niestety, od strony zakulisowej wygląda ta nasza nieomal już legendowa Gdynia, z której dziś Polska tak słusznie jest dumną. A cóż ją stworzyło, jeżeli nie stalowa wola?

Ale jeżeli tę ludzką wolę, jak nam pokazano, potrafi tak strasznie sparaliżować alkohol, zamieniający człowieka w swojego bezwolnego niewolnika, to cóż się stanie z tą naszą dumą narodową, gdy pijanych niewolników alkoholizmu przyjdzie z niej wyprzeć ktoś obcy, ktoś o woli stalowej, bo z mózgiem alkoholowymi jadami nie zatrutym?

Tu narzuca się jednak pytanie, czyżby istotnie sytuacja dla Polski była aż tak groźną. Czyż nasze społeczeństwo po odzyskaniu wolności naprawdę oddaje się pijaństwu? Czy naprawdę masowo hołduje alkoholizmowi poza notorycznymi pijakami, którzy w narodzie stanowią przecież tylko sporadyczne wypadki, a nie normę. Wszakże stan gospodarczy naszego kraju od szeregu lat nękanego bezrobociem, zbiedzonego skutkami kryzysu, nie pozwala chyba Polakom na kosztowne bądź co bądź hołdowanie kieliszkowi.

Tutaj wątpliwości rozstrzygnie wyjaśnienie znawcy tego zagadnienia. Jest nim p. Mikołaj Skiba. On sprawę alkoholizmu, jako kwestję gospodarczą w Polsce, przestudjował, jak nikt inny i doszedł w swych obliczeniach do tak sensacyjnych wyników, że wykazał, iż za te fundusze, które Polska topi w wódce, mogłaby sobie co dwa tygodnie fundować nowy port gdyński, co trzy godziny kupować najnowoczeniejszą lokomotywę do pociągów pośpiesznych, co godzinę sprawiać trzy samoloty bojowe i tak dalej, bo ta Polska umie w ciągu jednego roku na wódkę wydać miljard, ba, nawet półtora miljarda złotych! Przecież ma aż 50 tysięcy szynków i parę tysięcy fabryk napojów alkoholowych. Przecież nad przygotowaniem i rozpowszechnianiem trunków w naszym kraju pracuje 150 tys. osób. Obliczył p. Skiba, że przez mózgi obywateli polskich, te mózgi kryjące w swoich tajemniczych zwojach cudowne zdroje woli, przepływa rocznie po półczwarta miliona hektolitrów najbardziej dlań zabójczej trucizny z napojów spirytusowych. Ankiety i statystyki wykazują, że kryzysy gospodarcze nie zahamowały alkoholizmu. On szerzył się we wszystkich warstwach społeczeństwa i we wszystkich dzielnicach kraju nawet w okresach najcięższego bezrobocia.

Dlaczego mamy tak dziwne zjawisko, to nam właśnie tłomaczy alkohologja, która udowadnia, iż każda kropla alkoholu, dotarłszy do ludzkiego mózgu, niweczy wolę. A więc ten nieszczęsny niewolnik alkoholizmu nie może już normalnie myśleć na temat niebezpieczeństwa wydania ostatniego grosza w dniu, w którym staje przed nim i jego

rodziną ponure widmo braku pracy, posady, zarobku, utrzymania, ubrania, wychowania dzieci, opłacenia mieszkania.

Zgasło w jego mózgu światło myśli, zamknęła się w nim studnia tryskająca zdrojem woli. Nie może on chcieć, musi iść w niewolę nałogu narkotycznego bez względu na to wszystko, co się wokoło dzieje i co jego alkoholizm z nim samym i jego otoczeniem wytwarza.

Jak wygląda życie ofiar alkoholizmu i do czego doprowadza ich nieszczęsne rodziny, tego nie potrzebujemy szukać aż w powieściach, na scenie i w kinie, bo teatr codziennego życia wygrywa nam na każdym kroku te sceny w najdrastyczniejszej formie, bez potrzeby uciekania się do sensacyjnych rewelacyj uczonych odkrywców tej smutnej prawdy o tragicznym upadku człowieka, któremu szatan alkoholizmu zrabował skarb wolnej woli wyzwolenia się z matni więzów niewoli najpowszechniejszej, a najgorszej narkomanji.

I niepotrzeba nam studjów nad kryminologją, by się dowiedzieć, jakimi manowcami głód narkotyku wodzi alkoholika poprzez labirynty przestępczości, doprowadzające za kraty kryminału, lub nawet pod szubienicę.

Z chwilą, gdy nam pokazano, jak wygląda działanie jadu alkoholowego na mózg, nie ma już w tem wszystkiem dla nas nic dziwnego. Rozumiemy, że ten nieszczęśnik musi zdobyć nieodzowną dawkę narkotycznej trucizny, żeby swój dzień przeżyć, musi za wszelką cenę, i jeżeli na przeszkodzie staje brak środków na kupno, zdobywa potrzebne na to pieniądze oszustwem, złodziejstwem, nawet morderstwem.

Postawcież go przed sąd, wydajcie wyrok na zbrodniarza. Przecież to nie on oszukiwał, okradał, zabijał. Tym oszustem, defraudantem, tym złodziejem, włamywaczem, tym mordercą był kto inny.

Winowajcy na imię: *Alkohol.*

Zobaczmy, jak to w życiu wygląda.

Konjunktura się poprawiła. Po kilkoletniej nędzy bezrobocia, przyszedł naraz dobry zarobek. Na Pokuciu ożywił się spław drzewa z gór. Budulec odchodzi masowo za granicę. Spekulanci zjeżdżają z daleka, przepłacają drwali, byle materjał mieć co rychlej. Hucuł nigdy nie widział naraz tak dużych pieniędzy, jakie zdobył przy wypłacie.Towarzysze wciągnęli go do karczmy. Pijatyka trwała trzy doby. Już z drugiego szynku wyrzucono ich przemocą, bo dawno wszystko przepili i nie mają czem płacić, a winni za czasy bezrobocia. W domu barłóg jedynie i dzieciaki w łachmanach, baby wygłodniałe poszły na żebry. Gromadka pijaków, nie mogąc dostać wódki w trzecim szynku, zdemolowała go, podpaliła, ale wywlokła baryłkę gorzałki. Nad nią w przydrożnym rowie naszedł ich policjant, przywołany z posterunku. Wywiązała się bójka krwawa. Pijani górale rozbroili go i kolbą karabinu na śmierć rozpłatali głowę. To nie oni tej zbrodni strasznej dokonali na niewinnym policjancie. Tu sprawcą był alkohol w mózgu.

Albo inny obrazek z życia.

Kopalnia na Śląsku po dłuższym zastoju dostała ogromne zamówienia. Dochody dyrektora z dniem każdym wzrastają. Przyjaciele zaciągają go teraz na kolacje coraz kosztowniejsze. Baterje butelek odchodzą wraz z banknotami. Nawinęły się przyjaciółki podejrzane, jeszcze kosztowniejsze od przyjaciół szampańskich kolacyj. Dyrektora ni-

gdy w biurze nie ma. Zjawiają się weksle protestowane z wątpliwymi podpisami. Dochody nie wystarczyły, mimo świetnej konjunktury. Komisja bada księgi spółki. Wykrywa jakieś malwersacje, o które nie podejrzewałaby tego swego męża zaufania. Ale już w nim nie poznaje dawnego administratora kopalni. Zrozumieć nie może jego naiwnych tłomaczeń co do braków w kasie i bałamuctw w rachunkowości. Jego odpowiedzi coraz wykrętniejsze, zachowanie się coraz dziwniejsze. Wreszcie, stwierdziwszy jego anormalność, właściciele zwalniają go ze świetnej posady. A wieczorem w gabinecie restauracyjnym po libacjach z przyjaciółkami, dyrektor pali sobie w łeb z rewolweru, zostawiając żonę i dzieci z piętnem hańby na uczciwem do niedawna nazwisku.

Kto tu był sprawcą całej tragedji, jeżeli nie alkohol w mózgu paraliżujący wolę?

Podobne zjawisko obserwujemy tam, gdzie nędza bezrobocia popycha w rozpacz, która przez odmęt karczmy wtrąca na dno kryminalizmu, jak tam, gdzie wzrastający dobrobyt staje się pokusą do spróbowania rozkoszy życia szulerskiego w atmosferze knajpy, a ta swą nową ofiarę wciąga coraz głębiej i beznadziejniej w zdradliwe trzęsawisko zmarnowania zdrowia, niedostatku materjalnego i upadku moralnego.

Alkoholim jest dziwnie demokratyczny. On nie zna różnic pochodzenia, ni stanu zamożności, nie rozróżnia poziomu inteligencji, czy stanowiska społecznego. Tu nędza bezrobocia, tam kwitnący dobrobyt. Tu prosta karczma na zapadłej wsi wśród bezdroża kresów wschodnich, tam w ośrodku kulturalnym knajpa pełna urządzeń cywilizacyjnych. Tu proletarjacki szynk na przedmieściu fabrycznem, tam modny bar wielkomiejski, lub wykwintne gabinety renomowanej restauracji, czy kawiarni z zamaskowaną szulernią, czy utajonym lupanarem.

Jedno je łączy pijaństwo i jednaka ich ofiara — alkoholem zatruty mózg, cudowne narzędzie ludzkiej myśli i woli, woli, która może być, jak stal mocna, pełna charakteru, twórcza i zbawcza, błogosławiona przez potomność; i może pod wpływem alkoholowej trucizny stać się słabą, marną, nikczemną i w swej bezsilności płodzić nędzę materjalną i moralną, ducha i ciało zabijać, a przez długie pokolenia być przeklinaną.

Jakżeby nas błogosławiły generacje naszych wnuków, gdybyśmy im w spuściźnie po dzisiejszej Polsce pozostawili w rozkwicie tworzone teraz nowe okręgi przemysłowe w centrum państwa, a na jego kresach takie dzielnice, jak Śląsk, takie bezcenne klejnoty, jak Gdynia, czy Mościce, taką w całym kraju sieć kolejową, jak węzeł bogumiński, ulepszone zagłębia węglowe i naftowe, zamienione na kulturalne uzdrowiska gór naszych skarby, bez zniszczenia ich pierwotnego piękna malowniczej przyrody.

A tymczasem wystarczy dokądkolwiek przyjechać, gdzie rozwijać się zaczyna turystyka, by się spotkać z żalami księdza, nauczyciela, czy społecznika na niepokojące rozpijaczenie się ludu. Słyszy się to w Zakopanem, czy Szczawnicy, pod Żywcem, czy w Wiśle, i tam, gdzie z ziemi tryska nafta i gdzie się udają polskie winnice, gdzie złoto rodzą morelowe sady. Nie jest od tej klęski wolne Podole, Wołyń, ni Polesie. Usłyszysz te same narzekania na Wileńszczyźnie i na Mazowszu. Cała Polska zachodnia dotknięta plagą alkoholizmu, a wielka Łódź fabrycz-

na w zawody idzie pod tym względem z zagłębiami węglowemi. Prym wiedzie stolica państwa. A Centralny Okręg Przemysłowy przypomina tempem rozbudowy i rozwojem pijaństwa Gdynię.

Przerażenie tedy ogarnia społecznych działaczy przeciwalkoholowych na ten widok, lekceważony może przez ludzi, nie zdających sobie jeszcze sprawy z niebezpieczeństwa wogóle tej choroby społecznej, jaką jest alkoholizm współczesny w życiu państw kulturalnych, zmuszonych ciągle mieć na względzie obronę narodową.

Czyż możemy pozwolić, by to, o symbolicznej nazwie miasto przyszłości, ta dumna Centralnego Okręgu Przemysłowego stolica, gdzie na schwał, jak grzyby po deszczu, wyrastają w amerykańskiem tempie zakłady fabryczne, zapewniające nam samowystarczalność i obronność państwa, by ta Stalowa Wola podmytą została przez powódź alkoholizmu? Póki jeszcze pora, trzeba śpieszyć na ratunek!

Łatwo zauważyć, że gdziekolwiek buduje się nowy gmach, przy którym pracę znajduje dużo ludzi, tam najbardziej cieszy się szynkarz z pobliskiego rogu. Żaden sklep w okolicy budowy nie zyska tyle, co ten szynk, którego lokal odrazu stał się centrem życia całej dzielnicy. Ona była dotychczas spokojna, porządna. I naraz zamieniła się w hałaśliwą, brudną, gdzie po nocach wyprawia się na ulicach pijackie awantury, krwawe burdy, a bezpieczeństwo publiczne zanikło. Bo tu, jak muchy do miodu, w ślad za ożywieniem się lokalu szynkowego, zbiegają się w okolicę nowej budowy wydrwigrosze, operujący hazardem, a za nimi ciągną w te strony, nie wiadomo skąd wietrzące żer ladacznice, złażą się lichwiarze, kręcą się handełesi, za bezcen skupujący ostatnią marynarkę dla dostarczenia robociarzowi grosza, potrzebnego dla szynkarza za wódkę.

Uprzytomnijsmy sobie, że tak samo, jak ta budowa wielkiego gmachu na narożniku ulic miejskich, tak i budowa okręgu przemysłowego w centrum państwa, tak nas słusznie radująca i taką dumą narodową napawająca, daje powód do zacierania rąk przedewszystkiem wszelkiego rodzaju szynkarzom i wszystkim zawodom pokrewnym, któreśmy zaobserwowali przy budowie jednego gmachu, tylko, że tutaj wszystko to należy zwielokrotnić i wraz z rozszerzonym terenem powiększyć skalę skutków i następstw.

Przez takie też okulary należy nam spoglądać na budowę i tego Centralnego Okręgu Przemysłowego i na olbrzymią budowę gmachu nowej Polski.

Na dalekim zachodzie, gdy się widzi, co się dzieje pod wpływem szynku i jego satelitów na budowie nowej dzielnicy wielkiego miasta, posyła się jakąś armję zbawienia, która po swojemu ratuje rzeszę ludzi pracy od zmarnienia i całą okolicę od upadku moralnego.

Polska potrzebuje nie tylko tej w centrum państwa żelazobetonowej Stalowej Woli. Polsce do życia, do utrzymania się między wrogimi żywiołami, do rozwoju mocarstwowego i do rozkwitu obronności państwa, potrzeba woli zaiste stalowej, żadną trucizną nie wyniszczonej, nawet nie osłabionej, nie wycieńczonej nadużyciem. Musi ją przenikać, jak stal nieugięta, wola bytu narodowego suwerennego, wola niepodległości nie tylko politycznej, ale i kulturalnej, ale i gospodarczej, wola wyzwolenia się z wpływów obcych i z cudzej zależności, wola prężności

rasy polskiej w szeroki świat przez wrota gdyńskie, wola przodowania ludzkości duchem wielkich uczonych i myślicieli, wielkich twórców i artystów, budowniczych nowych ustrojów i nowych na świat poglądów.

Ta wola, żadnym jadem nie zniweczona, tryskać musi z mózgów rządu i samorządu, armji i parlamentu, rodziny i szkoły, nauki i sztuki. A cóż się stanie z mocą tej woli, jeżeli przez mózgi miljonów obywateli naszego państwa, za miljardowe co rok sumy, potrzebne na szkoły i obronę, na unarodowienie handlu i przemysłu, przepływać dalej będą miljony hektolitrów zabójczej trucizny alkoholowej. To samo przecież, co alkohol, robi z jednostką, dokonywa ze społeczeństwem. Lecz o ileż to groźniejsze dla państwa.

Cóż będzie z Polską, jeżeli przyszłość jej zbuduje naród-alkoholik, który przez zatrucie mózgu zatracił wolę. Wszakże my wolą stalową mamy sobie pobudować potężne floty, morską i powietrzną, mamy kraj cały zmotoryzować i zelektryfikować do wielkich potrzeb cywilizacyjnych.

Naród, który wydał z siebie na użytek ludzkości Kopernika i Skłodowską, Mickiewicza i Szopena, Stwosza i Matejkę, nie może pozwolić na masowe zatruwanie swego mózgu, targanie swych nerwów, zabijanie serca, w którem od lat tysiąca pielęgnuje ideały Chrystusowe dla dobra i innych ludów.

Naród, który wśród swych bohaterów ma Jadwigę i Sobieskiego, ma Kościuszkę, Trauguta i Piłsudskiego, nie może bezkarnie patrzeć na zwyrodnienie swych następnych pokoleń. Musi ocalić przyszłość swej rasy jako pełniący od wieków szczytne posłannictwo dziejowe przedmurza chrześcijaństwa.

Widząc, że tej przyszłości budowa jest zagrożoną, Polska musi na ratunek zmobilizować armję zbawienia. Armję, która rzeszy nieuświadomionych jeszcze potrafi dla przestrogi wyjaśnić, jakim dla mózgu niebezpieczeństwem jest każda kropla dostającego się w ciągu kilku minut ze krwią jadu z codziennych napojów alkoholowych. Armję, która oduczy społeczeństwo od tradycyjnych zwyczajów pijackich. Armję, która wpoi w naród potrzebną na codzień w życiu jednostki i państwa ideę powszechnej, bezwzględnej trzeźwości.

Bez trzeźwości Polska zmarniałaby rychło, bo, tracąc wolę, popadłaby w niewolę.

Ta nasza ratunkowa armja zbawienia, — to zastępy abstynentów, społecznie zwalczających plagę alkoholizmu.

Kadry tej armji obywatelskiej, której w udziale przypadła tak zaszczytna rola ocalenia mózgu Polski, by nadal z jego cudownych zwojów mogła tryskać niezatartym zdrojem twórcza i ożywcza wola stalowa, to słuchacze Kursów przeciwalkoholowych, którzy, zdobywszy z własnej, nieprzymuszonej woli najnowsze wyniki naukowej wiedzy o szkodliwości alkoholizmu, rozejdą się po kraju, by ją szerzyć w swojem otoczeniu.

Organizatorzy tych dorocznych Kursów patrzą na Was, Panie i Panowie, jako na ofiarnych w służbie Polski żołnierzy - ochotników.

Oby zdobyta tu wiedza wykrzesała z Was stalową wolę zwycięstwa!

Kraków. *Kazimierz Kalinowski.*

CZYNNIK SPOŁECZNY W WALCE Z ALKOHOLIZMEM.

(Referat wygłoszony na „Dekadzie Trzeźwości“ dn. 10.XII. 38).

Wyraz „alkoholizm“, jako termin naukowo-lekarski, oznacza ogół zjawisk patologicznych o charakterze psycho-fizjologicznym, spowodowanych zatruciem wskutek używania napojów spirytusowych.

Dziś ogólnie wiadomo, że trucizna ta wywołuje nie tylko rozstrój organizmu ludzkiego w postaci miażdżycy naczyń wieńcowych, choroby nerek, wątroby i różnych zboczeń psychicznych, lecz przedewszystkiem godzi w istotę przeznaczenia człowieka, „łamie i niszczy udział jego w rozbudowie życia społecznego, paczy i zniekształca fizycznie i duchowo jego potomstwo“ [1]).

Znany działacz społeczny i minister Gladstone w jednym ze swych słynnych przemówień w parlamencie angielskim określił klęskę alkoholową, jak następuje: „Alkohol rujnuje więcej, niż trzy klęski historyczne: głód, dżuma i wojna, on niszczy więcej niż głód i dżuma, zabija więcej niż wojna, on gorzej niż zabija, gdyż *hańbi*“.

Wobec powyższego nie będziemy omawiali zastraszających skutków, jakie wywiera alkoholizm, zastanowimy się tylko nad środkami walki z tą okrutną klęską, która odgrywa tak dużą rolę w życiu poszczególnych społeczeństw całej niemal ludzkości.

Z punktu widzenia walki z alkoholizmem, ludzi, używających i nadużywających alkoholu, można podzielić na dwie zasadnicze kategorje:

Pierwszą stanowią alkoholicy nałogowi. Są to zazwyczaj ludzie chorzy, obarczeni dużym rejestrem kryminalnym. Z nimi mają do czynienia przeważnie sądy i lekarze.

Do drugiej kategorji, najliczniejszej, należą ludzie, którzy nie używają alkoholu nałogowo, lecz upijają się „okolicznościowo“; w święta i niedziele, w towarzyskiem kółku, na zebraniach i przy różnych innych okazjach, które, niestety, zdarzają się zbyt często, a przeto takie używanie napojów spirytusowych w prędkim czasie przeistacza się w przyzwyczajenie, a przyzwyczajenie, jak wiadomo, staje się drugą naturą, z którą walka jest bardzo ciężką.

Artykuł niniejszy ma na celu omówienie środków walki z tą drugą kategorją ludzi, używających alkoholu, którym znany prof. Forel trafnie nadał miano „wstrzemięźliwych pijaków“, stanowiących „źródło alkoholizmu“. „Gdyby się udało w jakiś czarodziejski sposób, twierdzi prof. Forel, wytępić wszystkich nałogowych pijaków, to, po kilku latach, przybędzie tyluż, jeżeli nie więcej. Przecież dużo nałogowców pijaków umiera przedwcześnie wskutek różnych chorób, spowodowanych używaniem alkoholu, ogólna zaś liczba ich się nie zmniejsza. Natomiast, gdyby udało się odrazu przekształcić wszystkich „wstrzemięźliwych“ w „absolutnych abstynentów“ — w przeciągu bardzo krótkiego czasu alkoholicy zniknęliby jakby ich wcale nie było“.

Jakież są środki walki?

Jeżeli objąć w ogólnym zarysie wszystkie stosowane dotychczas środki walki z alkoholizmem, to należy przyjść do wniosku, że są one

---

[1]) Prof. Alfred Toulier: „Psychologie du peuple Français“.

oparte na dwóch zasadniczych czynnikach: na przymusie i na uświadomieniu. Przymus stosuje *władza*, uświadomienie — *przeważnie społeczeństwo*.

Zastosowanie przymusu w postaci kary względem osób, które popełniły czyn występny pod wpływem odurzenia alkoholowego, oraz środków zabezpieczających, jeżeli zagrażają niebezpieczeństwem porządkowi publicznemu, *jest niezbędnem*, albowiem kara, jako środek penitencjarny, miała zawsze na celu utrwalenie wśród ogółu poczucia praworządności, oraz powstrzymania od popełnienia przestępstw wyspołecznione kierunki woli ludzkiej pod groźbą następstw prawnych.

Czy jednak cel walki z alkoholizmem, ewentualnie z czynami występnymi, popełnionymi na tle opilstwa, za pomocą stosowania kary, polegającej na krótkoterminowym pozbawieniu wolności, zostaje osiągnięty?

Środki ustawowe, oparte na przymusie i przemocy, aczkolwiek, powtarzamy, są niezbędne w walce z alkoholizmem, same przez się nie posiadają siły cudotwórczej do przekształcenia wad i ułomności natury ludzkiej, do zwalczania warunków otoczenia, mających kolosalny wpływ na ustosunkowanie się jednostki do warunków normalnego współżycia społecznego.

Wobec powyższego czynnik społeczny, polegający na uświadomieniu szerokich mas o szkodliwości alkoholu i mający na celu zapobieżenie używaniu i nadużywaniu alkoholu, odgrywa coraz donioślejszą rolę.

Jeżeli alkoholizm, według trafnego określenia prof. Schillig-Siengalewicza [2]), jest „pandemją toksyczną", a więc chorobą, to w walce z tą chorobą stosować należy przedewszystkiem najnowsze zasady, zalecone przez naukę medycyny. Jeżeli kolosalny rozwój nauki medycyny w okresie ostatnich kilkudziesięciu lat wysunął na pierwszy plan: a) obok leczenia poszczególnych chorób, całą olbrzymią dziedzinę środków profilaktyki,—zapobiegania chorobie i utracie zdrowia, oraz wzmocnienia sił człowieka i b) stosowanie środków leczniczych nie tylko odpowiadających objawom choroby, lecz odpowiadających cechom psychofizycznym pacjenta, to w walce z alkoholizmem należy również stosować środki profilaktyczne i zapobiegawcze o charakterze indywidualnym, w szczególności, gdy chodzi o młodzież i dzieci, wśród których szerzenie się alkoholizmu przyjmuje wprost zagrażające rozmiary [3]).

Nieletni stanowią rdzeń społeczeństwa, decydują o przyszłości narodu i przeto ich zdrowie moralne, ochrona i obrona przed deprawującym i gwałcącym ich duszę i niszczącym ich ciało alkoholem stanowi najpoważniejszy i święty obowiązek nie tylko państwa, lecz, i to przeważnie, społeczeństwa.

Wielki problemat wychowania i edukacji nieletnich rozstrzyga przedewszystkiem rodzina, główna i zasadnicza komórka organizmu społecznego, a przeto funkcję pozytywnego uświadomienia o szkodliwości alkoholu pozostawia się przedewszystkiem wychowaniu domowemu.

---

[2]) „O możliwości objektywnego określenia stopnia odurzenia alkoholowego".

[3]) Prof. Z. Hryniewicz: „Nie dawać dzieciom alkoholu". Jan Szymański: „Alkoholizm i przestępczość". Dr. J. Neczaj - Hruzewicz: „Alkoholizm wśród dzieci szkół powszechnych 1937 r.".

Wpływ rodziców na dzieci jest kolosalny. Tu decydują się wyniki wychowania fizycznego i umysłowego, tu bezpośrednio dziecko, przyszły człowiek, otrzymuje uzbrojenie i kapitał żywy, z którym wejdzie w życie.

Tymczasem wiele dzieci wychowuje się po prostu na ulicy... Jak często, niestety, dom rodzinny jest jaskinią zbrodni...

Takie porzucone lub pozostawione w ciężkich warunkach życiowych dzieci należy ratować za wszelką cenę i wszelkimi sposobami!

Ustawy, wydane w pierwszej połowie XIX stulecia w Anglji i w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn., nadają prawo nie tylko władzom bezpieczeństwa publicznego, lecz i każdemu obywatelowi skierowywać do Sądu dla nieletnich dzieci porzucone, zajmujące się żebractwem, włóczęgostwem i t. p., oraz zawiadamiać Sąd o rodzicach, prowadzących niemoralny tryb życia, a przeto deprawująco wpływających na dzieci.

Sędzia umieszcza takie dzieci w specjalnych zakładach wychowawczych, lub poprawczo-wychowawczych.

W walce z przestępczością nieletnich wywołaną przeważnie na tle używania alkoholu w Anglji, Norwegji, Szwecji i innych krajach kulturalnych, osiągnięto nadzwyczajne wyniki, zawdzięczając jedynie energicznej współpracy różnych organizacyj społecznych w postaci patronatów, dozoru kuratorskiego (Borstal Association, Boys beades, Probation, Visiting Committee i t. p.).

Działalność dozoru kuratorskiego i patronatu rozpoczyna się już od chwili umieszczenia nieletniego w zakładzie wychowawczym, lub poprawczo-wychowawczym i trwa w ciągu określonego czasu i po zwolnieniu z tych zakładów; kurator obowiązany jest zaznajomić się z warunkami życia rodzinnego powierzonego jego nadzorowi nieletniego, z właściwościami i skłonnościami jego charakteru. Wiadomości powyższe w wysokim stopniu ułatwiają zastosowanie względem nieletniego odpowiednich środków wychowawczych. Po zwolnieniu z zakładu wychowanka, kurator umieszcza go w t. zw. pomocniczych domach pracy (Auxiliary Homes, Workingboy‘s homes), wyszukuje dla niego pracę, której on nie ma prawa porzucić bez zgody kuratora. Gdyby zwolniony wykazał objawy powrotu do nienormalnego trybu życia, to, na wniosek kuratora, może być umieszczony w specjalnym poprawczym zakładzie na określony czas.

Ograniczmy się do powyższej krótkiej wzmianki o wychowawczych zakładach w Anglji, gdyż kwestja powyższa była już szczegółowo omówiona w „Trzeźwości“ Nr. 5 - 6 r. 1936 w artykule p. t. „Przestępczość nieletnich“ i w „Gazecie Administracji“ październik 1938 — p. t. „Walka z przestępczością w Anglji“.

W dobie obecnej we wszystkich państwach kulturalnych rozpoczął się głęboko sięgający ruch walki z demoralizacją nieletnich przez wprowadzenie w życie różnorodnych zakładów wychowawczych i poprawczych, oraz za pomocą szerokiej działalności opieki społecznej, która stara się, aby dzieci i młodzież w szkołach, uświadomione były o istocie niebezpieczeństwa alkoholizmu.

Przechodząc do rozważenia ogólnych środków, stosowanych przez społeczeństwo w walce z alkoholizmem, należy przedewszystkiem zazna-

czyć, że ruch przeciwalkoholowy rozpoczął się w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. w początkach XIX wieku, utworzeniem w Moreau pierwszego towarzystwa przeciwalkoholowego. W ślad za Ameryką powstają w Anglji „Towarzystwa abstynentów“, które w drugiej połowie XIX stulecia pokrywają szeroką siecią całą Europę środkową; są to towarzystwa Błękitnego Krzyża, Dobrych Templarjuszów, Ligi Katolickiej i t. d.

Obok towarzystw przeciwalkoholowych powstają Poradnie i Zakłady lecznicze dla alkoholików, mające przeważnie charakter instytucyj prywatnych, czerpiących dochody ze składek członkowskich, niestałych danin publicznych, gminnych i prywatnych.

Tak zorganizowana opieka nad używającymi napojów spirytusowych obejmuje wszelkie formy i typy alkoholizmu, mając na celu przedewszystkiem zadanie filantropijne społeczno-wychowawcze, społeczno-profilaktyczne i lecznicze.

Do poradni przeciwalkoholowej może się zwrócić o pomoc dobrowolnie każdy obywatel; o każdym, nadużywającym napojów spirytusowych może zawiadomić poradnię rodzina, otoczenie, pracodawca i t. p.

Byłoby bardzo pożądane, żeby każdy pijak zatrzymany przez władzę policyjną, nie tylko mógł być doraźnie unieszkodliwiony przez to, że prześpi się na posterunku, lecz żeby był skierowany do poradni przeciwalkoholowej.

Poradnia, po przeprowadzeniu przez pielęgniarkę wywiadu, zaprasza obciążonego nałogiem, objaśnia mu szkodliwe następstwa używania napojów spirytusowych, dla niego osobiście, dla otoczenia, społeczeństwa i państwa i radzi prowadzić tryb życia trzeźwy.

Niepoprawni alkoholicy podlegają umieszczeniu w zakładach pracy, lub na kolonjach rolniczych, chorzy — w specjalnych sanatorjach, lub lecznicach.

Walka z alkoholizmem, ażeby mogła osiągnąć odpowiednie skutki, powinna być podjęta przez całe społeczeństwo. Opieka społeczna, popierana oczywiście przez wszystkie czynniki publiczne, powinna przybrać formy i treść profilaktyki społecznej, skierowanej do rozpowszechnienia wśród wszystkich warstw ludności wiadomości o groźnych skutkach używania alkoholu we wszystkich jego postaciach. Należy starać się przekonywująco udowadniać, że alkohol jest straszną trucizną i że w żadnym wypadku, nie może być uważany za środek obojętny, przy używaniu go wewnątrz; należy wywołać, przeważnie wśród młodzieży, wstręt do napojów spirytusowych.

Jaką doniosłą siłę posiada umiejętnie prowadzona propaganda dowodzi działalność znanego kapucyna O. Mathew, który, jak to stwierdza prof. Hercod, tak porywał żywem słowem i wywoływał tak entuzjastyczny ruch wstrzemięźliwości w Irlandji, że w ciągu kilku miesięcy w m. Dublinie zamknięto 237 szynków, ilość wkładów do kasy oszczędnościowej przekroczyła 200%, a przestępczość zmniejszyła się o 75%.

W tym przypadku mamy do czynienia, jak to słusznie zaznaczył prof. Pieńkowski, z sugestją, zrozumianą w najlepszem znaczeniu tego słowa, która wytwarza takie nastawienie w cudzej psychice, przy którem wysoce ułatwione jest działanie dowodów rozumowych.

„Jedną z głównych przyczyn dotychczasowych niepowodzeń w wal-

ce z alkoholizmem, jak to słusznie zauważył p. redaktor „Trzeźwości“ w artykule p. t. „Nasze Zadania“, był „brak ciągłości w tej akcji, brak czynnego udziału szerszych mas ludności, dorywczość i brak organizacji“.

Człowiek jednak jest stworzeniem społecznem i poza społecznością żyć nie może, interes zaś społeczeństwa polega na tem, ażeby, jak najwięcej podnieść wartość społeczną swych członków, a osiągnąć to można przedewszystkiem za pomocą trwałej walki z alkoholizmem, który paczy i zniekształca fizycznie i duchowo nie tylko jednostkę, używającą napojów spirytusowych, lecz i jej potomstwo.

Co więc stoi na przeszkodzie?

Często daje się słyszeć, że walka ta jest bezcelowa i zbędna, gdyż nawet państwo nie tylko nie walczy z alkoholizmem, lecz daje możność ludziom korzystać z napojów wyskokowych, gdyż ma monopol spirytusowy.

Dziwna rzecz! Gdy chodzi o walkę z klęską społeczną, to w tej chwili mówi się o Państwie, że ono jest temu winne, że ta klęska istnieje!

Państwo za pomocą całego szeregu przepisów, zawartych w ustawach karnych, walczy z nadużywaniem alkoholu, nie może jednak państwo załatwiać tego rodzaju sprawy, gdzie działać powinno samo społeczeństwo, gdzie wtrącenie się władzy państwowej, mogłoby dać tylko ujemne skutki. Wystarczy przypomnieć sobie wyniki wprowadzonej w Stanach Zjednoczonych Ameryki Półn. ustawy prohibicyjnej...

Twierdzą ponadto, że popieranie i przekształcanie dorosłych ludzi o ustalonym charakterze i uformowanych przyzwyczajeniach, stanowi czcze marzenie i złudzenie, wynikające z bezpodstawnego idealizmu, że tylko młode pokolenie należy tak wychowywać, aby nie piło.

Jest to jednak dziwny, a nawet wysoce szkodliwy przesąd, nie mający żadnych naukowych i życiowych podstaw.

Nasze wewnętrzne przeświadczenie stanowczo stwierdza, że pod wpływem zmiany warunków, w których żyjemy, zmienia się i nasze wewnętrzne „ja“.

Poucza nas o tem doświadczenie. Każdy chyba słyszał, lub widział, że człowiek dorosły, pod wpływem innej osoby, lub zmiany otoczenia, jak się to mówi, zmienia się „do niepoznania“. Czy to nie jest przekształcenie już uformowanego dorosłego człowieka?

Oczywiście poprawienie i przekształcenie dorosłych w porównaniu z wychowaniem dzieci będzie wymagać dużo więcej czasu, pracy, cierpliwości i wytrwałości, jednak ten, kto dąży do skutecznych wyników swojej działalności, powinien być przygotowany do pewnych wysiłków, celem stworzenia i zastosowania nie oderwanych i nie skoordynowanych, lecz dobrze i dokładnie obmyślonych i rozważonych środków i sposobów.

żeby nie być gołosłownym, powołam się na dane konkretne, które w zupełności stwierdzają skuteczność działalności instytucyj społecznych w walce z alkoholizmem.

*

Profesor psychjatrji w Stockholmie Olaf Kingberg w pracy p. t. „La loi suédoise au traitement des alcooliques“, stwierdza, że instytucje społeczne w walce z alkoholizmem dały znakomite wyniki. Ilość wypadków zjawienia się na ulicach w stanie opilstwa, zmniejszyła się

o $^2/_3$; wypadki zachorowania na tle alkoholizmu, wedle statystyki szpitalnej, zdarzają się coraz rzadziej; ostre zaś pomieszania zmysłów wskutek nadużycia alkoholu znikły prawie całkowicie.

W ciągu ostatnich 10 lat, według danych statystycznych, w Szwecji nie ma wypadków, aby kobiety popełniały przestępstwa z powodu brutalnego zachowania się w stosunku do nich, lub znęcania się nad niemi małżonków, w stanie opilstwa. Na podstawie danych statystycznych, przytoczonych u H. Gielb'a (Organizacja wymiaru sprawiedliwości w Szwecji) w r. 1935 w Szwecji, mającej około 6.500.000 ludności, we wszystkich więzieniach szwedzkich na 1 września było 1728 mężczyzn i 89 kobiet, wówczas, gdy w 1880 r., gdy ludność wynosiła około 4.800.000, przestępców w więzieniach było 5.392.

Taki nadzwyczajny spadek przestępczości, zdaniem Gielb'a, został wywołany przez skuteczną działalność organizacyj społecznych w walce z przestępczością wogóle i w szczególności z alkoholizmem.

Dr. Peter Hök w swej pracy „Szwedzki ruch przeciwalkoholowy", przytacza bardzo interesujące dane, stwierdzające kolosalny sukces propagandy przeciwalkoholowej, prowadzonej przez szwedzkie organizacje przeciwalkoholowe. („Trzeźwość", Nr 11 - 12 r. 1937).

Święto Wniebowstąpienia Pańskiego uznane jest w Szwecji za dzień walki z alkoholizmem. W r. 1937 dnia tego odbyło się w 900 miejscowościach zebrania, w których wzięło udział przeszło 200.000 osób. Organizacje przeciwalkoholowe liczą przeszło 700.000 członków, co stanowi $^1/_{10}$ część ludności Szwecji.

Pismo „Dobro Narodu", — organ chrześcijańskich abstynentów, wychodzi w 60.000 egzemplarzy; Związek Centralny dla nauki o alkohologji posiada specjalne pismo, „Reformatorn", które w r. 1936 miało obrotu 429.589 koron. Ponadto Szwecja posiada jeszcze kilka czasopism, mających w swoim programie bezwzględną walkę z alkoholizmem, jak np. „Tirfing" i in.

Sześć największych organizacyj ma dochodu 1.190.211 koron rocznie, wartość zaś nieruchomości, do nich należących. wynosi, nisko policzywszy, 28.160.000 koron szw. Przytoczone liczby mówią same za siebie i nie potrzebują komentarzy.

Stanisław Czerwiński.

O ALKOHOLIZMIE WŚRÓD DZIECI SZKÓŁ POWSZECHNYCH MIASTA WILNA.

(Badanie statystyczne).

Ankieta na temat alkoholizmu wśród dzieci szkolnych na terenie szkół powszechnych m. Wilna była przeprowadzona dwukrotnie przez Dra *S. Brokowskiego* w latach 1925 i 1930. Obie ankiety wykazały, że wileńska dziatwa szkolna używa w różnym stopniu napojów alkoholowych — tak jak i ich rówieśnicy w innych dzielnicach naszego Państwa.

Badania statystyczne *K. Hrabina* ze Śląska, *Ks. Sopoćki* i *J. Szmurły* z Warszawy, *Kaczorowskiego* ze Lwowa, *B. Mikłaszewskiego* z Łodzi, *Neczaj - Hruzewicza* z całej Polski wykazały, że dzieci w wieku

szkolnym w innych miastach i na wsi także używają napojów wyskokowych w mniejszej, lub większej ilości.

Obserwacje powyższe stwierdzają więc, że nałóg alkoholizmu jest wśród dziatwy szkolnej rozpowszechniony.

W pracy niniejszej chodziłoby o ustalenie tego zjawiska w liczbach na terenie szkół powszechnych miasta Wilna, oraz o stwierdzenie ewentualnych zmian ilościowych w porównaniu do badań w roku 1925 i 1930. Badania obecne zostały przeprowadzone na terenie prawie wszystkich szkół powszechnych chrześcijańskich i żydowskich w formie indywidualnych pisemnych ankiet. Ankiety te zostały rozesłane do szkół w ilości około 13 tysięcy i obejmowały dziatwę obu płci od III-go oddziału do najstarszych. Młodzież szkolna w wieku mniej więcej od lat 9 do 14 chętnie dawała wyczerpujące odpowiedzi na pytania, zawarte w ankiecie. Ogółem odpowiedzi otrzymałem 10.900.

Zestawienie wyników.

Zebrany materjał statystyczny pozwolił na ułożenie czterech tablic, ilustrujących dość szczegółowo zagadnienie alkoholizacji dzieci szkolnych wileńskich.

Tablica pierwsza wykazuje ogólny stan używania napojów wyskokowych bez różnicy płci i wyznania.

Tablica I.

Ogólna liczba ankiet	Zna smak alkoholu	Nie zna smaku alkoholu	Pije codziennie	Pije więcej niż raz w tygodniu	Pije raz w tygodniu	Pije raz na miesiąc	Pije od czasu do czasu	Dostaje alkohol w domu	Pije poza domem	Kupują alkohol sami
10,900	10.234	666	45	207	575	1.222	7.866	9.223	1.593	68
	93,8%	6,2%	0,4%	1,9%	5,3%	11,2%	72,1%	84,6%	14,6%	0,6%

Z powyższej tablicy wynika, że na 10.900 dzieci zapytanych — 666 nie zna smaku alkoholu, co stanowi 6,2% ogólnej liczby odpowiadających. Są to abstynenci w pełnym słowa tego znaczeniu. Można do tej liczby dodać jeszcze dzieci, znające smak alkoholu, ale wogóle nie pijące;takich chłopców i dziewcząt było 845, co łącznie stanowiłoby liczbę 1511 dzieci, nie żywających alkoholu, czyli 13,7% ogólnej ilości.

W tablicy drugiej są zestawione liczby statystyczne, porównywujące i ustalające zależność spożycia alkoholu od płci bez różnicy wyznania.

Już w roku 1930 *S. Brokowski* po przeprowadzeniu ankiety wśród szkolnej młodzieży, podkreślił fakt zwiększania się spożycia alkoholu

przez dziewczęta w porównaniu do danych statystycznych z r. 1925. Badania moje potwierdziły niestety z całą bezwzględnością, że alkoholizacja wśród dziewcząt robi stałe postępy. Występuje tutaj z jednej strony wyraźny wpływ otoczenia, który powoduje używanie napojów alkoholowych bez różnicy płci, z drugiej zaś strony należy prawdopodobnie brać pod uwagę dążenia dziewcząt do dorównania chłopcom.

T a b l i c a II.

Ogólna liczba odpowiedzi		Zna smak alkoholu	Nie zna smaku alkoholu	Pije codziennie	Pije więcej niż raz w tygodniu	Pije raz w tygodniu	Pije raz na miesiąc	Pije od czasu do czasu	Otrzymuje alkohol w domu	Pije poza domem
Chłopcy	5.445	5.125	320	25	107	323	609	3.885	4.602	799
		94,2%	5,8%	0,4%	1,9%	5,9%	11,1%	71,3%	84,5%	14,6%
Dziewczęta	5.455	5.109	346	20	100	252	613	3.981	4.621	794
		93,7%	6,3%	0,3%	1,8%	4,6%	11%	72%	84,7%	14,5%

Nałóg ten, jak pisze *S. Brokowski,* dla dziewcząt nabiera szczególnej grozy w okresie dojrzewania płciowego i odbija się z czasem w okresie laktacji.

Niżej przedstawione zestawienie ilustruje wyraźnie wzrost używania napojów alkoholowych przez dziewczęta:

	ilość ogól. odpow.	*zna smak alkoh.*	*pije od czasu do czasu*
rok 1925	4983	4226	2408
		84,8%	*48,3%*
rok 1930	5414	4413	2861
		81,6%	*52,8%*
rok 1938	5455	5109	3981
		93,7%	*72%*

Tablica trzecia ilustruje stan używania napojów wyskokowych przez dzieci w zależności od wyznania bez różnicy płci.

Dane poniższe wykazują dość duże róznice stosunków liczbowych dla tych samych pytań wśród młodzieży chrześcijańskiej, a żydowskiej. W roku 1930 *S. Brokowski* zwrócił już uwagę na tą kwestję, bowiem ankieta autora wykazała znaczne odchylenia danych statystycznych używania alkoholu na niekorzyść młodzieży wyznania mojżeszowego.

Ankieta moja byłaby potwierdzeniem tego stanu rzeczy. Prawdopodobnie zwyczaj względnie rytuał religijny żydów wymaga spożywa-

nia alkoholu w mniejszej lub większej ilości raz na tydzień lub rzadziej, w zależności od warunków materjalnych rodzin. Widzimy jednak, że nawet minimalne, ale systematyczne używanie napojów wyskokowych przyzwyczaja młodzież do alkoholu, co się wyraża zwiększeniem liczby używania go codzień, względnie więcej niż raz w tygodniu, w porównaniu z młodzieżą chrześcijańską.

Tablica III.

Ogólna liczba odpowiedzi	Zna smak alkoholu	Nie zna smaku alkoholu	Pije codziennie	Pije więcej niż raz w tygodniu	Pije raz w tygodniu	Pije raz na miesiąc	Pije od czasu do czasu	Otrzymuje alkohol w domu	Pije poza domem
Rzym.-kat.	8.277	628	31	124	289	979	6.539	7.321	1.279
8905	93%	7%	0,3%	1,4%	3,2%	11%	73,4%	82,2%	14,3%
Mojżeszow.	1.957	38	14	83	286	243	1.327	1902	314
1995	98,1%	1,9%	0,7%	4,1%	14,3%	12,1%	66,5%	95,8%	15,7%

Zestawienie danych statystycznych w tablicy czwartej jest przeglądem porównawczym niektórych pytań, opracowywanego zagadnienia, na przestrzeni kilkunastu lat, t. j. od roku 1925 do 1938.

Tablica IV.

Rok	Ogólna liczba odpowiedzi	Zna smak alkoholu	Piją codziennie	Piją raz na tydzień	Piją od czasu do czasu	Kupują alkohol sami	Otrzymują alkohol w domu
1925	9.949	86,2%	2,4%	9,2%	52,1%	2,2%	52,1%
1930	10.513	85,9%	2,5%	10,7%	51,6%	1%	53,3%
1938	10.900	93,8%	0,4%	5,3%	72,1%	0,6%	84,6%

Zestawienie powyższe ujawnia, że pod pewnym względem stopień alkoholizacji dzieci zmniejszył się prawie o połowę, zwłaszcza obniżyły się stosunki procentowe używających alkohol systematycznie codziennie, lub raz w tygodniu. Tak samo obniżyła się wybitnie liczba dzieci, kupujących alkohol dla swego własnego użytku z 2,2% w roku 1925 do 0,6% w roku bieżącym. Zwiększył się natomiast nieco procent dzieci, znających smak alkoholu i pijących od czasu do czasu, z okazji świąt,

albo innych uroczystości domowych. Pokrywa się to mniej więcej z ilością dzieci, otrzymujących napoje alkoholowe w domu. Jeśli porównamy z tablicy pierwszej rubryki pijących dzieci w domu — 84,6% i poza domem — 14,6%, to stwierdzimy, że w pierwszym rzędzie czynnikiem rozpijającym, a często zmuszającym młodzież do picia, są właśnie tylko rodzice.

Systematyczna propaganda i uświadomienie antyalkoholowe, metody oddziaływania wychowawczego szkoły, oraz opieka higjeniczno-lekarska, prowadzona stale przez lekarzy szkolnych w ciągu całego szeregu lat — dały owoce w postaci zmniejszenia się ogólnego poziomu używania systematycznego i kupowania napojów alkoholowych przez młodzież szkolną.

Natomiast, bodajże najważniejszy czynnik wychowawczy, jakim jest dom i rodzina, nie wykazuje większego zrozumienia tych wysiłków, oraz ważności współracy ze szkołą, jej wychowawcami i lekarzami, o czem świadczyłoby podawanie alkoholu młodzieży szkolnej przez rodziców w domu.

Wnioski.

Ankieta, przeprowadzona w szkołach powszechnych miasta Wilna, w sprawie alkoholizacji dziatwy szkolnej, wykazała co następuje:

1. Młodzież szkół powszechnych płci obojga na ogólną liczbę 10.900 zapytanych, zna smak alkoholu w 93,8%.
2. 666 dzieci szkolnych, t. j. 6,2% nie zna wogóle smaku alkoholu.
3. Liczba dzieci szkolnych, używających systematycznie alkoholu i kupujących go dla własnego użytku, zmniejszyła się prawie o 50% w porównaniu do wyników ankiety z roku 1930.
4. Młodzież szkolna żydowska, płci obojga, przewyższa ilościowo swych kolegów chrześcijan w systematycznem używaniu napojów alkoholowych.
5. W 84,6% dziatwa szkolna otrzymuje alkohol w domu od rodziców.

Czuję się w miłym obowiązku złożyć tutaj me najgłębsze podziękowanie Naczelnemu Lekarzowi Szkół Powszechnych Panu Dr. *S. Brokowskiemu* za łaskawe danie mi możności wykonania niniejszej pracy, jak też za cenne wskazówki, udzielane mi przy jej wykonywaniu.

Panu Inspektorowi Szkół Powszechnych *St. Starościakowi* składam serdeczne podziękowania za ułatwienie i pomoc w przeprowadzeniu niniejszej ankiety w szkołach.

Dr. med. *Stefan Gnoiński*,
lekarz szkolny.

Piśmiennictwo.

1. *S. Brokowski.* Archiwum Higjeny 1925.
2. — Sprawozdanie z opieki higjeniczno-lekarskiej w szkołach powszechnych m. Wilna 1930.
3. *K. Hrabin.* Narkomanje w szkole 1934.
4. *Z. Hryniewicz.* Trzeźwość 1937.
5. *J. Neczaj-Hruzewicz.* Idem 1937.
6. *M. Sopoćko.* Idem 1924.
7. — Idem 1936.

De l'alcoolisme parmi les enfants des écoles primaires de la ville de Wilno.

Conclusions.

Les recherches effectuées dans les écoles primaires de Wilno concernant l'alcoolisme parmi les enfants ont montré les faits suivants:

1. De 10.900 questionnés 93,8 p. 100 connaissent le goût de l'alcool.
2. 666 enfants, soit 6,2 p. 100, n'ont jamais goûté à l'alcool.
3. Le nombre d'enfants consommant systématiquement de l'alcool et l'achetant pour leur propre usage, a diminué à peu près de 50 p. 100 en comparaison avec l'enquête de 1930.
4. La jeunesse scolaire israélite des deux sexe dépasse ses collègues chrétiens en ce qui concerne l'usage systématique des boissons alcooliques.
5. Dans 84,6 p. 100 les enfants des écoles reçoivent de l'alcool dans la maison paternelle.

Docteur en médecine
S. GNOIŃSKI
Médecin Scolaire.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

I.

Biada temu, przez kogo przychodzą zgorszenia. Pożyteczniej mu jest, gdyby młyński kamień zawieszono na szyi jego i wrzucono go w morze, niżliby miał zgorszyć jednego z tych malutkich.
Łuk. XVII, 1, 2.

Jakże dużo jest zgorszenia „tych maluczkich", zwłaszcza podczas świąt.

Czy to w mieście, czy na wsi, czy w domu biedaka, czy zamożnego, wszędzie podczas wieczerzy wigilijnej, bezpośrednio po opłatku, ojciec i matka obowiązkowo muszą dać każdemu z dzieci kieliszek wódki, czy wina, czy choć wina owocowego, ale z alkoholem — z trucizną.

Czy dużo jest u nas domów, gdzie w tym dniu nie będzie na stole alkoholu? Zapewne bardzo znikoma ilość.

A świąteczne przyjęcia dzieci przy choince, odbywają się przecież przy podawaniu im słodyczy i obowiązkowo wina.

Młody harcerz zwrócił się do mnie z zapytaniem: „Czy harcerz naprawdę nigdy nie może używać alkoholu, jako napoju i palić papierosów"?

Naturalnie, że nigdy, odpowiedziałem. Przecież na to dawał słowo honoru i przyrzeczenie składał.

A co miałem zrobić, zagadnął harcerz, gdy nam kilku chłopcom w domu kolegi, pan domu dawał do picia wino, mówiąc: „pijcie, to nie jest grzech, skoro w kościele w dniu 27 grudnia na św. Jana, dają pić wino, więc tem bardziej można wino pić w domu".

To przecież należy rozumieć, jako symbol pierwszego cudu Chrystusa i Jego dobroci względem ludzi, odpowiedziałem. Zresztą w kościele daje się do picia wino tylko temu, kto chce, a harcerz może nie pić tego wina i nie będzie miał z tego powodu nawet zadraśnięcia swego sumienia.

Co do palenia papierosów, pokazałem mu wzmiankę w „Wieczorze Warszawskim" z dnia 3.I. 1939 r. o treści następującej: „Młodzieży nie wolno palić. Przywódca młodzieży niemieckiej, Baldur von Schirach, wydał zakaz palenia, obowiązujący młodzieńców w wieku lat 14—18, oraz dziewczęta w wieku lat 14—21".

Widzisz, jak Niemcy dbają o zdrowie i tężyznę swojej młodzieży. Papierosy zawierają niebezpieczną truciznę „nikotynę". Musimy i my dbać o tężyznę i zdrowie swojej młodzieży. Zresztą nie wolno harcerzom palić, gdyż i na to składali oni przyrzeczenia.

II.

Z Antosiem łączyły mnie serdeczne stosunki. Był to dobry przyjaciel, nieco starszy ode mnie, zamożny, posiadał bowiem własne, dobrze prosperujące przedsiębiorstwo. Miałem na niego pewien wpływ. Imponowałem mu swoją odwagą, wyczynami sportowymi i entuzjazmowaniem się wszystkiem, co dobre i t. d. Wszystko, co ja robiłem, pochwalał. W jednym tylko punkcie nie zgadzał się ze mną, a mianowicie, co do szkodliwości używania alkoholu.

Jak to, powiadał, człowiek cały tydzień gania za interesami, jak chart, i żeby raz na tydzień w sobotę, czy w niedzielę, nie wypić, by zapomnieć o troskach? Nie, to absurd, przesada. Takie popijanie jeszcze nikomu nie zaszkodziło, a nawet pewien wstrząs, jako dezynfekcja organizmu, jest konieczny. Musisz skapitulować z tą swoją zasadą zupełnej trzeźwości.

Widzisz, ja używam alkoholu, a wyglądam daleko lepiej od ciebie, abstynenta.

Daj, Boże, odpowiadałem, abyś był tak zawsze zdrów, jak obecnie. Ale mojej pewności co do szkodliwości alkoholu nic nie zachwieje. Naukowo udowodniono, że alkohol, to trucizna, a że trucizna podstępna, da-

jąca złudzenie, jakiejś błogości w stanie opilstwa, to tem tylko gorzej.

No, dobrze, odpowiadał, alkohol-trucizna, zgoda, ale ja samego alkoholu czyli spirytusu nie pijam, a dobry konjak, rum, czy nalewka, to przecież nie alkohol.

Nie chciał wierzyć, śmiał się, gdy tłomaczyłem mu, że w konjaku, araku, czy rumie, jest do 80% czystego alkoholu, czystej trucizny.

Rozstaliśmy się na dłuższy czas — każdy przy swojem zdaniu w sprawie alkoholowej.

Dochodziły mnie słuchy, że Antoś się rozpił, że przedsiębiorstwo upadło, że musiał przyjąć marnie opłacaną posadę i że już tam miał nieprzyjemności, a w końcu zwolnili go z posady za to, że z nożem rzucił się na zwierzchnika, gdy ten robił mu wymówki, że przychodzi do pracy nietrzeźwy.

Żona pisała do mnie, prosząc o pomoc. Pojechałem. Spotkałem Antosia na ulicy, lecz mnie nie poznał, gdyż był zupełnie pijany. Uprosiłem, by, ze względu na rodzinę, przyjęto go z powrotem do pracy. Po niejakim czasie otrzymałem drugi list od żony z powiadomieniem, że Antoś jest umierający.

Przyjechałem, wszedłem do mieszkania, a gdy spojrzałem na leżącego przy piecu Antosia, wstrząsnął mną dreszcz, nie mogłem słowa wypowiedzieć. Zobaczyłem chorego na „delirium tremens"; zupełnie takiego, jak na plakacie z muzeum międzynarodowem w Warszawie, jak na przezroczach, takiego, jak widziałem w lecznicach dla umysłowo chorych w Tworkach, Bukareszcie, Berlinie i Paryżu.

Te same szpony z palców rąk, ta sama twarz chuda, zniszczona, a zwłaszcza te same bezbarwne, mgliste straszne oczy.

Płakać mi się chciało. Przecież to on, mój serdeczny przyjaciel.

Gdy tak stałem nawpół przytomny, ocknął się chory, poznał mnie i w przebłysku świadomości uśmiechnął się, śmiechem strasznym.

Przyjechałeś, powiedział. Dziękuję ci bardzo. Widzisz, do czego doszedłem. Boli mnie wszystko bardzo. Nie słuchałem ciebie, piłem, a ot są i skutki. Trudno, trzeba odpokutować za swoją głupotę, chociaż to jest okropne.

I znów zapadł w półsen, czy omdlenie.

Sprowadziłem znajomego lekarza, a gdy zbadał chorego, zapytałem: „delirium tremens"? Jeszcze nie, odpowiedział doktór, ale prawie, że tak. Może nie chciał mnie martwić.

Zabrał chorego do szpitala.

Czy go tam wyleczą? Mam przeczucie, że już nie zobaczę swego przyjaciela.

Biedny, poczciwy człowiek. Tak drogo zapłacił za chęć dogodzenia sobie, za picie alkoholu.

III.

Słynny chirurg, Naczelny lekarz szpitala, do którego mnie przywieziono na skutek zasłabnięcia z objawami zapalenia ślepej kiszki, po zbadaniu mnie w poczekalni sali operacyjnej, orzekł: „zapalny ostry stan, w każdej chwili może nastąpić pęknięcie i wewnętrzny wylew ropy, operacja konieczna w tejże chwili, czy pan się zgadza?"

A czy pan doktór osobiście mnie zoperuje, zapytałem.

Tak, ja.

No, to zgadzam się.

Kolego, szykować do nowej operacji, krzyknął jeszcze chirurg, a ja już kładłem się na stół operacyjny.

Wszystko to odbywało się w tempie amerykańskiem.

Operacja udała się.

Zastanawiałem się tylko, dlaczego naczelny lekarz osobiście w asyście innych lekarzy badał mnie po kilka razy dziennie.

Poprawa następowała szybko i wreszcie mogłem wypisać się ze szpitala.

No, ma pan szczęście, na pożegnanie powiedział mi doktór.

Zastanawiałem się, dlaczego pan tak łatwo przeniósł chorobę. Dziś, kiedy niebezpieczeństwo już minęło, powiem panu, że stan był bardzo groźny. Według naszych przypuszczeń musiały nastąpić komplikacje, a jednak na szczęście ich nie było. W domu niech pan pije po kieliszku dobrego węgrzyna, lub tokaja, to Pana wzmocni.

Dziękuję, panie doktorze, ale jako prezes abstynentów nie mogę tego zrobić.

Jak to, to pan nie używa wcale alkoholu?

Nie, nie używam.

To może pan i papierosów nie pali? — zapytał doktór.

Nigdy nie paliłem, odpowiedziałem.

No, to dla mnie jest teraz wyraźne, że przyczyną szybkiego pana wyzdrowienia było to, że organizm pana nie był zatruty alkoholem i nikotyną.

I w tym wypadku abstynencja okazała się zbawienną.

IV.

A pan gdzie spędzi Sylwestra, zapytało mnie kilku naraz kolegów.

Jak zwykle, w domu, odpowiedziałem, w gronie rodziny i tych, co chcą pożegnać Stary Rok i spotkać Nowy po trzeźwemu, bez alkoholu.

Tak nie można, nie wypada, przecież urządzany jest Sylwester na cele dobroczynne, zresztą będzie tam doborowe towarzystwo bez jakichbądź orgji pijackich. Musi pan pójść tam z nami.

Pokazałem im zakupione dwa bilety na urządzanego Sylwestra dobroczynnego, zaznaczając, że obowiązek spełniłem, lecz, niestety, nie mogę tam być, gdyż zaprosiłem już grono osób do siebie.

Przyszli do mnie wszyscy zaproszeni abstynenci, a z liczby zaproszonych dziesięciu nie abstynentów, przyszło tylko dwoje i to „przez ciekawość“, jak później wyjaśnili.

Bawiliśmy się doskonale: tańczyli, śpiewali, nikt nie odczuwał braku alkoholu, lub jego potrzeby. Bezalkoholowe napoje z jabłek, wiśni, porzeczek, winogron i żórawin miały niezwykłe powodzenie i wszystkim się podobały.

W doskonałych humorach o godzinie 6-ej rano rozeszli się goście do domów.

No, i jak tam po Sylwestrze? — zapytałem nazajutrz tych kolegów, co zapraszali mnie ze sobą na Sylwestra alkoholowego.

Głowa mnie boli jeszcze dziś, odpowiedział jeden. Podobno pokłóciłem się ze starszym kolegą, odpowiedział drugi. Zdaje się, że zaręczyłem się, odpowiedział trzeci, tylko nie wiem z którą. Było wszystko porządnie, mówi czwarty, nie było pijanych, tylko... jeden z panów zasnął w ubikacji, a kilku nieprzytomnych dyskretnie wyprowadzono z sali.

żałujemy, że nie poszliśmy do pana na Sylwestra bezalkoholowego, w końcu powiedzieli wszyscy.

Radom. *Konstanty Kryśko.*

BILANS ROKU NASZEJ PRACY.

(Na tle referatu, wygłoszonego na „Dekadzie" w Tow. „Trzeźwość" dn. 30.XII. 1938 w Warszawie).

Nie trzeba się obrażać, gdy się to gani, co sobie ludzie za coś wielkiego mają, a co prawdziwie zła rzecz jest.

Łukasz Górnicki.

Cechą zdrowych natur jest to, że łakną prawdy — i te tylko narody odrodziły się i podniosły, które prawdę sobie mówić pozwalały.

Walerjan Kalinka.

Nie zawsze dość łatwo i najczystsze prawdy do wziętości przychodzą; przesądy z najwyższą zaciętością stają im na zawadzie. Długiego czasu, częstego prawd powtarzania potrzeba, nim staną na równi z przeciwnem sobie oddziaływaniem.

Joachim Lelewel.

Człowiekowi łatwiej przychodzi dla starej niedorzeczności najmisterniejsze usprawiedliwienia wymyślić, niż najprostszą, lecz nową prawdę wygłosić, lub w wygłoszoną uwierzyć.

Władysław Smoleński.

Zbliża się koniec roku pracy.

W organizacjach, zakładach, fabrykach, urzędach, robią się zestawienia prac dokonanych, oblicza się straty i zyski — zestawia się bilanse.

Zróbmy i my to samo. Sądzę zaś, że intensywność naszego wysiłku usprawiedliwia ten zamiar.

Zacznijmy od rzeczy dla nas, tu, na „Dekadzie", zebranych, najbliższej — od „Dekad". Było ich w ciągu roku 29. Przemawiało na nich 20 prelegentów 37 razy. Mówili (podajemy w kolejności wygłaszania referatów): Mec. Jan Stanisław Szczerbiński (3 razy), Dr. Henryk Zajączkowski, red. Stanisław Biernacki, red. Jan Szymański (5 razy), Dr Wiktor Junosza Dąbrowski, Dr Kazimierz Jasielewicz (5 razy), Dr

Witold Odrzywolski, Dr Kazimierz Dąbrowski, Dyrektor Instytutu Higj. Psych., Prok. S. N. Stanisław Czerwiński (2 razy), Dr Zygmunt Rozen (2 razy), red. Andrzej Krasicki, prof. Michał Orzęcki, red. Teresa Zajączkowska (†), red. Halina Siemieńska (2 razy), mec. Henryk Świątkowski, Jan Starczewski, Dyrektor Wydź. Op. Społ. i Zdr. Publ. w Zarządzie m. st. Warszawy, Kazimierz Kalinowski, Prezes Zarz. Gł. Tow. „Trzeźwość", Dr. Piotr Radło (2 razy), Dr. Stanisław Stypułkowski i Dr. Jerzy Babecki, Wice Dyrektor Depart. Sł. Zdr. Min. O. S.

W części artystycznej „Dekad" w charakterze solistów wystąpiło 31 artystek i artystów, oraz 3 zespoły: Chór „Surma" pracowników tramwajów i autobusów miejskich, zespół niewidomych i Koło dramatyczne oddziału Tow. „Trzeźwość" na Mokotowie. Występowali: M. Woźniakówna (dekl.), Wł. Rączkowski (skrzypce), Bronisława Wirska (śpiew), Marja Strońska (recyt.), Grzybowski (śpiew), Bronisława Budnicka (skrzypce), K. Lipiński (deklam.), Zofja Zakrzewska (tańce), Zofja Romei (śpiew), Barbara Blank (tańce), K. Pęszyńska (śpiew), J. Kalinowski (śpiew), B. Wilecka (fort.), prof. Al. Stankiewicz (skrzypce), Ryszard Gruszczyński (śpiew), Edward Morga(fort.), H. Badowski (recyt.), E. Andrejko i M. Komorowski (revellersi), J. Łoniewska i K. Rowiński (duet), M. Półkoszek (wiolonczela), Czesław Kaczmarczyk (skrzypce), Janina Miecz-Orłowska (śpiew), J. K. Karpus (ustna harmonijka), Helena Wagner (śpiew), Maksymiljan Herwich (fortepjan), Wiktor Zaczek (wiolonczela), Ada Simon (śpiew), Barbara Łysakowska (skrzypce). Pozatem we wszystkich „Dekadach", ze wzrastającem stale powodzeniem, brała udział orkiestra naszego Towarzystwa pod kierunkiem p. L. Łucka, a ostatnio mieliśmy pierwsze występy chóru naszego i Koła dramatycznego pod kier. p. K. Rowińskiego — którym rokujemy dobrą przyszłość.

Skoro mowa o „Dekadach" — pragnę słów kilka poświęcić Wam, Szanowne Panie i Szanowni Panowie, naszej łaskawej i wiernej publiczności. Wszyscy prelegenci i artyści lubią u nas występować, bo, jak twierdzą, stosunek „sali" do występujących jest bardzo poważny, skupiony, przyjazny; to się odczuwa, to się ceni i za to w imieniu prelegentów, artystów i Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość", składam słowa serdecznej podzięki.

Wielkim wypadkiem była uroczystość otwarcia w lokalu naszym Międzynarodowego Muzeum walki z alkoholizmem, której dokonał osobiście pan Minister Opieki Społecznej, Marjan Zyndram Kościałkowski w obecności licznych przedstawicieli korpusu dyplomatycznego, władz państwowych i duchownych, oraz delegatów instytucyj i organizacyj.

W lutym, w „Tygodniu propagandy trzeźwości" urządziliśmy wielką Akademję „Trzeźwości" w dużej sali Tow. Higjenicznego, którą publiczność szczelnie po brzegi wypełniła. Przemawiali wybitni mówcy p.p. Dyr. Jan Starczewski, ks. Rektor Wł. Padacz, Dr. Kazimierz Jasielewicz, Doc. Gustaw Szulc, Dyrektor P. Zakładu Higjeny, mec. Jan Stanisław Szczerbiński; w części artystycznej wzięła udział znakomita śpiewaczka ś. p. Stanisława Korwin-Szymanowska. Akademja ta była piękną i silną demonstracją idei naszej w Stolicy.

W maju odbył się liczny doroczny Zjazd delegatów Kół Tow. „Trzeźwość, Koła Lekarzy Abstynentów i pokrewnych organizacyj, na któ-

rym wygłoszono kilka interesujących referatów (prawie wszystkie wydrukowane zostały w „Trzeźwości“).

W ciągu tego roku usilnie popieraliśmy propagandę wyrobu i sprzedaży bezalkoholowych „płynnych owoców“ i „nektarów“.

Współdziałaliśmy z szeregiem organizacyj społecznych, jak np. z Abstynencką Ligą Kolejowców, Wileńskiem Tow. „Mens“, Związkiem Spółdzielni „Społem“, Związkiem Pracy Obywatelskiej Kobiet i t. d.

Wzięliśmy czynny udział w pracach I Polskiego Kongresu Dziecka w Warszawie, zgłaszając specjalny referat o konieczności walki z alkoholizmem wśród dzieci i przeprowadzając na Kongresie odpowiednie rezolucje, wzięliśmy udział w I Polskiej Wystawie Szpitalnictwa w Warszawie, urządzając specjalne stoisko, poświęcone naszemu zagadnieniu, uczestniczyliśmy w Wielkim Kongresie Pracy Obywatelskiej Kobiet, zgłaszając referaty, przeprowadzając odpowiednie rezolucje, w Warszawie i na peryferjach Stolicy prelegenci nasi wygłosili szereg referatów przeciwalkoholowych.

Niektóre Koła nasze na prowincji prowadziły intensywną akcję przeciwalkoholową.

Prowadziliśmy czytelnię, która posiada już około 1000 tomów, uważamy popieranie czytelnictwa, jako broni w walce z alkoholizmem, za jedno z naszych najważniejszych i naczelnych zadań.

Dużą uwagę poświęcamy sprawie lecznictwa alkoholików i opieki nad nimi. Prowadzimy Przychodnię Przeciwalkoholową w VIII Miejskim Ośrodku Zdrowia w Warszawie oraz w Ośrodku Zdrowia w Kowlu. W Warszawie ordynuje p. Dr. Cz. Konopka, w Kowlu p. Dr. Stanisław Leszkiewicz.

Jak co roku (od lat 13-tu), wzięliśmy czynny udział w organizacji XIII-go Kursu Alkohologji w Państwowej Szkole Higjeny — powodzenie Kursu było znakomite. Słuchaczy z całej Polski 243.

Nie chcąc przedłużać swego przemówienia, podałem zaledwie część najważniejszych naszych czynności, aby przedstawić zarys naszych usiłowań.

*

* *

A teraz pytanie: poco to wszystko, poco te akademje, zebrania, odczyty, kursy, wydawnictwa i t. d., i t. d.?

Walczymy z jedną z najgorszych i najbardziej zdradliwych i podstępnych chorób społecznych na świecie, jaką jest niewątpliwie klęska alkoholizmu.

Walka to niepomiernie trudna, bo chodzi o zmianę obyczaju, o zmianę własnych nastawień i przyzwyczajeń każdego poszczególnego obywatela, o przeobrażenie uczuciowych reakcyj na alkohol. Od dziecka bowiem otacza nas formalny i powszechny niemal *kult alkoholu*, jego używania we wszelkich ważniejszych okolicznościach życiowych.

Butelka, to synonim święta, przyjęcia gości, smutku i żałoby, radości i wesela. Wszędzie i zawsze, we wszystkiem i u wszystkich butelka nadaje ton, jakby koronuje i wieńczy!

Gdy w innych chorobach każdy zdaje sobie dokładnie sprawę, że są one niebezpieczne, że trzeba ich unikać, a w wypadku zapadnięcia — leczyć się — to z alkoholizmem całkiem odmiennie rzecz się przedsta-

wia! Nikt prawie go za chorobę nie uznaje, nie unika się go, ale dąży się doń z oddaniem i przejęciem, z przekonaniem i radością.

Oto jedna z przyczyn trudności naszej akcji.

Niemal wszyscy piją — to też wszyscy uważają się w sprawach alkoholizmu za rzeczoznawców. I to jest grube nieporozumienie, tragiczne nieporozumienie. Ani gruźlik, ani weneryk nie uważają się za rzeczoznawców w sprawach gruźlicy, czy chorób wenerycznych! Z alkoholizmem sprawa przedstawia się wręcz naodwrót. Im więcej go się pije — tem większa pewność siebie przy roztrząsaniu zagadnienia i jego skutków i... tem więcej omyłek i błędów we wnioskach... tem fałszywsze wyroki!

*

* *

I nawet oczywiste fakty nie trafiają do świadomości biernego i zaślepionego ogółu.

Aby sobie uświadomić cały ogrom kontrastu między rzeczywistością, a teorją legjonów naszych domorosłych rzeczoznawców o nieszkodliwości alkoholu, warto przypomnieć kilka tylko liczb, ilustrujących stan rzeczy w obchodzącej nas dziedzinie.

Według badania p. Dr. J. Neczaj-Hruzewicza, przeprowadzonego w 106 powiatach, wykryto w szkołach powszechnych, blisko 10.000 dzieci, nadużywających napojów alkoholowych. Jest to więc materjał na przyszłych pacjentów zakładów psychjatrycznych, na alkoholików i narkomanów, przyszłych przestępców i zbrodniarzy, ludzi nieszczęśliwych i wykolejonych. A należy zwrócić uwagę, że dane powyższe dotyczą tylko 106 powiatów, gdy wszystkich powiatów w Państwie było w tym czasie 264. W najbliższym N-rze „Trzeźwości" ukaże się badanie statystyczne p. Dr. Stefana Gnoińskiego, dotyczące alkoholizmu wśród dzieci szkolnych w Wilnie. Z badania tego wynika, że w porównaniu z analogicznemi badaniami w Wilnie w r. 1925 i 1930 zachodzi, na szczęście, pewne dość wyraźne zmniejszenie alkoholizmu wśród ogółu dzieci szkolnych, natomiast niepokojącem zjawiskiem jest fakt wzrostu alkoholizmu wśród dziewcząt, co przedstawia, rzecz jasna, wielkie niebezpieczeństwo dla zdrowia przyszłych pokoleń.

Słyszy się czasem wątpliwości co do znaczenia i istotnej wartości statystyk w sprawie alkoholizmu wśród dzieci szkolnych. Nie ulega wątpliwości, wszelkie statystyki mają swoją względną wartość. Jeżeli chodzi jednak o zagadnienie alkoholizmu wśród dzieci szkolnych w Polsce, to trzeba zauważyć, że właśnie ta sprawa została u nas przez liczne i poważne, a ściśle bezstronne badania wyczerpująco zbadana i wyświetlona. Wielu badaczy przeprowadzało swe badania głównie w celu *sprawdzenia* wyników innych statystyk i wszędzie i zawsze otrzymywano smutne wyniki: dzieci polskie piją. A piją dlatego, że pije starsze pokolenie. Jest to nieodzowny. wynik *powszechności* obyczaju alkoholowego. Przykład starszych jest tu momentem decydującym. że tak jest, dowodzi np. eteryzacja dzieci szkolnych w tych miejscowościach Śląska, gdzie ludność używa masowo eteru *).

---

*) Kazimierz Hrabin: „Narkomanje w szkole". I. Alkoholizm. II. Eteryzm. Z przedmową Doc. D-ra Gustawa Szulca. Warszawa 1934.

Przed paroma dniami ogłoszono wyniki badań, przeprowadzonych na niektórych terenach przez lekarzy szkolnych — stan zdrowotny i hi-
Wśród dzieci szerzy się gruźlica, krzywica i jaglica. Np. u 12% dzieci
gjeniczny znacznego odsetka dzieci szkolnych okazał się bardzo zły.
w Wilnie stwierdzono gruźlicę, u 18% krzywicę. Jaglica szerzy się na pewnych terenach wprost nagminnie. W pow. lidzkim 30% dzieci jest brudnych, 22% zawszonych... W Sosnowcu 99% dzieci posiada braki w uzębieniu, w Wilnie 42% ma próchnicę zębów. Są to wszystko przykłady z terenów, gdzie istnieje opieka higjeniczno-lekarska. (Kurjer Warszawski z 28.XII. 38).

Statystyka powyższa, dając ogólny obraz zaniedbań i braków w dziedzinie zdrowia wśród dzieci szkolnych, uwypukla niebezpieczny wpływ alkoholu w takiem środowisku i *pośrednio* uwydatnia grozę tego zjawiska.

A co się dzieje na wsi? Gdzie brak szkół, brak lekarzy, brak pomocy fachowej przy porodach... gdzie alkoholizm, niczem nie krępowany, prowadzi w całej pełni swą dewastacyjną działalność — przecież tylko na tem tle mogą trwać, rozwijać się i szerzyć takie, w gruncie rzeczy *potworne* zjawiska, jak masowe spożywanie w niektórych połaciach kraju samogonu, denaturatu, lub eteru. I tylko powszechnym alkoholizmem i wskutek tego powszechną obojętnością do objawów jego i skutków można tłomaczyć brak odpowiednio silnej i stanowczej akcji przeciw tym zjawiskom, tak niebezpiecznym i groźnym dla przyszłości rasy, dla rozwoju twórczych sił narodu, wreszcie dla obronności Państwa.

Dawno już powiedział jeden z najwybitniejszych uczonych polskich, prof. Benedykt Dybowski, że „cała niemoralność, nerwowość, gruźlica i choroba raka mają swe główne źródła w pijaństwie powszechnem“, ale cóż z tego... Wielkiego uczonego, znakomitego obywatela, gdy umarł, uczciło się po polsku... pogrzebem... Rachunki uznano za wyrównane. Któżby się troszczył myślą o *wykonywaniu* przykazań zmarłego profesora, który był chlubą nauki polskiej!? A jednym z głównych nakazów Jego, dawanych społeczeństwu, była myśl o konieczności bezwzględnej walki z alkoholizmem.

Weźmy inną dziedzinę, sprawę mieszkaniową, tę prawdziwą bolączkę naszego życia. Lekko licząc, od czasu odzyskania niepodległości przepiliśmy około 20 miljardów złotych. Za tę kolosalną sumę, za część jej nawet, można byłoby w całej pełni rozwiązać arcyważne zagadnienie braku mieszkań.

Sprawa oświaty, a raczej wielkich trudności w jej szerzeniu, najściślej łączy się ze sprawą alkoholizmu; on bowiem stanowi bodaj główną zaporę w jej rozpowszechnieniu, zwłaszcza na wsi, a tak bolesne i niebezpieczne zjawisko, jak *powrotny analfabetyzm* jest wynikiem ciemnoty, braku jakichkolwiek zainteresowań, książek i gazet w wielu miejscowościach, co stoi w ścisłej korelacji z pijaństwem, nędzą, nieróbstwem.

Tu tkwi ukryte, niewidzialne źródło wielu niedociągnięć, niepowodzeń i załamań społecznych i kulturalnych w kraju naszym, w którym, jak powiedział Norwid: „wcielenie wszelkie, więc praca wszelka rwie się... a jeśli przędzie się — omyli!“ Alkoholizm łamie charaktery, ogłu-

pia mózgi, niszczy energję, zacieśnia dążenia szersze do małego kręgu zachcianek i zadośćuczynień wyłącznie egoistycznych.

Syzyfowość wielu wysiłków, pełnych idealnego poświęcenia, ma tu swoją zatajoną praprzyczynę.

A przestępczość? Na tej właśnie sali słyszeliście niejednokrotnie fachowe i wymowne wywody o związku przyczynowym, jaki zachodzi pomiędzy alkoholizmem, a przestępczością. Przeszło 60.000 więźniów mamy w 240 kilku więźniach, jak mówił niedawno p. mec. Jan Stanisław Szczerbiński, a większość ich, to *ofiary alkoholizmu*. Defraudacje, nadużycia wszelkie są prawie zawsze wynikiem życia nad stan, pijaństwa, rozpusty, karciarstwa.

A katastrofy kolejowe? Mówił tu niedawno w rzeczowym referacie o związku wypadków kolejowych z alkoholizmem pracowników kolejowych, p. Konstanty Kryśko *), a teraz możemy za prasą codzienną powtórzyć, że w r. 1937 stwierdzono wzrost liczby wypadków na kolejach w Polsce, których było 1.523 — najwyższa to liczba katastrof kolejowych w ciągu ostatnich 7 lat, t. j. od r. 1930. Alkoholizm i tu gra wielką, tragiczną rolę — często ukrytą i trudną do stwierdzenia.

Wybitna ekonomistka nasza, prof. Zofja Daszyńska-Golińska pisała: „Alkoholizm jest dziś złem tak poważnem, że wszyscy członkowie społeczeństwa, wprost dla zachowania samych siebie, powinniby rozpocząć z nim walkę".

Głuche i obojętne milczenie pustyni ludzkiej jest zazwyczaj odpowiedzią na podobne głosy grozy i ostrzeżenia.

*

*   *

Dochody wódczane, to dla Państwa szkodliwa ułuda, to omam, to fikcja, dające się wprawdzie obliczyć w setkach miljonów zł. zysków budżetowych; kładą się one jednak bezmiernem brzemieniem katastrofalnych swych skutków na życiu całego społeczeństwa i Państwa.

Bilans jest ujemny — i ten właśnie ujemny bilans jest powodem energji i uporu, które ujawniają walczący z klęską alkoholizmu.

Zachodzą bowiem zdumiewające niekonsekwencje.

Czynią się olbrzymie wysiłki w celu wzmożenia obronności Państwa, ku podniesieniu oświaty i kultury, ku podniesieniu stopy życiowej ludności, a jednocześnie niemal własnemi rękami za pomocą powszechnego alkoholizmu niszczy się same podstawy istnienia i normalnego rozwoju człowieka, społeczeństwa i Państwa.

*

*   *

My, abstynenci polscy, pracujemy dla społeczeństwa i Państwa, dla nowej Polski, trzeźwej, twórczej, potężnej, Polski czynnej i produktywnej.

Głupcy, ludzie źli, zdemoralizowani, kurczowo, a bezmyślnie trzymają się dawnych obyczajów, których rodowód sięga osławionych cza-

---

*) Patrz: „Trzeźwość" Nr. 5-7 z r. 1938. Str. 141.

sów saskich; ale ta zgnilizna, ta ohyda musi odpaść i zniknąć. Na miejsce obyczaju pijackiego przyjdzie życie świadome, pełne, wszechstronne, pożyteczne, piękne.

Tyle pracy przed nami! Tyle zaniedbań i braków czeka na każdym kroku na dłoń silną, na myśl rozumną! Wiele z tych naszych zaniedbań i braków, to pozostałości owych obmierzłych, mrocznych czasów pijackich, panowania królów Niemców w Polsce i bezgranicznego pijaństwa. Czemu je tak pieczołowicie kultywujemy i ochraniamy? Czemu, gdy tak skorzy jesteśmy do wprowadzania w życie nasze wszelkich nowinek zagranicznych, gdy jesteśmy często aż bezmyślnie skorzy do wszelkich nowatorstw zewnętrznych, modnych, tak konserwatywni jesteśmy, gdy chodzi o panowanie alkoholu — tu i radykali i zachowawcy, bogaci i ubodzy, oświeceni i analfabeci tworzą zgodny front, jednolitą opinję... propijacką.

W stosunku do człowieka i jego najgłębszych wartości psychicznych stosuje się w Polsce gospodarka rabunkowa, przypominająca dawne chłopskie hasło: „nie było nas — był las, — nie będzie nas — będzie las...“, a sekunduje mu druga potężna bezmyślność, znajdująca swój wyraz w innem popularnem haśle: „zastaw się, a postaw się“. życia z rozumem, życia z kredką, życia z planem i celem naogół się nie uznaje. Logice tej najlepiej odpowiada obyczaj pijacki, będący zaprzeczeniem myśli, miary i planu.

A przecie *człowiek* stanowi podwalinę budowy państwowej. I ten człowiek marnuje swe siły i zdolności, topiąc je w alkoholu, gubiąc siebie, degenerując potomstwo. Lekkomyślny, jakiś groteskowy stosunek do życia jest jakby cechą naszą wrodzoną. *Polacy umieją umierać za Ojczyznę, nie umieją żyć dla niej* — pisał „Demokrata Polski“ w 1843 r. w Paryżu. Współczesny nam Henryk Zbierzchowski woła:

„Polak dla Polski umrzeć umie,
Lecz nie potrafi dla Niej żyć“.

Tak, umiejętność życia rozumnego, celowego, ofiarnego nie może się łączyć z alkoholizmem, który stanowi jaskrawe zaprzeczenie *rozumu, celowości i ofiarności.*

Lubując się w blasku i blichtrze zewnętrznym, Polacy nie zwracają uwagi na otaczającą ich nędzę, brud i niechlujstwo. Tak było w długiej epoce, poprzedzającej upadek Polski, tak jest w wielu momentach i obecnie. I nic tu blaga nie pomoże. *Niedostrzeganie rzeczywistości* — to cecha lekkomyślności i pustki wewnętrznej, obficie zakrapianej alkoholem. To groźne, fatalne niebezpieczeństwo dla naszych losów!

*

* *

Pytają nas często „przyjaciele od serca“, a jakież są wyniki waszych „szlachetnych“ usiłowań? I w oczach pytających dostrzec się dają dławione ogniki szyderstwa...

Ale my śmiało możemy na pytanie pytaniem odpowiedzieć: a jakie są wyniki walki z gruźlicą, z chorobami wenerycznemi, z jaglicą? Znikły te choroby? Są i krzewią się, mimo, że niema monopolów do

ich rozpowszechniania, mimo, że nikt nie chce mieć trochę gruźlicy, czy wenerji...

A tu wszyscy niemal pożądają alkoholu, chcą go, pragną...

A tu pijaństwo rośnie — bo liczba zwolenników uciech alkoholowych i użycia życia pod jego znakiem, jest nieskończona.

Garść abstynentów, choć już na szczęście niemała, nie może dokonać cudu, ale dąży do rzeczy osiągalnych; pragnie w granicach tych możliwości przekonać, jak najwięcej ludzi o konieczności odrzucania szkodliwego i bezsensownego obyczaju alkoholowego i zbudowania na jego miejsce innego, trzeźwego. I w tej dziedzinie mamy już szereg osiągnięć pozytywnych. Wskażę tu na jeden fakt bardzo znamienny: oto w niektórych miejscowościach Polski, zaczyna się na wsi, szerzyć tak skutecznie obyczaj abstynencki, że zaczynają odbywać się coraz częściej wesela bezalkoholowe. Takie fakty napełniają otuchą.

Wołania o zakaz alkoholu są jeszcze u nas, niestety, nierealne, realną natomiast może być tylko dobrowolna reforma obyczaju; to droga do zwycięstwa. Trudna, daleka, ale pewna.

*

* *

Jutro obchodzić będzie Polska z całym światem kulturalnym uroczystość powitania nowego roku. Obyczajem dawnym, poleje się dużo alkoholu, a potem poleje się dużo krwi i łez. My wzywamy do obchodów i uroczystości trzeźwych, świadomych istotnej treści wewnętrznej, radości i uciechy.

W pracy naszej możemy powoływać się na kraje, które już w dużym stopniu rozwiązały zagadnienie nas tak głęboko i boleśnie obchodzące. Na przedostatniej „Dekadzie" słyszeliście Państwo z ust p. Prokuratora S. N. Stanisława Czerwińskiego, szereg pouczających danych o Szwecji. Pozwolę sobie je tu przytoczyć, gdyż dobrych rzeczy — nigdy dosyć:

(Autor przytacza w tem miejscu zakończenie artykułu prok. Czerwińskiego — patrz wyżej, str. 477, 478, omawiające stosunki w Szwecji).

Czyta się to, jak bajkę, a jest to jednak prawda, do realizacji której należy dążyć, ale, nie dla pozoru, tylko rzeczywiście, ze wszystkich sił i z całem przekonaniem. Należy wysiłek jednostek i organizacyj popierać postawą i wysiłkiem Państwa, a nie patrzeć na akcję przeciwalkoholową tylko z jakąś neutralną pobłażliwością, jak na nieszkodliwą, w najlepszym razie, donkiszoterję.

Więcej dobrej i silnej woli w walce z alkoholizmem mamy prawo wymagać.

Każdy z osobna i wszyscy razem, dokonamy niezbędnego dzieła.

Wczoraj czytaliśmy w dziennikach wiadomość, u nas niemal nieprawdopodobną: w Anglji w mieście Letchworth, liczącem 15.000 ludności niema ani jednego wyszynku, bo cała ludność należy do związków

abstynenckich. Czy można w obecnych warunkach wyobrazić sobie np. Warszawę, jako miasto w większości abstynenckie? Śmiejecie się Państwo. Tak, takie przypuszczenie teraz wzbudza śmiech. Ale przyjdzie czas — gdy panosząca się obecnie u nas supremacja szynkarska budzić będzie litość, smutek i wstyd...

Wierzę, że ten czas nadejdzie.

Jan Szymański.

SPOŁECZEŃSTWO I WALKA Z ALKOHOLIZMEM

(Na tle wykładu, wygłoszonego na XIII Kursie Alkohologji w Warszawie, dn. 17.XII. 1938 r.).

Kurs nasz dobiega końca, poprzednicy moi wszechstronnie opracowali zagadnienie, nie mam więc już potrzeby utwierdzać Was w przekonaniu, że alkohol jest trucizną, a alkoholizm jedną z najcięższych chorób społecznych. Zdaniem mojem, zjechaliśmy się nie tylko dlatego, aby zagadnienie poznać, ale żeby się zmobilizować do walki z tą straszną klęską i opracować plan walki z nią, który w obecnych warunkach byłby możliwy do uskutecznienia. Myślę, że pomiędzy nami niema nikogo, ktoby obecnie nie był przekonany o konieczności walki z alkoholizmem, i ktoby nie układał sobie sam planu, w jaki sposób *on* po powrocie do domu będzie walkę tę prowadził. Obawiam się jednak, że w niejednym wypadku najlepsze zamiary zniweczy codzienna rzeczywistość, że dzień po dniu będziecie odkładać przystąpienie do wykonania pierwotnych projektów i z czasem zatracą się wrażenia z Kursu, a cała sprawa pójdzie w zapomnienie.

Wydaje mi się, że jedynym sposobem utrwalenia w sobie zamiarów prowadzenia walki z alkoholizmem, byłoby nawiązanie stałego kontaktu z Tow. „Trzeźwość". Będziecie dzielić się z nami wiadomością o każdem powodzeniu, donosić również o nieudanych próbach i korzystać z rad i wskazówek, jakich chętnie będziemy udzielać. Wydaje mi się, że będzie to znacznem ułatwieniem, o ile przystąpimy do pracy w wielkiej wspólnej gromadzie, a nie rozbici w pojedynkę.

Na czem jednak powinna polegać nasza praca? Na *uświadomieniu* najszerszych mas. Po sobie samych możemy sądzić, że w miarę uświadomienia zaczęliśmy innem okiem na sprawę patrzeć, zrozumieliśmy, że to jest sprawa pierwszorzędnej wagi, że ma ona decydujący wpływ na wartość poszczególnych jednostek, a przez to samo na całe społeczeństwo. Jeżeli rzucono nam hasło „wyścigu pracy", „podniesienia Polski wzwyż", to my mamy prawo i obowiązek — uzupełnić te hasła naszem hasłem „otrzeźwienie Polski" — „tylko trzeźwa Polska może zwyciężyć w wyścigu pracy" — „tylko trzeźwą Polskę można podnieść wzwyż".

Nie należy zwlekać — „w pokojowej walce narodów, ta rasa zwycięży, która pierwsza wyrzeknie się alkoholu" (prof. Bunge).

Już obecnie słyszę głoszy „cóż my możemy zrobić", niech to zrobi rząd, przecie my, poszczególni obywatele, jesteśmy bezsilni. Zapewniam Was, że gdybyśmy byli w rządzie z równem prawem, a może z większą

słusznością powiedzielibyśmy: my, rząd, jesteśmy w danym wypadku bezsilni, bo społeczeństwo zagadnienia nie rozumie, sprawy nie popiera.

Jest rzeczą ogólnie wiadomą, że każda wielka reforma, każde nowe prawo wpierw dojrzewa w opinji spoełczeństwa, a dopiero następnie jest przez ciała ustawodawcze i władze rządowe wprowadzone w czyn.

Nasza ustawa przeciwalkoholowa z r. 1920 była doskonale opracowana i uznana przez Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Kopenhadze za jedną z najlepszych ustaw. żaden rząd na świecie nie mógłby jej zmienić, gdyby całe społeczeństwo oceniało jej wartość i wypowiedziało się w jej obronie, wtedy przedewszystkiem i członkowie rządu rozumieliby jej wartość i znaczenie, wykonywaliby ją skrupulatnie, a wyniki musiałyby być jaknajlepsze — brak uświadomienia ze strony społeczeństwa, jak również i ze strony rządu spowodował, że obydwie strony — ustawy nie wykonywały. Dobra ustawa została na papierze, a życie poszło inną drogą, ustawa okazała się nierealną i upadła.

Sto kilkadziesiąt lat Ameryka przygotowywała się do wprowadzenia prohibicyjnej ustawy i ustawa była przyjęta z najwyższym entuzjazmem. W parę lat po wprowadzeniu ustawy statystyka wykazała we wszystkich niemal dziedzinach życia społecznego wielkie i korzystne zmiany:

Pod względem zdrowotności publicznej: zamknięcie zakładów dla alkoholików wobec braku pacjentów, zostały one zużytkowane na inne cele; zmniejszenie wypadków śmierci wskutek alkoholizmu o 78,9 proc., zmniejszenie liczby zachorowań psychicznych na gruncie alkoholizmu o 62 proc., zmniejszenie liczby zachorowań na choroby weneryczne o 14,2 proc.; na marskość wątroby o 53,1 proc.; wyraźnie zmniejszyła się również liczba zachorowań na gruźlicę, znikł ze szpitali dla gruźlicznych typ pacjentów, którzy pili i źle się odżywiali, i dlatego byli podatniejsi do zachorowań na gruźlicę.

Pod względem społecznym: liczba lombardów zmniejszyła się o 45 proc., poprawiło się znacznie życie rodzinne, liczba dzieci opuszczonych spadła o 15 proc., bezdomnych o 50 proc., przestępczych o 29 proc., Urząd dobroczynności publicznej w Nowym Yorku w swojem sprawozdaniu za rok 1921 podaje, że „zakaz sprowadził liczbę przypadków ubóstwa i nędzy wskutek alkoholizmu prawie do zera. Ubóstwo istnieje, lecz jest to ubóstwo dyskretne i czyste“. Liczba więzień całkowicie opustoszałych wynosi 20 proc., a w pozostałych 80 proc., liczba więźni zmniejszyła się o 15—80 proc.

Pod względem gospodarczym: 7,5 miljonów morgów ziemi, które poprzednio wytwarzały surowce dla przeróbki na alkohol, obecnie zostały oddane pod uprawę środków pożywienia.

Wyniki ekonomiczne zakazu doskonale ujmuje sprawozdanie izby handlowej angielskiej w Stanach, złożone izbie handlowej w Manchesterze na jej zapytania w tej mierze. Brzmi ono w sposób następujący: „Ze wszystkich większych środowisk fabrycznych napływają sprawozdania, stwierdzające podniesienie wydajności pracy; niezjawianie się do roboty wyraźnie stało się rzadsze, a robotnicy akordowi pracują dłużej. Wogóle można zauważyć większą sprawność i większy porządek w ogniskach pracy. Zmniejszyła się liczba nieszczęśliwych wypadków

i nastrój między robotnikami panuje lepszy. Przekonywającego dowodu pod tym względem dostarczają strajki, przebiegające w ostatnich czasach w zupełnym porządku, a rokowania pomiędzy pracodawcami a pracobiorcami przebiegają w sposób znacznie bardziej pokojowy niż poprzednio. Nie ma już w grze szkodliwego czynnika. W całym kraju można stwierdzić zwiększenie zakupów w sklepach, wzmożenie zdolności płatniczej i poprawę w dokonywaniu spłat długów. W okręgach przemysłowych kasy oszczędności wykazują wzrost wkładek i zmniejszenie ich podejmowania. Pracownicy kolejowi, którzy pod względem trzeźwości i poczucia odpowiedzialności i poprzednio już stali wyżej niż pozostałe klasy robotnicze, niewątpliwie po zakazie wykazują większą sprawność pracy; dotyczy to również kategorji robotników zajętych przy naprawie i utrzymaniu w należytym stanie środków przewozowych. Zakaz wywołał nawet pewne korzyści pośrednie wyrażające się w naprawie stosunków społecznych w wielu dzielnicach wielkomiejskich, które cieszyły się poprzednio złą opinją...

Kto ocenia położenie w Stanach Zjednoczonych na podstawie wiarogodnych sprawozdań, napływających z wielkich okręgów przemysłowych, kolei, kopalń, przedsiębiorstw handlowych, nie może zaprzeczyć, że zakaz alkoholu ujawnił się jako siła gospodarcza".

Jest to świadectwo ważne, tem cenniejsze, że pochodzi ze źródeł z założenia niezbyt życzliwie usposobionych dla sprawy zakazu.

Nic też dziwnego, że np. Edison, charakteryzując w jednej ze swych mów znaczenie zakazu, określa je w ten sposób, że „trzeźwa Ameryka stanie się najniebezpieczniejszym współzawodnikiem rynkowym. W przyszłości przed innemi narodami stanie pytanie: trzeźwość (so-
W przyszłości przed innymi narodami stanie pytanie: trzeźwość (so-
w senacie 15.11. 21 oświadczył: „Stany Zjednoczone wytworzą rasę, wolną od przekleństwa trucizny alkoholowej... staniemy się największą potęgą pieniężną pomiędzy wszystkimi narodami, ponieważ zachowamy dla siebie to, co inne narody trwonią na napoje alkoholowe. Zakaz napojów alkoholowych zrobi ze Stanów Zjednoczonych największą potęgę finansową, polityczną i moralną świata".

Powyższe dane, dotyczące wyników początkowych prohibicji w St. Zjedn. A. P., przytaczam według broszury prof. D-ra Rafała Radziwiłłowicza: „Zakaz alkoholu w Ameryce", Warszawa, 1923.

Takie bardzo pomyślne wyniki ujawniły się wszędzie tam, gdzie była wprowadzona prohibicja, czy to w wielkiej kulturalnej Ameryce, czy też w wielkiej, a zacofanej Rosji, czy też w małej, słabo zaludnionej Finlandji. Wszędzie w pierwszych latach po wprowadzeniu prohibicja powodowała pod wszelkimi względami kolosalne zmiany *na lepsze*. Niestety działanie pozytywne zakazu jest krótkotrwałe i po kilku latach w tej wspaniałej budowie pojawiają się głębokie szczerby, powodujące w następstwie upadek ustawy.

Ciekawe były warunki wprowadzenia ustawy prohibicyjnej w Finlandji i następnie jej skasowania. Pierwszy fiński parlament jednogłośnie przyjął ustawę prohibicyjną. Na wiadomość o zatwierdzeniu tej ustawy nieopisany entuzjazm zapanował w kraju, nieznajomi ludzie na ulicach rzucali się sobie w objęcia, wyrażając radość z wprowadzenia tej reformy. Po dziesięciu latach parlament prawie w tym samym,

niezmienionym składzie zniósł ustawę prohibicyjną.

Prohibicja więc nawet w społeczeństwie, dobrze do tej reformy przygotowanem, daje wyniki dodatnie tylko na krótki czas, zaraz po jej wprowadzeniu; natomiast z biegiem czasu zaczynają mobilizować się ciemne siły, które zmuszają nawet zwolenników ustawy do wycofania prawa prohibicyjnego. Nie znaczy to jednak, żeby jednocześnie ze skasowaniem prohibicji miała nastąpić zupełna swoboda w produkcji i sprzedaży alkoholu, zwykle wprowadzane są ustawy *ograniczającej* spożycie alkoholu, a zagadnienie walki z alkoholizmem stale jest jedną z najważniejszych trosk rządu i społeczeństwa. Dość powiedzieć, że główna walka wyborcza jest prowadzona pod hasłem „suchy", czy „mokry", przyczem partja „suchych" dąży do prohibicji, zupełnej nie ograniczonej swobody żadna partja nie ośmieli się do programu swego wprowadzić.

W różnych krajach były wprowadzane ustawy dla zmniejszenia spożycia alkoholu. Różne narody klęskę alkoholizmu zwalczają w różny sposób, zwalcza ją także Hitler, zwalcza Mussolini, w pewnym stopniu walka jest prowadzona w Bolszewji. Słowem, różne narody klęskę alkoholizmu zwalczają.

Nie wolno w tych warunkach obojętnie sprawy tej traktować, bo tamte narody nas wyprzedzą, a my zostaniemy w tyle.

Nawet w granicach naszego państwa mieliśmy żydów, a obecnie mamy jeszcze Ukraińców, którzy bardzo skutecznie w swoim środowisku usuwają alkohol — w tych warunkach nie wolno nam czekać — musimy natychmiast przystąpić do jak najeenergiczniejszej pracy—uświadamiać i organizować zwolenników idei walki z alkoholizmem.

18 maja 1939 r. upływa 20 lat od dnia założenia naszego Towarzystwa. W dniu tym więc Tow. „Trzeźwość" będzie obchodzić 20-letni jubileusz, dzień ten powinien stać się wielką demonstracją idei trzeźwości w całem państwie.

Na ten dzień właśnie wyznaczony został Zjazd delegatów wszystkich naszych Kół, oraz delegatów pokrewnych organizacyj. Dość jest czasu, żeby zorganizować miejscowe Koło i przysłać swoich delegatów na Zjazd. A jednocześnie w tym dniu Koła na miejscu winny zebrać jak najliczniejsze zebrania — akademje i uchwalić odpowiednie rezolucje. Oprócz Was, słuchaczy tego XIII Kursu alkohologji, są jeszcze słuchacze XII poprzednich Kursów, tych również postaramy się zmobilizować i Was zapoznać z najbliższymi Waszymi sąsiadami, słuchaczami poprzednich Kursów. W ten sposób chcemy zmobilizować możliwie wszystkich słuchaczy, a będzie ich około 3 tysięcy, myślę, że żyją jeszcze wszyscy, bo to są przecie abstynenci, a my się na tamten świat nie bardzo się śpieszymy, mamy jeszcze tu dużo roboty.

Pierwszym więc aktem, który będzie najlepszym sposobem uświadomienia najszerszych warstw — będzie demonstracja 18 maja 1939 r. W dniu tym opracujemy i obmyślimy dalsze nasze plany. Od powodzenia tej demonstracji uzależniamy szerszy lub węższy program na przyszłość. Od Was więc w dużym stopniu zależy, żebyście pchnęli sprawę naprzód jaknajsilniej.

Nie wiem, czy zwróciliście dostateczną uwagę na dumne hasło, wypisane na głównej ścianie naszego lokalu *„przyszłość nasza";* wiem,

że już Wy bardzo ładnie śpiewacie nasz hymn, ale nie wiem, czyście się wczytali w słowa Marji Konopnickiej, a w szczególności:

„Wiosną jutra hymn nasz brzmi".

Z tego widzicie, że my nie mamy wątpliwości, my wierzymy w naszą przyszłość i wierzymy w to, że będziemy „co dnia mnożyć orszak nasz".

Do pracy więc, do szeregu!

Aleksander Iżycki.

ZE ZJAWISK LITERACKICH.

(Gojawiczyńska, Piętak, Andrzejewski, Fink).

„Można przelać morze krwi dla szczęścia ludzkości i położyć pokotem wszystkich, co do jednego wrogów sprawiedliwego ustroju, a nie wytępi się ciemnoty, gwałtu, chamstwa, brudu i tysiąca absurdów, które wejdą wraz ze zwycięzcą przez próg nowego domu i rozgoszczą się tam na dobre i na długo, może na zawsze, jeżeli uprzednio nie odnowi się w człowieku dusza. Tego oczyszczenia duszy nie zastąpi żadna doktryna, ani nowe prawo, ani nowy proletarjacki obyczaj, albowiem miarą wszystkiego jest człowiek".

Andrzej Strug
(„Miljardy.")

Pisząc w „Trzeźwości" [1]) o I tomie „Słupów Ognistych" Poli Gojawiczyńskiej, nie przypuszczałam, że w tomie II losy Piotra Witkosza, wplątane w życie powojennej Warszawy, będą tak bardzo tragiczne. Tom II „Słupów Ognistych" [2]) wprowadza nas w środowisko przemysłowo - kapitalistyczne, którego jedynym celem jest zrobienie wielkich pieniędzy, a następnie używanie ich na zaspokojenie najegoistyczniejszych potrzeb. Knajpa, pijaństwo, kobiety, pieniądz — oto wyłączne zainteresowania ludzi oddanych robieniu interesów. Piotr — człowiek młody, pełen niezużytych sił i nieujarzmionej potrzeby działania, zostaje przez ten świat wchłonięty — wsysają się weń wszystkie zabójcze, trujące jady wielkiego zbiorowiska ludzkiego, opętanego żądzą użycia i zdobycia pieniędzy. Nie napotyka nikogo, ktoby mu zwrócił uwagę, że poza ujmowaniem całokształtu pracy i wysiłków ludzkich z materjalnego punktu widzenia i kierowania się czysto egoistycznemi pobudkami, istnieje jeszcze czynnik innego wymiaru, regulujący nasze zabiegi i nasze trudy, że czynnika tego zaniedbywać nie można, bo się prędzej, czy później dochodzi do rezultatów opłakanych, wręcz destrukcyjnych. Pieniądz, jako jedyny cel działalności człowieka, jest elementem niszczycielskim, deprawującym — o tej prawdzie nie wie, nic wiedzieć nie chce najbliższe otoczenie Piotra, on sam całkowicie nasiąka atmosfe-

[1]) Nr. 1 — 4 styczeń — kwiecień 1938.

[2]) Pola Gojawiczyńska: „Słupy Ogniste" Tom II. Wydawnictwo Mortkowicza. 1938. str. 475.

rą do gruntu zdemoralizowaną.

Tak niezmiernie ważna dla państwa i dla jego ekonomicznego rozwoju dziedzina życia handlowo-gospodarczego, jest w rękach ludzi, którzy nie dostrzegają nic poza dobrem własnej kieszeni.

Obiło mi się o uszy czyjeś powiedzenie, że Gojawiczyńska przedstawiła tu życie inteligencji. Wówczas nie znałam jeszcze tej książki. Obecnie zaś widzę, jak wielkie tkwi nieporozumienie w tego rodzaju mniemaniu. Nie można pod miano „inteligencji" podciągać sferę ludzi, dla których pieniądz jest alfą i omegą istnienia, pomimo, że mają oni fachowe wyższe wykształcenie. Bo jak w takim razie nazwiemy klasę ludzi wykształconych, pracujących w swoim zawodżie z pobudek idejowych i którzy „zarobek" traktują, jako konieczność utrzymania się na powierzchni życia, którzy są opłacani niewspółmiernie do trudów wkładanych; ale ten fakt bynajmniej nie wpływa na wydajność ich pracy i nie pomniejsza ich entuzjazmu? Książka Gojawiczyńskiej, wysuwa zagadnienie inteligencji (palące nie tylko u nas), oraz walorów, które ona przedstawia dla życia państwowego i społecznego. Jest to sprawa skomplikowana i bardzo szeroka, to też tutaj możemy się nią zająć tylko w pewnym skrócie, tem bardziej, że i zagadnienie alkoholu łączy się z nią w sposób niewątpliwy.

Nie samo tylko wykształcenie stanowi linję podziału. W społeczeństwach o wysokiej kulturze, linje owe są bardzo luźne i coraz trudniej się je dostrzega. Ogromną rolę gra czynnik psychiczny, owo nastawienie idejowe, nadające cel i życiu i prawom. Inteligencja ta prawdziwa, istotna przedewszystkiem tem się odznacza, że pracuje dla pewnych idei, dla pewnego dobra społecznego, kulturalnego, artystycznego, czy naukowego, ujętego w ramy danego zawodu, danej specjalności, sprawa zaś wynagrodzenia materjalnego jest wywołana koniecznością życia, koniecznością zapokojenia jego potrzeb. W szeregach inteligencji spotykamy przedstawicieli wszystkich środowisk społecznych, bo ona skupia i jednoczy ludzi o wspólnem podłożu społecznem, naukowem, artystycznem. Lecz niema wśród niej miejsca dla tych, których jedyną sprężyną, pobudzającą do pracy i wysiłku, jest moment jak największego zysku materjalnego, poza którym niema nic wartościowego, nic cennego. Są oni zapatrzeni w egoistyczny interes własnej kieszeni, której skrzętne wypełnienie zapewnia wszelkie uciechy, dalekie od tego wszystkiego, co stanowi kulturę. Noce, spędzane na pijaństwie w eleganckich barach, przyczyniają się do zupełnego zatracenia honoru, uczciwości, prawości zarówno w zakresie interesów handlowych, jak i w dziedzinie stosunków osobistych. Pijaństwo niewątpliwie również powoduje tępą bezmyślność, połączoną często z dziecinną niemal lekkomyślnością, w wyniku której następują tak często tragiczne nieporozumienia i konflikty.

Piotr Witkosz, ów Piotr z pierwszego tomu pełen młodej, dodatniej tężyzny przegrywa życie, bo środowisko, do którego miał nieszczęście wejść, całkowicie wyzuło go z poczucia norm, pewnych więzów moralnych, które muszą obowiązywać również i w działalności nawskroś ekonomiczno-handlowej. Pieniądz, stawszy się wyłącznym celem zabiegów i prac ludzkich, zabija doszczętnie pierwiastki duchowe, idejowe, społeczne. Gojawiczyńska dała szereg scen niesłychanie plastycznych,

wykazujących właśnie ową beznadziejną nicość moralną ludzi „interesu“. Piotr swą, wspaniale początkowo zapowiadającą się, karjerę kończy w więzieniu, jako ofiara owych pozornie doskonale prowadzonych interesów, którym jednak brakowało koścca rzetelnego ujmowania spraw, poważnego orjentowania się w skomplikowanym mechaniźmie procesów gospodarczych, uwzględniania momentów dobra społecznego, które musi być brane w rachubę w akcji przemysłowej, będącej tak ważnym czynnikiem w ogólnem życiu kraju i Państwa. Zbankrutować musi człowiek, który w pracy swej ma tylko samego siebie na widoku — cały jego wysiłek i trud stają się wówczas niemoralnym wyścigiem apetytów analogicznych indywiduów, których koniec jest w większości wypadków bardzo żałosny. Piotr żyje w stanie stałego gorączkowego otumanienia: nawał spraw zawiłych, fachowych, oraz noce, spędzane na hulankach, nie pozwalają mu na opanowanie sytuacji, która staje się coraz groźniejszą i w końcu doprowadza go do kratek więziennych. Jego piękne i głębokie uczucie dla Teresy, ogniskujące wielki talent Gojawiczyńskiej, w całem pogmatwaniu spraw życiowych, staje się również partją przegraną, tworząc niejako harmonijnie konsekwentny obraz bankructwa człowieka, mającego w sobie wszystkie zadatki, by być zwycięzcą.

Ale Piotra zgubiło nie środowisko inteligencji, a po prostu warstwa ludzi, żerująca na całem społeczeństwie, jako na pożywce dla hodowli ich egoistycznych, niskich, chamskich instynktów użycia. Pod pozorem jakiejś niby szeroko zakrojonej akcji budowlanej, coś oni organizują, tworzą, o coś usilnie zabiegają, nad czemś mozolnie się trudzą, a w rzeczywistości mają przed sobą wyłączny, jedyny cel: jak najwięcej i jak najszybciej zrobić pieniądze po to, by je zużyć na hulanki, takie, czy inne. Społeczeństwo, Państwo, istotne potrzeby narodu są dla nich pustymi dźwiękami, bez treści i nakazów. Dla nich istnieją tylko oni sami — poza nimi nicość, o której nie warto nawet myśleć, ani tem więcej z nią się liczyć.

Między nimi, a prawdziwą inteligencją leży czynnik idejowy, czynnik natury moralnej, stwarzający samorzutnie ową linię podziału. Inteligencja łączy ludzi ze wszystkich warstw, wszystkich zawodów, których pobudką do pracy jest jakiś cel idealny natury społecznej, naukowej, czy artystycznej. Warto to sobie dokładnie uświadomić z okazji czytania książki Gojawiczyńskiej, gdyż takie spojrzenie na tą sprawę może w bardzo wielu wypadkach dopomóc nam do właściwego orjentowania się w przeróżnych faktach naszego życia społecznego. Perspektywa osobistych materjalnych korzyści zbyt jaskrawo występuje, jako czynnik decydujący w przejawach życia współczesnego, aby można było poważnie się nie zatroszczyć o wartość moralną człowieka. Troska ta dziwnie silnie przeziera z kart powieści Gojawiczyńskiej, prześwietlając kulisy powojennej rzeczywistości.

„Albowiem miarą wszystkiego jest człowiek“.

Człowiek, a nie zawód, nie fach,-któremu się oddaje. Człowiek w powieści Gojawiczyńskiej zatracił swoją wartość, oddał się najnikczemniejszym, bo egoistycznym instynktom swej natury, pozwolił się im całkowicie opanować, zatracając w ten sposób wszystkie wartości społeczne i kulturalne. Piotr jest wymownym tego przykładem. Ma on

w sobie zadatki dodatnie, ogromną inicjatywę, niespożytą energję, wspaniałą orjentację w sytuacjach ekonomicznych, a jednak został unicestwiony, bo pod wpływem środowiska, które go łapczywie wciągnęło, jako jednostkę niepospolicie uzdolnioną, a więc niezmiernie potrzebną, wyzbył się wszelkich hamulców moralnych i wszelkich pobudek idejowo-społecznych. Padał zresztą sam ofiarą ludzi nieuczciwych, również goniących za zyskiem bez żadnych ograniczeń — zgubił zdrowy sens, zatracił swe cenne walory intelektualne, z którymi przybył do Warszawy, by dokonać wielkich rzeczy. A tymczasem Warszawa go zgubiła, a raczej zgubiła go banda, żerująca na społeczeństwie, do której szeregów bezwolnie przystał.

Z więzienia udał się do rodzinnej wsi — prowadzi go do niej przyczajona śmierć, czuje ją i pokornie odchodzi w zaświaty, z miejsca, skąd wyszedł w dniach młodości, pełen mocy i nadziei, a powrócił złamany po ukojenie wieczyste.

„Albowiem miarą wszystkiego jest człowiek".

*

„Młodość Jasia Kunefała [1]" Stanisława Piętaka jest ciężka i niewymownie smutna, może nawet beznadziejna. Wszystko się na to złożyło: bieda wiejska, ciemnota i alkoholizm, w którym ludzie toną, nie wiedząc o niebezpieczeństwie. Nic w tem zresztą niema dziwnego, że wieś nie wie, czem jest wódka — to jest zrozumiałe i naturalne i można tylko bezradnie patrzeć na otchłań niesamowitych cierpień, którą brną masy ludzkie w tragicznym pochodzie przez życie, nie dające im faktycznie żadnego ze swych wielkich dobrodziejstw. Skarży się Jaś:

„Tak, tato, może wy i słusznie krzyczycie na mnie, że ja leń, ale cóż zrobić? Lubię leżeć na wznak, ścigać chmury na niebie i myśleć, jakto było, kiedy miałem lat pięć, siedem, dziewięć...

„Adam naraz podniósł się z ławy i przeszedł się w zamyśleniu parę razy po izbie.

„O nie gniewajcie się, cóż ja winienem, że mam taką naturę, zawołał Jaś głośno. Cóż ja winienem, że wolę czytać książki i patrzeć, przypatrywać się, niż pracować w polu? Czyż nie możecie mi tego wyrozumieć? Och, ja radowałem się wtedy, gdy zajechaliśmy do Grabia, myślałem przecież, że tak miło będzie orać nam swoim koniem ziemię, ale później, później — czyż nie wiecie? Kazaliście mi iść do lasu po gałęzie, poszedłem, kazaliście mi kobyłę prowadzić za uzdę, prowadziłem, choć żyły pękały mi na skroniach — nie kłamię. Wy na nas biczyskiem, bryłami, a przecież my nie mogliśmy uciągnąć. Kara pyskiem o ziemię tarła, łapy się jej ruszały, jak łodygi, mnie krew raz po raz biła do oczu. Sił nie mieliśmy zupełnie, więc co krok trzeba było przystawać, bo żeby bił i zabił, nie można było dalej.

„Jak było tak było, nie mam do was żalu, choć niejedna bryła rozbiła się na moim łbie. Ale po co się było mścić na koniu co ledwie kopyta oddzierał od ziemi? Doskoczyliście do niej, najpierw pięścią buchnęliście ją w mordę, aż jej farba popłynęła z niucha, a potem, że was niby wierzgnęła, gdzieś w nogę, z całej siły kopnęliście ją w brzuch.

„Stałem na miedzy i sam nie wiem, jak to się stało, niebo zwa-

[1]) Stanisław Piętak: „Młodość Jasia Kunefała". Wydanie drugie. Warszawa 1938. Nakładem księgarni Hoesicka str. 219.

liło mi się na głowę. I dopiero przyszliście do mnie, podnieśli mnie i zanieśli na wóz. O, nie, ja nie obwiniam was, bo przecież dobrze rozumiem, że ludzie wywalali na was gały z tej i tamtej strony, a w was aż skakało wszystko ze wstydu. No, ale żeby kopnąć ją, taka chyra i wiecie, ślepia miała takie, jakby w nich człowiek siedział żywy.

„Ogarnęło go ogromne wzruszenie, tuż o krok zobaczył przed sobą Karą. Była bez sierści, bąki i muchy czepiały się jej nagich pokrwawionych boków — z wilgotnych, przemęczonych ślepiów sączyła się biała ropa.

„Chodź, Kara, chodź, wziął ją za uzdę... Naprzeciw słaniało się bure, śniade niebo, kępki drzew błądziły nad wodą pod lasem.

„Jest czwarta, a będzie piąta i szósta... Spoczniemy sobie wnet, no chodź. Jak długa się wyciągniesz w nocy na rosie...

„Spojrzał na Karę, lecz ona tylko zniżyła łeb zeszpecony zarazą jeszcze bardziej, ślepia jej drgnęły człowieczą, dławiącą żałością i strachem.

„Pamiętacie — zwrócił się do ojca i szarpnął go za rękę — z Karej kapała piana na murawę, wyście kręcili papierosa, a ja leżałem na wznak i szukałem oczami wiatru, bo gdzieś wionął na Grzelawskich topolach. Nie mówiliśmy do siebie, bo was dusiła złość od samego południa, a ja, jak ja — uszami wisiałem w powietrzu i tyle.

„Ciamajda z ciebie, Jasiu, cóż zrobić — uśmiechnął się Adam Kunefał i pogładził syna lekko po włosach.

„Nie, ja ciamajda nie jestem — zawołał Jaś — ale wiecie, kiedy tylko księżyc zacznie chodzić po łące, a żaby poczną rechotać, to mi się strasznie głupio robi na sercu... A wtedy właśnie miesiąc wyszedł z lasu i żaby obudził w starej rzece...

„Zaprzęgliście Karą — i do mnie: No co ty? Więc siadłem na wóz i pojechałem. Już zacząłem cywieć, bo miesiąc gdzieś wszedł mi zupełnie pod pachę, aż tu wy. Jasiu, Jasiu! Takim strasznym głosem krzyknęliście, że od razu pękło mi coś w oczach.

„Zerwałem się, a wy ręce na krzyż — i że Kara nie pójdzie, ustała... Cóż było robić? Wyprzęgliśmy ją i puściliśmy na trawę. Usiedliście koło mnie i może ten miesiąc to zdziałał, zaczęliście opowiadać o sobie, o mamie, o nas — że Krzysia będziecie kształcić na stelmacha, a mnie poślecie do gimnazjum — i tylko, że taka bieda... Pan Bóg i ludzie opuścili...

„Słuchałem, bo jakże? szumiało mi koło uszu i wyście mówili tak jakoś inaczej.

„Chwilę znowu leżał objęty milgotną mgłą, uśmiechał się cicho, skupiony:

„Ale to był powrót, tato... 100 kroków i postój, 100 kroków i postój...

„Miesiąc odszedł na zwiady do wsi i utknął na kościelnej lipie, my wtedy ostatni raz zatrzymaliśmy się na wzgórzu pod młynem".

Chory Jaś rozmawia z ojcem, we wspomnieniach wyładowuje nagromadzone latami krzywdy, to znów zapada w stan majaczenia,—przesuwające się obrazy dzieciństwa stają się rzeczywistością w jego rozgorączkowanym umyśle. A ów nieszczęśliwy koń, Karą przezwany, ma swą specjalną wymowę, gdyż jako zwierzę już całkowicie wyniszczo-

ne i ledwo trzymające się na nogach, zostało kupione przez pijanego ojca Jasia na jarmarku, a przyprowdzone do domu, zostało powitane, rzecz prosta, rozpaczą matki i dzieci. Trzeźwy człowiek nigdyby nie nabył do gospodarstwa stworzenia zmarnowanego chorego, nie mogącego pracować, płacąc zań duże pieniądze. Dla rodziny był to nowy cios. Wydano krwawo zdobyty grosz, a wzamian otrzymano szkielet koński.

Ale scena ta ma jeszcze inne znaczenie. Wykazuje ona przerażające okrucieństwo Adama Kunefały, znęcającego się równocześnie nad własnem dzieckiem i nad koniem, a okrucieństwo, pewna tępota i bezmyślność tego okrucieństwa, to cechy pijaków. Wierzyć się nie chce, by człowiek, przy zupełnie zdrowych zmysłach mógł tak katować niewinne dziecko i nieszczęśliwego konia. A obok okrucieństwa występuje (również charakterystyczna cecha pijaków) łatwość przechodzenia do nastrojów czułych, do roztkliwiań się nad sobą i nad otoczeniem, które się krzywdzi, — ale to są wszystko tylko chwilowe i przemijające wybuchy, na które nic nie można liczyć.

Cała książka jest przepełniona scenami pijackiemi rodziny Jasia, który i sam zaczyna pić. Na parę tych scen pragnę zwrócić specjalną uwagę.

W chwili przełomowej w życiu, gdy za ciężką obrazę nauczyciela, został Jaś wyrzucony z gimnazjum na rok przed maturą, w karczmie przy kieliszku następuje jakieś wielkie pojednanie między nim i ojcem, — wódka jednemu i drugiemu ułatwia szczere wyznania przeżyć, któremi na trzeźwo nigdyby się wzajemnie nie obdarzali, zaciera granice wieku, stawia ich na poziomie przyjacielskiego obcowania, w które wkładają wiele szczerego uczucia i sentymentu.

„Weszli i usiedli w rogu przy osobnym stoliku. Gwarno tu było, dym snuł się, jak po pogorzelisku. Chłopi kłócili się, wstawali, by odejść, lecz od drzwi znowu wracali, przysiadali nad szklankami piwa.

„Adam zamówił wódkę i coś do zjedzenia, Jaś siedział milcząc — drżał cały aż do wypicia pierwszego kieliszka.

„To on cię nazwał chamem od gnoju — powiedział Adam. Tak. — „Jaś podniósł się na ławie, był śmielszy, urywanie zaczął przedstawiać ojcu całe zajście, unosząc się uczuciem nienawiści. On tak zawsze odnosił się do mnie, on tak zawsze — powtórzył i pochylił głowę w rozpaczy i gniewie nad brudnym blatem stołu.

„Nie stało się nic strasznego. Tyle tylko, że wypadło to na rok przed maturą i że nie będziemy cię mogli gdzieindziej posłać — czy wiesz, Gniadąś - śmy sprzedali — powiedział Adam naraz, tak jakoś żałośnie. Wypili znowu kilka kieliszków, za rzędem. Jaś poczuł, że twarz go pali, że zapalczywa siła prostuje mu ręce, nogi, pierś.

„Dam sobie radę — zawołał — w domu się przygotuję, będę zdawał, jako externista, napewno zdam.

„Spojrzał przez stół. Oczy ojca zapadały się w siną przepastną głębię, kiedy powiedział: Dziwnie się to dzieje w naszej rodzinie — stryj Teofil za sprawą jakiegoś księdza musiał opuścić szkołę, Pawła w Krakowie usunęli za socjalizm — teraz ty...

„Chwycił ojca za rękę. Ze mną będzie inaczej. Zobaczycie, tato, wszystko przejdę, wszystko pokonam. Ja muszę dojść do czegoś w życiu.

„Nachyleni ku sobie ponad kieliszkami, szeptali urywanie, spowiadali się z przeżyć, których normalnie nigdyby sobie nie wyjawili.

„Straszne musiały być dla ciebie te dni — rzekł Adam.

„Och, gdym pomyślał o was — szepnął Jaś i nagle zdumiał się, ojciec wolno i bezładnie zaczął mówić, nigdy tak smutnie nie mówił. Okropne to jest, kiedy się niema nikogo bliskiego w rozpaczy. Czy ty wiesz, że ja po powrocie z wojska myślałem o samobójstwie. Gospodarstwo było w takiej rozsypce, wy z matką wszyscyście byli przeciw mnie. że to nic nie przywiozłem z Ameryki, że do wojska zachciało mi się pójść — porzucić wszystko. Było mi strasznie żyć, pomiędzy wami, a potem tyle nieszczęść... Raz już postanowiłem, wieczorem, gdyście usnęli, ubrałem się, wyszedłem na dwór: „Pójdę do rzeki pomyślałem. Zaszedłem prawie do wału... Jaś uniósł się naraz nagłym ruchem z ławy. Tato, przecie myśmy was tak kochali. Pochwycił rękę ojca — my nie przeżylibyśmy, jak wyście mogli — miał pełne łez oczy, trząsł się cały.

„Wypili jeszcze po kilka kieliszków. Teraz ojciec podnosił się w górę, mówił głośno, uderzał w stół, a jego ogarniała przeraźliwa senność i żałość — w pewnym momencie chciał się rzucić ojcu do kolan i powiedzieć mu wszystko o sobie, o Józi, o tym okropnym śnie, że tak jest strasznie nieszczęśliwy. Zerwał się, lecz nagle odwróciło mu się w oczach, wszystko teraz pływało w pokoju, — oczy, ręce, strzępy ubrań. Gdzie ojciec? Tato, tako! krzyknął.

„Do djabła, nie było ojca. Szedł spadzistą ulicą, pełno tu było kwiatów, tak ogromnych i pięknych, że co chwila wyrywało mu się westchnienie zachwytu z piersi. Drogę zaszła mu nienana dziewczyna, ubrana cudacznie w czerwoną suknię, z złotym parasolem w ręce. Ale też pani ma głowę — powiedział i wśród śmiechu, uderzył ją po plecach.

„Co? w tej chwili, jakby go ktoś pchnął, zatoczył się i szerzej otworzył oczy. Ech, u licha — przecież on był pijany — nic więcej.

„Pamiętał tylko, jak ojciec wziął go pod ramię i z Kasprem Światowcem wyprowadził go na rynek. Był już wieczór, no to było w porządku, ale czego domy płynęły w sinej bani powietrza, jak płotki, a w oknach domów zamiast wazoników z kwiatami, stały koty...“

Alkohol został tu przedstawiony, jak czynnik, wnoszący pewne odprężenie, pewne wyzwolenie od tajonych głęboko tragicznych przeżyć. Prymityw życia tych ludzi, pozbawia wrażeń z dziedziny oderwanego życia uczuciowego, jakie daje np. książka, lub muzyka, pozwalając człowiekowi steranemu i przygnębionemu odejść od swoich trosk i nieszczęść i znaleźć zapomnienie o tem, co najbardziej dolega. W każdym człowieku potrzeba takiego zapomnienia, takiego odejścia od samego siebie, jest silna, chodzi tylko o to, w czem się szuka ukojenia i pomnożenia własnych sił — w alkoholu, czy też w jakiejkolwiek rozrywce kulturalnej.

Łzy nad losem bohaterów z książki, lub wyciśnięte wzruszeniem muzyką, śpiewem, obrazem, nie są wynikiem wyłącznie przejęcia się czytanem, czy słyszanem; znajdują w nich częściowo ujście jakieś nasze wewnętrzne bóle, troski, odżywają długo tajone zawody i rozczarowania i roztapiają się pod wpływem tchnień, któremi obdarzają nas różne formy sztuki. Jasiowi przyroda chwilami dostarcza doznań, wy-

zwalających go z surowości losu i przenoszących w krainę oderwanych nastroi, tak potrzebnych, jego poetyckim skłonnościom,ale to bynajmniej nie zadawala wszystkich tęsknot, wybiegających po za ową bezpośrednią rzeczywistość, tak gorzką i upośledzoną.

Wesołe i beztroskie zabawy, które się celowo stara wprowadzić do akcji przeciwalkoholowej, jako czynnik rugujący pijaństwo, nie zaspokoją jednak w całej pełni utajonych w człowieku dążeń, których on nieraz sam nie jest świadom dokładnie, ale które wytwarzają ów niepokój wewnętrzny, owo niepogodzenie się z rzeczywistością, prowadzące często do szukania euforji w alkoholu.

Człowiek pożąda silnych podniet, a jednocześnie pewnego oparcia dla siebie, pewnego wzmożonego samopoczucia własnych sił i możliwości. Stan alkoholowego odurzenia daje poczucie rekompensaty najbardziej osobistych braków, nasila, uintensywnia tętno wewnętrznego stanu, obdarza ułudą łatwego zdobycia osiągnięć, do których w stanie trzeźwym nie bylibyśmy zdolni. I dlatego niezmiernie ważną rzeczą jest wpajanie w młode pokolenie przekonania, że nauka i sztuka są potężnym czynnikiem, mogącym na drodze uczuciowej i intelektualnej obudzić i pobudzić do ekspansji te siły psychiczne, które zapewniają silny rozwój osobowości i pomnażają dobre samopoczucie. Będzie to pośredni sposób walki z alkoholizmem, ale tym atakiem okólnym niezmiernie wiele możemy zrobić. Iluż Jasiów Kunefałów marnuje się doszczętnie, w alkoholu topiąc nieraz najlepsze zadatki, które w ramach twardej i bezlitosnej rzeczywistości paczą się całkowicie. Propaganda książki, muzyki i t. d. dla ludzi nie obarczonych specjalnie psychicznemi skłonnościami, może stać się niewyczerpanem źródłem tak silnych, tak wstrząsających doświadczeń, że alkohol przestanie ich pociągać, zwłaszcza jeżeli się im dorzuci jeszcze garść wiadomości z zakresu działania alkoholu na mózg i system nerwowy. Książka, czy jakakolwiek inna dziedzina życia intelektualnego, daje zapomnienie o rzeczywistości, dławiącej nas, a jednocześnie zapala w nas entuzjazm tworzenia wartości realnych, odpowiadających nastawieniu i zdolnościom, które są w nas i które domagają się głosu i możności wyżycia się. Ciasno jest nieraz człowiekowi w ramach tej jego codzienności, szuka szerszej przestrzeni, szerszego oddechu, chwyta namiastkę, często nie podejrzewając, jakie mu ona szkody wyrządza. Trzeba mu wskazać na otwarty świat ducha ludzkiego, zaklęty w utworach nauki, czy sztuki, mogący się stać i jego własnością. Dlaczego Jaś ma nie pić, skoro wszyscy tak czynią? A właśnie mu wykazać, że choć wszyscy dookoła tak się upijają, to on pić nie będzie, bo nie chce własnej zguby, nie chce dobrowolnie iść ku niechybnemu zatraceniu. Powiedzieć Jasiowi całą prawdę o alkoholizmie i puścić go w świat szeroki, by żył mądrze i szlachetnie, bo mądrość i szlachetność kołacze się w jego nieszczęśliwem sercu, tylko nie znajduje odpowiedniego wyrazu, stosownej formy.

Ale trzeba się spieszyć z tą naszą pomocą. bo Jaś pisze: „Od paru dni strasznie pożądam zmiany, chcę pić, hulać, poznawać coraz to nowe kobiety... Pragnienia te po części wprowadziłem w czyn. Wczoraj w miejscowej oberży upiłem się do nieprzytomności w towarzystwie kilku starszych kolegów".

Naogół nie docenia się jeszcze roli książki i sztuki w walce z al-

koholizmem, a właśnie w powieści Stanisława Piętaka całkowicie pozbawionej tych momentów w stosunku do życia opisywanych ludzi, ów brak fatalny, specjalnie uderza czytelnika i po prostu przeraża. Jest to również jedna z przyczyn, dlaczego „Młodość Jasia Kunefała“ jest tak beznadziejna, jak to na samym początku zaznaczyłam.

*

* *

Przystępując do pisania o „Ładzie Serca“ *) Andrzejewskiego, a nie mogąc z racji charakteru naszego pisma, poruszać całego szeregu zagadnień psychologicznych i filozoficznych, będących treścią tej książki, pragnę w paru słowach podkreślić, że pisał ją człowiek o dużym talencie, mogący stanąć w jednym szeregu z pisarzami tej miary, co Mauriac, Bernanos, a więc z elitą przedstawicieli katolickiego odłamu pisarzy francuskich.

Zagadnienie odpowiedzialności za czyny popełnione, zagadnienie wolnej woli człowieka, przewijają się po przez tragiczną historję jednej październikowej nocy, która wielu wyrzuca „ze swego odmętu na poranny brzeg nagich i skrwawionych“. Dokonywujące się w ciągu jednej nocy zbrodnie i tragedje są konsekwentnym epilogiem spraw, zapoczątkowanych nieraz przed wielu, wielu laty, i wyrastają przed nami, jako groźne problemy zła i grzechu, mające nie tylko swoją historję, lecz i wytłumaczenie w światopoglądzie religijnym.

Andrzejewski, przejęty do głębi zasadami katolickiego humanizmu, zgodnie z dogmatyką katolicką, polegającą na wierze w wolność wyboru między dobrem i złem, daną człowiekowi w drodze łaski nadprzyrodzonej (te same zagadnienia mamy u Mauriaca), mocą swego wielkiego talentu, ukazuje czytelnikowi drogę do jego własnego sumienia i nakazuje mu zastanowienie się nad najpoważniejszemi zagadnieniami natury moralnej. I dlatego książka ta winna być czytana nieco inaczej, niż wiele innych, gdyż po za artyzmem słowa i niezwykłą siłą dramatycznej ekspresji, ma jeszcze ów specjalny „klimat“ moralny, ujęty w ramy katolickiej filozofji.

Sądzę, że książka ta w naszej literaturze zajmuje odrębne i powiedziałabym do pewnego stopnia, osamotnione miejsce, bo trudnoby mi było postawić obok niej z analogicznego kierunku inną, równie piękną i tak zniewalającą sumienie czytelnika do pracy analitycznej. Jest to powieść na bardzo wysokim poziomie, którą mało jest raz przeczytać — można z nią współżyć, można do niej powracać, bo dużo ma zagadnień bliskich i zawsze żywotnych.

A teraz przejdziemy do momentów społecznych. Postać ks. Siechenia, postać, którą darzymy wielką sympatją, jest typem kapłana, nastawionego całą swą istotą do sprawy służby społecznej, najszlachetniej pojętej. Potrafił on przeanalizować jakość ustroju, w którym żyjemy, a jednocześnie dotarł do dna duszy ludziej:

„Oto równość, o której ludzie nie chcą wiedzieć. Bogactwo staje się podobne łachmanom żebraka, władza kruszy się w porażonych dło-

---

*) Jerzy Andrzejewski: „Ład Serca“. Warszawa. Rój, 1938. Str. 343.

niach i jak próchno, przesypuje przez palce. Ale gdy ranek przywróci ziemi jej kuszący kształt, któż z żywych wyrzeknie się dobrowolnie złudnych przywilejów? Kiedyż wybije godzina sprawiedliwości dla krzywdzonych i poniżonych?Tyle dookoła chciwości, okrucieństw, tyle kłamstw i jadu nienawiści i pogardy, iż zdaje się, że nic nie zdoła zasklepić krwawiących ran. Cóż może zmienić się? Tu choćby na tym drobnym skrawku sedelnickiej ziemi. Dziedzic sedelnicki nie zrzeknie się bez przymusu swoich rozległych pól i lasów, jak drapieżne kleszcze opasujących dokoła nędzne chłopskie zagrody. Grzegorz Litowka nie porzuci stręczycielstwa. Zabłąkanej w dalekim mieście Oldze Kukiszów żaden głos nie podszepnie powrotu do rodziców. Młody Burak, kiedy wyjdzie z więzienia, znowu zacznie kraść. Fiodor Dubrowski, nienasycony swą młodością, z lekkim sercem porzuci po miesiącu każdą dziewczynę. Ileż ich jeszcze przyjdzie płaczących na niego, jak przedtem przychodziły z żalami na Siemiona? A Siemion, któremu już tak niewiele chwil pozostało do życia... A Michaś...

„Proboszcz zaciska dłonie. Gęste krople potu zwilżają mu skronie.

„Najlichszym z lichych jestem, Panie. Tamci nie znają Cię, dlatego błądzą. Ale mnie ukazałeś się, jak wicher wstrząsnąłeś mną... Dałeś wszystko. A cóż ja daję?"

I jeszcze myśląc o doli człowieka, pyta: „Ale jak wydrzeć z siebie zło, które w nas czai się zawsze wyczekujące, zawsze gotowe do skoku? Jak pochwycić wroga, który jest w naszej krwi i w naszych myślach?"

Przemierzył i przewartościował więc te dwie dziedziny, w których danem jest mu działać i leczyć: ustrój społeczny i duszę człowieka. Pracę swą rozpoczął od podstaw, to znaczy od dostosowania swego życia do surowych zasad, głoszonych innym. Lecz tu spotkał go los wszystkich tych, którzy w swoim zawodzie wybiegają po za przeciętność, którzy mają siłę przeciwstawić się powszechnie panującym zwyczajom i nałogom despotycznej i jakże często bezmyślnej opinji, usiłującej napiętnować tych, co się nie poddają jej władzy.

„Ks. Siecheń marzył, aby do gruntu przeorać tutejsze stosunki, a Kościołowi przywrócić nadwątloną latami niewoli siłę. Nawracać! Chwilami czuł się przeniesionym w odległe wieki, kiedy te ziemie przebiegali pierwsi głosiciele Słowa. Był jednak sam. Gdy szukał pomocy w sąsiednich parafjach, znajdował ludzi spragnionych spokoju i wygody raczej, niż walki. W pierwszych latach wiele czynił, aby to zmienić. Odwiedzał często okolicznych proboszczów, snuł plany wspólnej zbiorowej akcji. Mówił dużo i z zapałem, chciał swoim żarem przekonać, wzruszyć, powołać. Ale szybko poczuł dokoła siebie pustkę. Nie umiał dostosować się. Nie pił, nie grał w karty, był złym słuchaczem pieprznych dykteryjek, towarzystwo jego w cztery oczy stawało się szybko krępujące, a w większem gronie uciążliwe. Zaczęto go unikać. Z początku mówiono o nim z pobłażliwą wyrozumiałością. Zyskał opinję sensata i nieorjentującego się w realnem życiu marzyciela. Ale gdy dowiedziano się, że z ambony głosi swoje nieprzejednane i surowe sądy, wówczas wzbudził niechęć. Zaczął uchodzić za człowieka, który więcej złego swoją nieobliczalnością może zdziałać, niż dobrego. A przeszłość: jego działalność niepodległościowa, potem lata spędzone na wojnie, wreszcie fakt, że

stosunkowo późno obrał sobie drogę duchowną, również przemawiało w opinji przeciw niemu.

„Podobnie ustosunkowały się do sedelnickiego proboszcza okoliczne dwory. Zbyt poważnie mówił o komunizmie, aby nie zostać posądzonym o występne i skryte, a tak ze stanem duchownym nie licujące sympatje. Umacniał jeszcze ten sąd swojemi wypowiedzeniami zarówno w kwestjach narodowościowych, jak i w sprawie reformy rolnej. Rosła więc przepaść pomiędzy nim, a miejscowem ziemiaństwem. Dwory nie mogły mu darować, iż znajdował ostre i bezwzględne słowa, gdy przychodziło do rozmów o roli ziemiaństwa na kresach w dawnej Polsce niepodległej i później podczas zaborów. Przypominając błędy przodków, dotknął ich potomków w najczulsze struny próżności. A jego wiara, ta również przemawiała przeciw niemu. Uważano, że zbyt wiele żąda, aby żądać szczerze. Zarzucono mu ciasny fanatyzm, obłudę i nieznajomość natury człowieka. Dla tych ludzi, wyrosłych w tradycyjnem przeświadczeniu, iż służą obronie polskości i katolicyzmu, Polska kończyła się w granicach posiadłości, a wiara zaczynała poza nimi. Według niepisanej umowy, do sług Kościoła należało utrzymywać ten układ, strzec go niby harmonji wyższego porządku, zapewniającej stowarzyszonym pokój ziemski i nagrodę niebieską.

„Ks. Siecheń mącił równowagę wypracowaną przez wieki Jego Kościół rozsadzał misterne spoidła i wiązadła, łączące dwór z plebanją. Wyrastał na drodze ogromnym cieniem, kładąc ten posępny znak, niby słowo ostrzeżenia. Odwrócono się więc od niego. Jedna z rodzin, najznaczniejsza w powiecie, poczęła nawet czynić starania w kurji biskupiej, aby niewygodnego proboszcza przeniesiono z Sedelnik. Zbyt jednak żywą zachowano tam pamięć o miłości, jaką zmarły niedawno biskup obdarzał ks. Siechenia, podówczas swego kapelana, aby dano posłuch doradczym podszeptom.

„Nowy biskup, człowiek dużej wiedzy i równej skromności, nie chciał nawet dyskutować tej sprawy. Uważał, że w przeciwnym wypadku znieważyłby pamięć swego poprzednika, którego śmierć tak niezwykłą i świętą otoczyła już legenda. I gdy jeden z proboszczów odważył się wypowiedzieć w obecności biskupa kilka krytycznych uwag o ks. Siecheniu, spotkał się z tak ostrym upomnieniem, iż zrozumiano, że ani teraz, ani w najbliższej przyszłości niepodobna liczyć na pomyślne przeprowadzenie zamierzonego planu. Stanowisko proboszcza sedelnickiego stało się w ten sposób silniejsze niż kiedykolwiek.

„Ale on sam nie czuł żadnego tryumfu. Nie takich pragnął zwycięstw. Gdy z listu jednego z kolegów seminaryjnych dowiedział się o owych nieudanych intrygach w kurji, zrozumiał, że wszystkie jego zamiary stworzenia wspólnej akcji przepadły ostatecznie. Nie potrzebował już obawiać się wyraźnego bojkotu. Ale nienaganna poprawność, z jaką zaczął się teraz spotykać, niosła mu większe jeszcze osamotnienie, niż wpierw jawna w pewnym okresie niechęć".

I oto ten człowiek w ową noc jesienną pochyla się miłościwie nad ludzką zbrodnią i ludzką niedolą, ze słowami Bożemi na ustach, by w końcu stanąć wobec własnej osobistej tragedji, znajdującej swe ostateczne wyjaśnienie również podczas tej samej nocy. Jest to scena nieporównana, wstrząsająca, o której zapomnieć nie można. Jest to dra-

mat dwojga ludzi, a zarazem uwypuklenie na żywym przykładzie idei wolnej woli człowieka. Anna mogła wybierać między złem i dobrem — ks. Siecheń jest bez winy: „Bóg czuwa nad każdym człowiekiem, najlichszym, najnędzniejszym, jest przy naszych sercach, każdego przywołuje, trzeba tylko słyszeć, trzeba tylko chcieć...“

Przejdźmy do innych ludzi: Morowiec, znany bandyta, w którym jednak nie zamarło sumienie, pozwalając docierać do rozumienia zła, dobierał sobie towarzyszy nie wśród urodzonych zbodniarzy, lecz z pomiędzy ludzi, którzy przypadkowo się znaleźli na złej drodze, którzy raz fatalnie się załamawszy, już nie potrafili się podnieść i nie wyprostowali linji życiowej. Rzecz jasna, że były to jednostki, którym alkohol towarzyszył stale.

„Coraz silniej pociągali go urodzeni pechowcy, chłopcy w gruncie rzeczy morowi, którym jednak z najrozmaitszych powodów nic nie mogło się udać, wszystko bowiem, czegokolwiek dotknęli, obracało się przeciw nim, na ich zło. Znał podobne typy na wylot. Byli to zwykle, wbrew wszelkim pozorom, ludzie nie stworzeni do takiego życia. Wdepnęli w nie zawsze, jakby na ślepo, bez dostatecznej racji. Byli w tem wszystkiem przybłędami, brnęli w głąb bez zastanowienia, pędzeni instynktem, który ich nie wypowiadał i nie wyjaśniał. W gromadzie ginęli. Ale gdy wzięło się takiego chłopaka na stronę — okazywało się, że każdy nosił w sercu pragnienia, jakże inne od tych, które się urzeczywistniały. Jedni chcieli się uczyć, pragnęli wiedzy z rozpaczliwą zachłannością; drudzy ogromną tęsknotą ludzi wsi tęsknili do ziemi; innym marzyły się dalekie podróże, rojenia tem więcej rozdzierające, iż rzadko jasno uświadamiane. Ileż takich tęsknot poznał! Zdarzało się — w mętnych spelunkach, przy stołach, zalanych wódką, wśród twarzy zwyrodniałych i napiętnowanych występkiem, odnajdywał nagle czyjeś jasne spojrzenie, nieśmiały, bardzo smutny błysk w oczach; usta, które klęły, drgały naraz uśmiechem dziecinnym i żałosnym, a dłonie, które poznały już palący chłód kajdanów, odzyskiwały zawstydzającą czystość“.

Ci ludzie umęczeni, zawieszeni nad otchłanią zguby, wyglądają Łaski Boga, szukają Jej. I to jest właśnie charakterystyczne dla ludzi Andrzejewskiego: szukają Łaski Boga — po przez mękę, cierpienie, po przez zbrodnie i grzech wytężają słuch, by złowić głos, który będzie miał moc wynieść ich ponad piekło ziemskiego zatracenia.

Albo alkoholik, kierownik poczty, Jabłoński:

„Wtem skrzypnęły drzwi i na progu ukazał się Jabłoński. Drobny, chuderlawy, z twarzą w skórze szarej i zmiętej, a odwłokiem nienaturalnie długim, jak niekształtny worek, obwisłym ku dołowi, potoczył dokoła oczami, których odrętwienie natychmiast pierzchło, gdy napotkały na stojących przy kontuarze.

„Pić! zachichotał piskliwie i radosnym kroczkiem potoczył się na środek szynku. Pić!

„Był bez marynarki i kołnierzyka, szelki dyndały mu z tyłu pomiędzy spodniami. Litowka nasrożył się.

„Co pan znowu, co? To lokal publiczny...

„Ale Jabłoński był już przy kontuarze.

„Jaki lokal? bełkotał zachwycony. Burdel nie lokal. Lej pan wódkę. Dużo wódy, dużo dziewczynek“. „Otworzył szeroko oczy, jakby wła-

sny głos otrzeźwił go. I dopiero teraz, choć sądził, że dobrze zna Jabłońskiego, Seweryn zauważył niezwykłe piękno jego oczu. Osadzone pod niskiem i wklęsłem czołem, przedzielone nosem, nad którym djabelskie moce musiały pracować, aby uczynić go tak niedorzecznie szkaradnym, płonęły te oczy przezroczystym blaskiem, jakimś ogniem niesamowitym, który je rozszerzał i nasycał złowrogą siłą. Seweryn nie ruszał się urzeczony tem odkryciem. Jabłoński robił wrażenie, jakby niczego nie dostrzegał. Wątpliwe nawet, czy wogóle poznał Gejżanowskiego. Grymas cierpienia śmiesznie wykrzywił mu twarz. Człowieczek jeszcze bardziej zmalał, skulił się w sobie i tak stał, chwiejąc się lekko, miękki, zdawałoby się bez kości, podobny do zlepka gałganów, żałosnej szmaty ciśniętej w kąt.

„Litowka, głośno sapiąc, chciał wyjść z poza kontuaru, ale Seweryn dał mu znak ręką, żeby został. Nie spuszczał oczu z Jabłońskiego, wpił się w niego łakomie, całkowicie pochłonięty groteskowością cierpienia. Ten zaś wyciągnął przed siebie ramiona i końcami palców zaczął wykonywać ruchy zwolnione, jak gdyby czegoś dotykał.

„Znowu to szkło — poskarżył się płaczliwie. Dokoła szkło.

„Litowka odwrócił się i machnął pogardliwie ręką.

„Zaczyna swoje, jak tylko urżnie się...

„Psst — uciszył go Seweryn.

„Jabłoński zwrócony był twarzą w stronę Gejżanowskiego, ale spojrzenie jego oczu ciągle rozszerzonych strachem i bólem zdawało się przenikać ciało, jak rzecz przezroczystą i biegło dalej ku jakiemuś niewidocznemu punktowi.

„Szkło — powtórzył bezdźwięcznie.

„Nagle szarpnął się.

„Nie chcę! Nie dam się, nie poddam się!

„Jął podrygiwać na swoich krótkich i cienkich nóżkach, wymachiwać niezdarnie rękoma, jak krab uwięziony w błocie. Zmierzwione włosy zjeżyły się, szelki niby długi ogon, dyndały z tyłu.

„Nie dam się, koniec z tym — koniec — bełkotał".

Jest to postać-zjawa, przeżarta alkoholem, topiąca w nim swój dramat życiowy, którego na trzeźwo niema sił przeżywać.

Litowka - zbrodniarz, właściciel knajpy i domu publicznego, pijak i sutener; posterunkowy Nawrocki — Siemion i Taisa — Seweryn Gejżanowski i mały Michaś — to wszystko sylwetki warte osobnego studjum psychologicznego, któreby uwydatniło pobudki i sprężyny podziemnego nurtu ich życia. Odbieglibyśmy tylko wówczas zbyt daleko od właściwego zakresu „Zjawisk", przeznaczonych do społecznego ujmowania tematów poruszanych w książkach. Pragnę gorąco polecić naszym czytelnikom zapoznanie się z tą piękną i wartościową pracą utalentowanego pisarza.

Rozważania nad książką Andrzejowskiego, w której prócz ks. Siechenia wszyscy piją z pasją wewnętrznej potrzeby zapomnienia o sobie, lub z tęsknoty do lepszego samopoczucia, każą nam kilka słów poświęcić Listowi Pasterskiemu ś. p. Kardynała Kakowskiego, który dla ruchu przeciwalkoholowego ma doniosłe znaczenie. Dostojny Autor ujął zagadnienie alkoholizmu z punktu widzenia najnowszych zdobyczy wiedzy lekarskiej i wykazał, że walka z tą klęską harmonizuje z nauką

Kościoła. Między innemi czytamy:

„Jak Kościołowi i jego pracy nadrzyrodzonej i duszpasterskiej, podobnie niemal w równej mierze państwu i jego owocnej działalności przynosi niepowetowane szkody i krzywdy alkoholizm w dziedzinie materjalnej, zwłaszcza w sprawach bezpieczeństwa publicznego, zdrowia fizycznego, prawości i uczciwości obywateli".

W innem miejscu tegoż samego Listu znajdujemy następujący ustęp:

„Próżne i w znacznej mierze bezowocne będą częstokroć najbardziej intensywne i gorliwe prace i poczynania naszych kapłanów w zakresie pracy nad wiernymi ściśle religijnej, kościelnej, ascetycznej, charytatywnej i kulturalno-oświatowej, jeśli ci sami kapłani nie przyczynią się walnie do opanowania i pokonania rozszalałego nałogu pijaństwa i alkoholizmu, które w szerokich masach ludności katolickiej, nawet religijne praktyki wypełniającej, wypaczają charakter, osłabiają odporność woli w walce z pokusami i grzechem, utrudniają, albo wręcz uniemożliwiają działalność łasce Bożej w duszy, znieprawiają nasze życie towarzyskie, zebrania, obchody i uroczystości społeczne, narodowe i kościelne, np. odpusty, wiążąc je nieodłącznie z nadużywaniem alkoholu, z pijatykami i wynikającemi z nich wykroczeniami zmysłowemi i niejednokrotnie — z krwawymi porachunkami i waśniami".

„Do zgodnej, planowej i zdecydowanej walki z alkoholizmem wystąpić muszą w czasach dzisiejszych na polach naszego życia publicznego, społecznego i prywatnego: Kościół, państwo, organizacje samorządowe i społeczne, szkoła i rodzina".

A więc walka z alkoholizmem ma na celu obok podniesienia zdrowia fizycznego i dobrobytu materjalnego najszerszych warstw ludności, a tem samem i państwa — doprowadzenie do takiego wysubtelnienia mózgu, tego cudownego siedliska myśli i woli ludzkiej, by stał się on czułym i wrażliwym odbiorcą głosu nadprzyrodzonej łaski Bożej, i przy jej pomocy mógł odrzucać zło, a czynić dobro na ziemi Bogu, sobie i bliźniemu swemu.

*

* *

O książce George'a Finka „Jestem Głodny" [1]), pisałam natychmiast po jej ukazaniu się, obecnie trudno pominąć milczeniem ostatnią jego pracę pod tyt.: „Dzieci Ulicy" [2]).

Pisze on w niej: „Nie opowiadałem niczego dla zaspokojenia ciekawości, dla wywołania bluźnierczej grozy. Podałem tylko to, co najbardziej konieczne, by być w zgodzie z prawdą, by nie przedstawić w różowych barwach świata, który jest przecie pogrążony w ciemnościach. Sądzę: w wiecznych! Opowiedziałem o tym wiecznym Berlinie, który jest w każdym wielkiem mieście, czy będzie się ono nazywało Berlin, Moskwa, czy Londyn, Paryż czy NewYork. We wszystkich wegetuje nędza, dzieci żebrzą, ojcowie piją, matki sprzedają swoje córki, synów wy-

1) „Trzeźwość" Nr. 6-8, rok 1930.

2) George Fink: „Dzieci Ulicy". Powieść, wydanie II. Pow. Spółka Wyd.: „Płomień". Warszawa. Str. 369.

syłają na kradzież. Nieuleczalne wielkie miasto! Czy na tle ciemnego nieba połyskuje sowiecki sierp, czy swastyka, rózgi liktorskie, czy gwiaździsty sztandar, pod nim, w piwnicach i na poddaszach, jest nędza, cierpienie, głód, rozpacz i nierząd. Lecz nędza jest prawem natury, jest nie do wytępienia, jest konieczna dla wyżywienia „innych". Jej wielki, ciemny świat żyje dalej w cieniu najszczęśliwszych".

„Książkę tę napisałem z miłości. Napisałem ją dlatego, że nierozerwalnie związany jestem z biednymi, dlatego, że przyświeca mi nadzieja, że uda mi się niejednego człowieka obudzić z grzesznego snu niewiedzy, poruszyć niejedno serce. Napisałem ją, jako część mego życia, jako wypełnienie zadania, które nosiłem w sobie po wszystkich krajach. Należę nie do tych, z którymi dzielić mogę tylko radości, lecz do tych, których cierpienia uśmierzam. I wypowiadam nadzieję, i pragnę, i błagam: aby w upadku i rozpaczy, w nędzy i ciemności, w poniewieranem dziecku i w wynaturzonej matce, w pijaku i w mordercy — dopatrywano się Jego, Tego, który i ich stworzył, Boga!"

W powyższym urywku znajdujemy w paru zdaniach przedstawioną rolę współczesnej powieści społecznej. Na ten to dział piśmiennictwa zwracam zawsze przedewszystkiem uwagę naszym czytelnikom. Tego rodzaju książki przygotowują grunt dla wielkich, koniecznych reform społecznych, one wpływają na urobienie opinji, która się zaczyna już wymykać wszechwładnie panującej supremacji możnych i władzę mających. Fink pisze, iż przyświeca mu nadzieja, że „uda się niejednego człowieka obudzić z grzesznego snu niewiedzy, poruszyć niejedno serce", a właśnie przed rokiem, analizując twórczość polskiego działu literatury społecznej [1]), podkreśliłam, że za jej pośrednictwem „dokonywuje się w nas praca samowychowawcza o dalekim zasięgu myślowym i moralnym". Do tych utworów przykładamy inne kryterjum i czego innego od nich wymagamy. To nie znaczy, by mogły być pisane bezdarnie, by mogły być robotą na „obstalunek", na temat z góry postawiony. Tu tematem jest życie, a pisarz musi być obdarzony również talentem jak i w dziełach czysto literackich, lecz to jest wyraźnie zarysowany inny rodzaj artyzmu, ujawniający swe nasilenie linją nierówną, łamiącą się, zanikającą, to znów wybuchającą z całą gwałtownością. Rodzaj tego artyzmu ma cechy wspólne z charakterem samego życia, a więc z materjałem, który służy mu jako tworzywo: ujawnia on tę samą nieobliczalność siły ekspresji, po której następuje obniżenie i upadek, te same wzloty i pełzanie w niemocy; piękno obok brzydoty, dobro obok zła. Częste nieopanowanie całego materjału, gromadzonego gorączkowo, lecz nieprzerobionego, niezachowanie pewnych proporcji. Lecz czyż życie możemy zawsze opanować, czy możemy je sharmonizować w kształt doskonały? Zdaje mi się, że talent Finka dostraja się do rytmu samego życia, i dlatego właśnie książka jego pozostawia niezatarte wrażenie.

Wydobywa ona z ukrycia prawdę o życiu i jego potwornej nędzy tej warstwy, która daje znać o sobie zbrodnią, morderstwem i bezmiarem cierpienia. Cierpienie znajduje ujście i wyładowanie w czynach przestępczych, których konsekwencje bynajmniej nie wydają się tym

---

[1]) „Trzeźwość": Nr. 11 - 12. Listopad - grudzień 1937. Str. 661.

[1]) Ibidem.

ludziom groźniejsze od ich codziennej, upiornej egzystencji. A egzystencja ta przebiega poniżej poziomu najelementarniejszych potrzeb ludzkich.

Fink pisze: „może wyda się wam, że opowiedziałem zbyt wiele rzeczy smutnych, gorzkich, odrażających i brudnych. Wierzcie mi, wiele przemilczałem, często nie domawiałem, ze wstydu, z braku słów, ze wzruszenia... O, znalazłbym w sobie już dość odwagi, by wszystko powiedzieć, lecz któż miałby odwagę wysłuchać? Któżby się nie odwrócił? Kto nie lękałby się wiedzieć o wszystkiem? A jednak nieodparta konieczność nakazuje wiedzieć! Otwierałem wiele drzwi, lecz ociągałem się z pokazaniem tego, co ukrywa się za nimi w ciemnościach. Najokrutniejsze, ach, wiele okrutnych prawd pozostawiłem w tych ciemnościach — i to nie jest nawet łaską“.

„Nieodparta konieczność“ powiedzenia prawdy włożyła Finkowi pióro do ręki, tak jak również poczucie konieczności mówienia w naszem piśmie o nieodzowności nie tylko czytania, lecz i należytego ustosunkowania się do literatury społecznej podyktowało mi następujący ustęp: „Powieść obecna narzuca poprostu konieczność realnego podejścia do spraw pozornie dalekich, a w rzeczywistości bliskich, bo żywiołowo wciskających się w obręb każdego istnienia indywidualnego, rodzinnego i państwowego“ [1]).

Fink przychodzi mi z pomocą, utwierdza w przeświadczeniu, że z „książką wchodzi do każdego zacisznego domu zespół praw najdonioślejszych, najpilniejszych, których rozstrzygnięcia zaczyna się natarczywie domagać nasza własna świadomość, nasza własna tęsknota za... Dobrem, które jest wszak niczem innem, jak przedewszystkiem koncepcją realną, praktyczną realizacją życia na zasadach sprawiedliwości i braterskiego stosunku do ludzi“ [2]).

Są to uwagi i przypomnienia, które się nasuwają wogóle o samej książce i jej miejscu, jakie zajmuje w literaturze. Teraz przechodzę do treści właściwej, czyli do życia nędzy wielkomiejskiej, do towarzyszących jej najpotworniejszych zbrodni, by wyłuskać to, co stanowi dalszy ciąg rozważań, prowadzonych w naszem piśmie. A więc przedewszystkiem, jaką jest rola alkoholizmu w świecie, o którym mowa. Powiedziałabym, ogromna i... znikoma. Postaram się udowodnić ten paradoks. Znikoma, bo mamy tu do czynienia ze zbiorowiskiem takiej nędzy, wynikającej z ustroju obecnego, że tu już niema indywidualnych tragedji z powodu pijaństwa, tu występuje masowe wyzbycie się wszystkich warunków, które człowiek musi mieć, by zachować cechy człowieka (bodaj niektóre), a alkoholizm jest jednym z czynników nie wywierających w sposób *doraźny* większego znaczenia. Picie ich bynajmniej nie jest większe, niż w innych środowiskach, gdzie niszczy całkowicie wszystko — można sądzić, że nie ma on tu co niszczyć, gdyż wszystko jest przeżarte nędzą. Podkreślam *doraźnego* znaczenia — bo skryty, a ogromny udział w postaci predyspozycyj psychicznych do zbrodni, do degeneracji, do zboczeń, przekazany został przez alkoholizm poprzednich pokoleń — obecnemu.

„Na Teutoburgerplatz opowiadano sobie wieczorem nowiny, no-

---

[1]) „Trzeźwość“ Nr. 11-12, listopad - grudzień 1937 r.

[2]) ibidem.

winy złe, bo innych nie było. Śmierć i trwoga, morderstwo i samobójstwo. To nędza wyważa w człowieku sekretne drzwi piwniczne, drzwi do tego, co w nim niesamowite i groźne, do kryjówki, gdzie drzemie bestja. Głód budzi djabła - zwierzę; każdy człowiek nosi go w sobie. Bogacze mogą go uśpić w jedwabnej pościeli, nasycić i rozleniwić pokarmem mięsnym, uśpić szampanem". „Lata całe pędzili żywot, będący zlepkiem kłamstwa, skrytości i złej żądzy. Matki, rodzice, rodzeństwo nic nie zauważali. Rodzice — to znaczy: spać razem we wspólnych łóżkach i korzystać z usług matki, która dla wszystkich gotuje i pierze. Miłość? Tu nikt nikogo nie kocha. To, co się nazywa prawdziwą miłością, wielkie, trwałe nieskończone uczucie, wymaga innej gleby. Tu żyją tylko afekty i one to wybuchają ze straszliwą siłą u tych beznamiętnych, pozbawionych fantazji istot. Tutaj może zabić matka swoje dzieci, ojciec zniewolić córkę, syn zakatrupić matkę, córka rozwalić siekierą ojcowski czerep. Nędza sprzyja marnieniu serc. Rzadko zachowują tutaj matczyne serca bezkresną ofiarność. Dzieje się tu, jak u zwierząt: gdy młode potrafią znaleźć samodzielnie pokarm, fora ze dwora". „Troje dzieci — siedemnaście, dziewietnaście i dwadzieścia jeden lat — skalało wszystko, co ludzkie (morderstwo uplanowane). Albowiem — jak to Kurt sam przyznał — nie uczynili nic, co byłoby w swoim rodzaju jedyne, niepowtarzalne, jak dzieło genjusza, dokonali czegoś, czego dokonać mógłby każdy z nas. Było to wyładowanie nie tego, co nieludzkie, lecz tylko najbardziej pierwotnego instynktu ludzkiego. Cała ludzkość, społeczeństwo, państwo ponoszą współwinę takiego czynu. Karze się narzędzie. Ręka, która je prowadziła, pozostaje wolna: a jest nią ręka czasu..." „To są dzieci bez dzieciństwa. To są dzieci bez wieku przejściowego. Są od początku dorosłe. Zanim dojrzeje ich ciało, dawno zebrały już jego plon. W szóstym roku życia znają już troski dorosłych, a znacznie wcześniej wiedzą, co to niezaspokojony głód. Dziesięcioletnie wiedzą, że na świecie nie ma sprawiedliwości, dwunastoletnie przyjmują to ze stoickim spokojem ducha i dopiero kiedy mają szesnaście, siedemnaście lat, oburzają się, czytają gazety, biorą udział w demonstracjach, wykrzykują, co im się w głowę wbije, urządzają strajki i rewolucje. Lecz nie są rewolucjonistami. Rewolucjoniści muszą przyjść z góry, syci i silni. Ubóstwo osłabia namiętność. Tylko w masie stanowią siłę, pojedyńczo jest każdy z nich bezradny, nieświadomy. Bogaci dobrze wiedzą, dlaczego nie usuwają nędzy ze świata".

Parę urywków nie może nawet w minimalnej części dać pojęcia o piekle ziemskiem, które jest treścią tej książki. A nad tą umęczoną ziemią „niebo płonęło od reklam papierosów i likierów, jakaś niewidzialna ręka pisała na szafirowem, gwiaździstem tle o zwycięstwach sportowych, o rosyjskich demonstracjach, mordach w Kalkucie, polecała najlepsze kabarety północnego Berlina. Kina obwieszczały tłumowi jaskrawemi literami najbardziej pociągające tytuły programów, domy towarowe zapowiadały tygodnie okazyjne i letnie wyprzedaże, a ludzie... „Ludzie napływali, jak szumiąca rzeka..." Ciekawe, „czy oczy widzą jeszcze niebo, którego użyto za tablicę reklamową wódek i czekolady, championów i morderców, filmów i aut. Czy widzą jeszcze nieskalane niebo!?" „Autobusy wiozły masy bezwolnych, zapitych, chrapiących, ryczących ludzi, w głąb miasta".

I czyż to nie jest również pewnego rodzaju okrucieństwem, że człowiek człowiekowi nowoczesnemi reklamami zasłonił ów kawał błękitu, rozpościerający się dobroczynnie nad nim i przed oczy rzucił światła reflektorów, których blask niesie nazwy likierów, czy wódek. Zamiast kontaktu z niebem, kontakt z alkoholem, pogrążającym nieszczęsnych parjasów w otchłań jeszcze beznadziejniejszą. I jak tu może nastąpić ów najwyższy cud „odnowienia się duszy w człowieku", skoro zabrano mu dosłownie wszystko, co mogłoby się przyczynić do jej oczyszczenia. „Albowiem miarą wszystkiego jest człowiek", a Fink wzywa, by go ratować, by usuwać krzywdę, którą przepojone jest po brzegi życie ludzkie.

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska.

LIST PASTERSKI
J. E. KS. ARCYBISKUPA METROPOLITY WILEŃSKIEGO
ROMUALDA JAŁBRZYKOWSKIEGO
W SPRAWIE WALKI Z ALKOHOLIZMEM *).

Do Wielebnego Duchowieństwa i ukochanych w Chrystusie Diecezjan wileńskich pozdrowienie w Panu.

Wielkie jest znaczenie trzeźwości i wstrzemięźliwości zarówno dla jednostek, jak i dla całych społeczeństw. Wszystko za tem przemawia. Do wstrzemięźliwości i trzeźwości zachęca wszystkich Boski Zbawiciel całem swem życiem, słowem i przykładem. Wyraźnie mówi: *Kto chce iść za mną, niech się zaprze samego siebie... i naśladuje mnie* (Mat. 16, 24). Do trzeźwości i panowania nad namiętnościami zmysłowemi nawołuje św. Piotr ap.: *Trzeźwymi bądźcie i czuwajcie* (I Piotr, 5, 8). Św. Paweł ap. ostrzega wiernych przed pijaństwem, zaliczając pijaków do rzędu ludzi, *którzy nie dziedziczą królestwa Bożego* (I Kor. 6, 10). Sam wreszcie rozum wskazuje całą grozę i ohydę pijaństwa: pijaństwo zatruwa organizm człowieka, osłabia i zaślepia umysł, podnieca zmysłowe namiętności, pijaństwo niszczy zdrowie fizyczne i duchowe, pijaństwo marnotrawi majątki i gospodarstwa, pijaństwo doprowadza nie tylko jednostki, ale i całe narody do upadku, do nędzy duchowej i gospodar-

---

*) Wydany z powodu I Międzynarodowego Katolickiego Kongresu Przeciwalkoholowego w Warszawie, stanowi *List* Arcypasterza Wileńskiego piękny dokument Jego głębokiej troski wobec klęsk ciężkich, spadających na społeczeństwo wskutek powszechnie zakorzenionych zwyczajów alkoholowych. J. E. ks. Arcybiskup Jałbrzykowski z całem przekonaniem i konsekwencją zwalcza alkoholizm, gorąco popiera wszelkie wysiłki, zmierzające w kierunku zmniejszenia tej groźnej choroby społecznej.

W związku z nadchodzącym „tygodniem propagandy trzeźwości", pozwalamy sobie *List* omawiany przedrukować, gdyż zwięźle, a dobitnie, ujmuje on najważniejsze momenty arcytrudnego zagadnienia. *(Red.).*

czej. Stwierdzają to lekarze oraz poważni myśliciele, działacze społeczni.

Z okropnych skutków pijaństwa poznajmy grozę jego niebezpieczeństwa. Awantury, bójki, kradzieże, wszelka rozpusta — najczęściej wypływają z nadużywania trunków, z pijaństwa. Zajrzyjmy do więzień, zbadajmy skazanych na kary, a wnet się przekonamy, że większość tam się dostała wprost czy ubocznie z powodu pijaństwa.

Klęska ta jest tem groźniejsza, że jest dość powszechna, opiera się nieraz na zwyczajach gościnności, niewłaściwie pojmowanej.

Dla zabezpieczenia się przeciwko klęsce pożarów organizujemy straże ochotnicze, a ponad to wszyscy w miarę możności uczestniczymy w ratowaniu zagrożonego przez ogień mienia. Jeżeli gdzie powstaje epidemja czyli zaraza niebezpiecznej choroby, jak: tyfusu, ospy, cholery i t. p., dla jej zwalczenia wysyłane są kolumny sanitarne, złożone z ludzi, specjalnie do tego przygotowanych, a ponad to ogół ściśle przestrzega wskazanych środków, aby uniknąć zarazy. Taką kolumną sanitarną, taką strażą ochotniczą dla zwalczania klęski alkoholizmu czyli pijaństwa są bractwa trzeźwości i koła abstynentów.

Członkowie bractw trzeźwości zobowiązują się ślubowaniem, czyli uroczystem przyrzeczeniem do nieużywania przez pewien czas, lub przez całe życie wszelkich napojów palonych, jak spirytus, wódka, czy ,,samogon", koniaki, araki, likiery. Takie bractwa trzeźwości mamy w naszej archidiecezji Wileńskiej zorganizowane w 124 parafjach, a liczba wszystkich członków w tych bractwach wynosi 31.121 osoby.

Kół abstynenckich, których członkowie zobowiązują się do całkowitego powstrzymania się od wszelkich trunków, mamy zaledwie kilka, a w nich przeszło dwieście osób.

Ukochani w Chrystusie! Z radością powitaliśmy wszyscy wiadomość, że wraz z XXI Międzynarodowym Kongresem Przeciwalkoholowym (od 12 do 17 września), odbędzie się w Warszawie I Międzynarodowy Katolicki Kongres Przeciwalkoholowy od 11 do 14 września (Dom Katolicki im. Piusa XI, ul. Nowogrodzka 49). Będą tam poruszone sprawy doniosłego znaczenia, zmierzające do zwalczania alkoholizmu, do szerzenia i utrwalania trzeźwości w całem społeczeństwie. Jest pewnik niezbity, że jednostki i całe społeczeństwa, zatruwane pijaństwem karłowacieją i giną. Utrzymać się mogą jedynie narody trzeźwe, mocne fizycznie i duchowo, one też są zdolne do rozwoju i pracy produkcyjnej.

Oby ten Kongres Przeciwalkoholowy wydał jak najobfitsze plony dla naszego ukochanego kraju, dla utrwalenia w nim zbawiennej w swych skutkach trzeźwości, oby nasze zebrania, nasze zabawy, nasze uroczystości, czy to doroczne ogólne, czy rodzinne, jak wesela i chrzciny, czy stypy pogrzebowe odbywały się na trzeźwo w duchu zasad nauki Chrystusowej! — Picie i upijanie się jest szkodliwe, poniżające i do zasad prawdziwej gościnności bynajmniej nie należy.

Bardzo pożądaną jest rzeczą, aby ogół ukochanych w Chrystusie archidiecezjan Wileńskich zainteresował się sprawą tego Kongresu przeciwalkoholowego, a ci, komu warunki pozwalają, aby mogli osobiście wziąć udział w jego naradach, zapoznać się dokładnie z zasadami bractw i stowarzyszeń trzeźwości, zostać apostołami, krzewicielami tej idei.

W tym też celu zarządzamy, aby W-ni Księża Proboszczowie i Rektorzy kościołów w niedzielę 5 września r. b. odczytali wiernym to Nasze orędzie, a 12 września wygłosili kazanie okolicznościowe o niebezpieczeństwie używania trunków i pożytkach trzeźwości, podkreślając zasadę, że ten napewno nie nadużyje, kto zupełnie nie używa trunków. Po sumie tego dnia odbędą się modły suplikacyjne wobec wystawienia N. S. w intencji Kongresu Przeciwalkoholowego.

Usilnie też zalecamy, aby od 11 do 19 września we wszystkich parafjach odbył się Tydzień całkowitego powstrzymania się od używania trunków. Gorąco zachęcamy wszystkich archidiecezjan, aby w tym tygodniu nie tylko sami się powstrzymywali od picia trunków, lecz także by i gościom swoim nie dawali napojów wyskokowych, a pieniądze w ten sposób zaoszczędzone by obrócili na kupno dobrych czasopism i książek, popierających zasadę trzeźwości.

Tydzień Abstynencji niech będzie zakończony możliwie we wszystkich parafjach akademją z odpowiednimi odczytami, pogadankami, śpiewami i deklamacjami.

Dałby Bóg, aby zamiłowanie do trzeźwości i zwalczanie alkoholizmu znalazły szczery oddźwięk w sercach ukochanych Diecezjan Wileńskich, aby bractwa trzeźwości względnie koła abstynentów powstały we wszystkich parafjach i miały licznych gorliwych zwolenników, a będzie to z pewnością skuteczny przyczynek do dobra naszego duchownego i społecznego!

Wilno, dnia 25 sierpnia 1937 r.

† *R. Jałbrzykowski*
Arcybiskup Metropolita Wileński.

XXII MIĘDZYNARODOWY KONGRES PRZECIWALKOHOLOWY W HELSINGFORSIE.

Zarząd Światowego Związku Przeciwalkoholowego, na Zjeździe swym w dniach 22—25 sierpnia 1938 r. w Berlinie ustalił jednomyślnie miejsce i czas XXII Międzynarodowego Kongresu Przeciwalkoholowego; Kongres ten odbędzie się w Helsingforsie (Helsinkach), stolicy Finlandji w dniach od 31 lipca do 5 sierpnia 1939 r.

Polacy powinni wziąć w Kongresie tym jak najliczniejszy udział — tak ze względu na doniosłość sprawy, której jest poświęcony, jak i z tego powodu, że odbywać się on będzie w bliskiej sercom naszym Finlandji, przodowniczce w walce o trzeźwość, bohaterskiej w obronie niepodległości, świetnej przedstawicielce kultury zachodniej na północno-wschodnich krańcach Europy.

JESZCZE O STOSUNKU DOSTOJEWSKIEGO DO ALKOHOLIZMU W ROSJI.

Dostojewski uchodzi za genjalnego znawcę chorej duszy rosyjskiej. Jest to niewątpliwa prawda, ale poza jednostkami psychopatycznemi, choremi, które spotykamy w każdej z jego powieści, wielki ten pisarz potrafi genjalnie analizować ludzi zdrowych, którzy nie są bynajmniej typowymi tylko przedstawicielami społeczeństwa rosyjskiego, lecz w równej mierze odzwierciadlają duszę jednostki na Zachodzie. Poprostu duszę ludzką. Ponadto umie on głęboko wnikać w nastroje i poglądy szerokich mas, dać nam skończony obraz życia ludzi biednych, nieszczęśliwych, prześladowanych przez los i życie, ciężko pracujących, jednocześnie zaś wyrywających się z szarzyzny dnia codziennego, tęskniących do lepszej przyszłości nie tylko w materjalnem rozumieniu tego słowa, dążących do jaśniejszego jutra, szukających ideałów i Boga.

Dostojewski obecnie naogół mało jest czytany w Polsce. W pewnej mierze przyczyną jest coraz rzadsza znajomość języka rosyjskiego, dłużyzny w opisach i refleksjach, które zniechęcają czytelnika, przyzwyczajonego ostatnio do błyskawicznych obrazków, oddających życie i przeżycia w formie reportażu, zbliżonych do wiadomości, podawanych przez radjo. Nikt, lub prawie nikt w czasach samolotów i torped nie ma czasu ani ochoty na odczytywanie zawiłych intryg, roztrząsań i wątpliwości, rozpamiętywań i samoanalizy najsubtelniejszych drgań duszy, przeważnie chorej, a w każdym razie obcej nam w swem odczuwaniu.

Takim jest Dostojewski. Ale tylko dla czytelnika powierzchownego, który łatwo się nudzi i zniechęca, prędko zapomina i nie szuka nurtu podziemnego, głęboko ukrytego w życiu tych miljonów, które stanowiły i stanowią Rosję. Dostojewski, psycholog, jest równocześnie realistą, zna lud rosyjski, rozumie jego duszę, i opisuje ją ze znawstwem równie doskonałem, jak naprzykład atak padaczki. Proszę przeczytać „Biesy", gdzie znajdujemy wstrząsające w swej prostocie i grozie takie zdanie: „Słuchajcie, widziałem sześcioletnie dziecko, które prowadziło pijaną matkę, a ta mu wymyślała najordynarniejszemi słowami". W innym miejscu stwierdza: „Naród pije, matki są pijane, dzieci są pijane". A jeszcze dalej: „Wypija się morza, oceany wódki dla podtrzymania budżetu". Ze słów tych wynika jasno, że Dostojewski w malowanych przez siebie w sposób niesłychanie plastyczny obrazach życia ludu rosyjskiego, zdawał sobie dokładnie sprawę z roli, jaką w życiu narodu odgrywał alkohol. Ta wiecznie pijana i wiecznie rozpajana tłuszcza była doskonałą pożywką, z której korzystali karjerowicze zarówno jak psychopaci, rozwijając działalność, która kraj wielki i bogaty doprowadziła na skraj przepaści i nędzy.

Mimowoli nasuwa się pytanie, czy inaczej jest u nas w Polsce. Przytoczę tu cyfry, podane przez dr. Kaczanowskiego w referacie, wygłoszonym na Zjeździe psychjatrów polskich w roku 1938. Na ogólną liczbę 16.984 badanych w ciągu trzech lat więźniów było 3.021 alkoholików, to jest 17,78%. Cyfra ta ma swoją wymowę.

Jak wiadomo, Dostojewski był przedewszystkiem nacjonalistą, — uczucia monarchistyczne, przywiązanie do religji prawosławnej były już

tylko logicznym wynikiem jego fanatycznej miłości do Rosji. Nie zamykał jednak oczu na nędzę ludu, na jego ciemnotę, na ucisk polityczny w kraju, na straszliwe pijaństwo. Rozumiał, czy też przeczuwał, że warunki społeczne, jakie w owym czasie istniały, muszą doprowadzić do katastrofalnego wprost przewrotu. W usta jednego z bohaterów tejże powieści „Biesy", kładzie takie słowa: „Rosja jest obecnie na całym świecie tem jedynem miejscem, gdzie wszystko może się zdarzyć bez najmniejszego sprzeciwu czy oporu. Rozumiem doskonale, dlaczego zamożni Rosjanie coraz liczniej wyjeżdżają zagranicę — z każdym rokiem więcej i więcej. To poprostu instynkt ich prowadzi. Gdy okrętowi grozi niebezpieczeństwo zatonięcia, szczury pierwsze uciekają. Święta Rosja jest krajem drewnianym, ubogim i... niebezpiecznym, krajem zarozumiałych nędzarzy zpośród warstw wyższych. W olbrzymiej swej większości lud mieszka w izbach na kurzych nóżkach. Społeczeństwo ucieszy się z każdego wystąpienia — wystarczy wytłomaczyć, że tak dobrze. Może rząd zechce się przeciwstawić, ale poomacku wymachuje pałką i bije swoich. Tu wszystko jest przesądzone i zasądzone: Rosja taka, jaką jest — nie ma przyszłości". Zaś inny bohater głosi: „Rosja jest igraszką przyrody, ale nie rozumu".

A teraz dalsze proroctwa na czasy po przewrocie, przed którym arystokracja rosyjska uciekła zagranicę. „Wychodząc z bezgranicznej swobody, kończy się bezgranicznym despotyzmem. Społeczeństwo podzielone jest na dwie nierówne połowy: jedna dziesiąta korzysta ze swobody osobistej i nieograniczonych niczem praw nad pozostałemi dziewięciu dziesiątemi. Ci ostatni zatracili swobodę osobistą i zamienili się w rodzaj stada. Przy bezgranicznem posłuszeństwie przez szereg przeobrażeń osiągają niewinność pierwszych pokoleń — coś w rodzaju raju, z tą tylko różnicą, że muszą ciężko pracować. Wiemy, że na naszą ojczyznę nałożony jest tajemniczy indeks, jako na kraj, najbardziej się nadający do spełnienia wielkiego zadania". Rosja carska nie pozostała bez wpływu na marzenia i ideały dalekiej przyszłości. Opis tego raju wywołuje w innym bohaterze takie refleksje: „Dobrze to napisał — jest i szpiegostwo. U niego każdy członek społeczeństwa szpieguje drugiego, i ma obowiązek donoszenia o nim: każdy należy do wszystkich, a wszyscy do każdego. Wszyscy są niewolnikami, i w niewolnictwie wszyscy są równi".

Ale Rosja stworzy dla swoich obywateli raj, przewyższający mrzonki Fourrier'a, Cabet'a i innych. Rosja ma jeszcze inne posłannictwo: „Jeżeli wielki naród nie wierzy, że w nim jednym jest prawda— w nim jednym tylko, i w nim wyłącznie, jeżeli nie wierzy, że on jeden jest zdolny i powołany wszystkich innych wskrzesić i zbawić swoją prawdą, to staje się poprostu materjałem etnograficznym, nie zaś wielkim narodem. Naród prawdziwie wielki nigdy nie pogodzi się z rolą drugorzędną — ba, nawet pierwszorzędną w społeczeństwie. Musi on być wyłącznie i jedynie, bezsprzecznie pierwszy. Kto traci tę wiarę, nie jest narodem. Ale prawda jest jedna tylko — to też tylko jeden z narodów może mieć prawdziwego Boga, — choćby inne narody wierzyły we własnych wielkich bogów. Tym właśnie jedynym narodem, niosącym Boga, jest naród rosyjski". Dostojewski kończy jakby wyznaniem wiary:

„Wierzę w Rosję, wierzę w prawosławie. Wierzę w ciało Chrystusa. Wierzę, że nowe przyjście stanie się w Rosji“.

Istnieje podobno proroctwo zakonnika polskiego z przed stu lat. Miał on przewidzieć wskrzeszenie Państwa Polskiego, oraz rewolucję rosyjską, zaś po zgnieceniu rewolucji — powrót na tron cara, któremu na imię będzie Włodzimierz. Państwo Polskie mamy odrodzone. Zaś pretendentem do tronu carów jest w chwili obecnej urodzony na emigracji ostatni potomek rodu Romanow‘ów, syn w. ks. Cyryla, wielki ks. Włodzimierz. Może więc niedługo czeka nas spełnienie drugiej części wróżby — może urzeczywistnią się jeszcze marzenia i nadzieje wszystkich monarchistów świata.

Marja Sokalówna.

„GWIAZDY PATRZĄ Z GÓRY“.

Powieść pod tym tytułem („The stars look down“) doktora A. J. Cronin, ukazała się po raz pierwszy w Londynie w r. 1935, obecnie nakładem V. Gallauera Ltd. wyszła w siódmym wydaniu.

Autor przedstawia życie górników angielskich, dając opisywanym zdarzeniom szersze tło walki proletarjatu z prywatnymi właścicielami kopalń o krótszy dzień pracy, wyższe płace i warunki większego bezpieczeństwa przy pracy. Walka przycicha na lata wielkiej wojny, aby wybuchnąć ze zdwojoną siłą podczas kryzysu ekonomicznego i przenieść się również na salę obrad Parlamentu angielskiego. Dr. Cronin jest wyraźnym antymilitarystą; jeden z bohaterów, syn bogatego przemysłowca, Arthur Barras, wypowiada jego credo, z którego wynika, że zabójstwo innego człowieka tylko dlatego, że jest on innej narodowości i został uznany za wroga dla względów utajonych, nie może być nadal tolerowane. Tego rodzaju wyznanie wiary ma fatalne następstwa dla Arthura, który odmawia wstąpienia do wojska i pójścia na front, za co zostaje skazany na trzy lata ciężkich robót. Sceny skazania i pobytu w więzieniu robią ogromne wrażenie.

W sprawie społecznej autor wypowiada się niemniej wyraźnie przez usta innego bohatera, Dawida Fenwick, górnika i syna górnika. Życie górników jest ciężkie, cięższe aniżeli praca chłopa i innych robotników, którzy pracują na ziemi, widzą niebo i słońce, podczas gdy górnicy ryją się niby krety, pozbawieni światła, tego źródła radości. Długie godziny pracy w warunkach, urągających najelementarniejszym zasadom higjeny i bezpieczeństwa, często po pas w wodzie, ciągle narażeni na osypanie się zwałów, zablokowanie wąskich korytarzy, niespodziewany zalew wodą — oto warunki pracy tych białych niewolników.

Płace są niskie skutkiem nadmiaru rąk roboczych, albowiem groźną konkurencją staje się własna młodzież; czternastoletnie wyrostki

zjeżdżają do kopalni, jako siły pomocnicze i otrzymują groszowe wynagrodzenia.

Dawid chce poświęcić swe życie, aby zmienić stosunki, okrutne w czasach normalnej pracy, potworne, gdy wybucha strajk, lub gdy przedsiębiorca zarządza lokaut; głód zmusza górników do uległości, nędza małych dzieci, które z wycieńczenia mrą niby muchy.

Aby służyć sprawie robotniczej, Dawid kończy szkołę i obiera zawód nauczycielski. Po wojnie, którą spędza we Francji w charakterze sanitarjusza, zostaje radnym miejskim, następnie zaś posłem do Parlamentu z ramienia partji pracy (labourzystów). Chcąc posunąć sprawę w kierunku polepszenia bytu górników, żąda unarodowienia kopalń węgla, gdyż wychodzi z założenia, że państwo nie będzie wyzyskiwało robotników, jak to czyni przedsiębiorca prywatny. Niewątpliwie też chętniej poczyni w istniejących kopalniach inwestycje, które choć w części zapobiegną nieszczęśliwym wypadkom i katastrofom.

Wszystkie jego wysiłki są daremne; jego koledzy parlamentarni wchodzą w kompromis z partjami zachowawczemi, zawierają ugodę, przeciw której Dawid się buntuje. W rezultacie traci mandat i zmuszony jest wrócić do kopalni „Neptun". Pracował jako młodzieniec na tej placówce, teraz stara się organizować tam i uświadamiać górników.

Sprawą alkoholizmu autor nie zajmuje się specjalnie, niemniej alkohol w powieści odgrywa ogromną rolę. Jest wszechobecny i nadaje ton w większości poczynań. Górnicy, jako masa, piją wódkę; do szynku pcha ich zniechęcenie i rozpacz; piją na głodno i upijają się szybko; piją, aby zapomnieć o piekle, w jakim żyją, o głodnych i obdartych dzieciach, o kredycie, którego sklepikarz nie chce przedłużyć, o beznadziejnej sytuacji, z której jedynem wybawieniem jest śmierć.

Przemysłowcy piją też, ale inaczej: w eleganckich barach i restauracjach przy i po jedzeniu. Piją drogie wina i likiery, nierzadko szampana. Mogą sobie na to pozwolić, gdyż kopalnie są rentownym interesem, a węgiel angielski jest najlepszym na świecie i może zawsze liczyć na zbyt po wysokich cenach.

W powieści, o której mowa, należy zwrócić uwagę na dwa przypadki indywidualnego alkoholizmu. Jeden to wspomniany już Arthur Barras, idealista, człowiek słaby i chorowity, który po objęciu kopalni po ojcu, poświęca cały majątek na środki bezpieczeństwa i instytucje dobroczynne. Nie znajduje jednak najmniejszej wdzięczności lub uznania u górników kopalni, przeciwnie, poczytują to za chęć oszukania dla jemu tylko wiadomych własnych celów. Rezultatem tych idealistycznych poczynań jest ruina materjalna, konieczność sprzedaży kopalni notorycznemu aferzyście, nędzna posada dla przeżycia i szukanie zapomnienia w alkoholu.

Drugim przykładem jest Jenny, sprzedawczyni w sklepie z konfekcją damską. Ładna, ambitna, głupia i leniwa. Aby się elegancko ubrać i nie pracować, trzeba znaleść mężczyznę, który zapewni oparcie i pewien komfort. Pierwsza próba jest nieszczęśliwa, kochanek opuszcza ją bez skrupułów w chwili, gdy mu się sprzykrzyła i gdy ma nadzieję wznieść się wyżej na drabinie społecznej. Jenny wychodzi wówczas za Dawida Fenwick, który ją kocha, bo wie, że nie tylko odda jej każdy zarobiony grosz, ale będzie ją szanował, co jest też nie bez znaczenia.

Natura nie da się jednak oszukać: pożycie z Dawidem, człowiekiem spokojnym, poważnym, zamiłowanym w pracy umysłowej, męczy ją i nudzi; ucieczkę znajduje w alkoholu, który pomaga przezwyciężyć monotonję dnia codziennego. Wojna dzieli do reszty to niedobrane stadło. Wysokie zarobki w fabryce amunicji demoralizują ją ostatecznie, rzuca dom, męża i dziecko, nie jego zresztą. Dziecko ginie skutkiem niedozoru i braku opieki, zaś Jenny wpada w sidła nierządu i, jako uliczna prostytutka, umiera w szpitalu londyńskim.

Spotykamy tu postać kobiecą bardzo ciekawie i umiejętnie narysowaną. Jest to siostra Arthura, dr. Hilda Barras, której despotyczny ojciec nie pozwala wstąpić na uniwersytet. Wojna przychodzi jej z pomocą, zyskuje samodzielność, pielęgnując rannych i chorych, a po zawarciu pokoju wstępuje na medycynę, do której czuje wybitne powołanie. W wielkim szpitalu londyńskim dla kobiet pełni w charakterze chirurga swój obowiązek z poświęceniem i umiłowaniem.

Innych lekarzy dr. Cronin przedstawia w świetle mniej sympatycznym. Jeden z nich, radny miejski, toleruje w szpitalach mięso, dostarczane przez rzeźnika, również radnego, w gorszym gatunku, po wysokich cenach, przyczem waga jest stale niedociągnięta. Doktór uważa się za porządnego człowieka, albowiem wiele robi się dla stosunków, a radny - rzeźnik, to potęga, której lekceważyć nie wolno.

Inny lekarz przyjmuje więźniów do więzienia wojskowego, gdzie brudy i traktowanie wymagałyby interwencji. Ale lekarz - urzędnik nie będzie się narażał, to też przyjmowanie więźniów w niczem nie przypomina oględzin lekarskich, odbywa się bowiem wyłącznie z pewnej odległości.

Trzeci typ wreszcie jest najbardziej charakterystyczny. Do szpitala przyprowadzają górnika, który symuluje pobicie. Z drobnego, sztucznie rozdmuchanego, incydentu robi się wielka sprawa przeciw właścicielowi kopalni, wspomnianemu już Arthurowi Barrasowi. Lekarz zdaje sobie sprawę, że jednem słowem mógłby unicestwić niegodną intrygę, ale ustępuje tchórzliwie wobec masy wprowadzonej w błąd i rozjuszonej. W rezultacie podpisuje orzeczenie, które stwierdza winę przedsiębiorcy i uwalnia się tem samem od wszelkich niemiłych konsekwencji ze strony górników.

Charakterystyczne jest stanowisko szynkarza, gdy pewien odłam górników w źle zrozumianym interesie własnym zamierza uciec się do „action directe". Szynkarz, który nigdy kieliszka wódki inaczej niż za gotówkę nie sprzedał, orjentuje się szybko w sytuacji. Widzi, że ci ludzie, którzy jeszcze nie pili, są pijani zemstą, ale wszystko skończy się na krzyku i pogróżkach, o ile nie wejdzie w grę czynnik właściwy. Dopiero alkohol pobudzi ich do zbrodniczego czynu, popchnie do niszczenia maszyn i podpalenia budynków, szop i materjałów. Daje więc wódkę za darmo, wie bowiem, że wrócą napewno i zapłacą za wszystko z nawiązką. Najważniejszą i najpilniejszą sprawą narazie jest zniszczyć właściciela kopalni, który musi być ukarany za zakładanie jadłodajni bezalkoholowych i inne tym podobne „szatańskie" pomysły.

Mimo ciężkiej atmosfery i wielu przygnębiających epizodów, książkę odkłada się pod wrażeniem, że autor jest w gruncie rzeczy opty-

mistą. Dawid wraca do kopalni, aby wywalczyć dla innych znośniejszy byt i jaśniejsze jutro. Wierzymy razem z nim, że cel ten będzie osiągnięty. Ale Dawid sam nie zdziała cudu. Trzeba, aby takich, jak on, było wielu, znaczna większość. To też charaktery trzeba kształcić, innej drogi, prowadzącej do właściwego celu, niema.

Marja Sokalówna.

SWOJSKIE METODY POPIERANIA MOTORYZACJI.

Wiemy, że Ojczyzna nasza pod względem motoryzacji, znajduje się na szarym końcu wśród państw świata (patrz art. p. Kryśki w „Trzeźwości" Nr. 5 - 7 (1938, str. 141). Wiemy, że rozwój motoryzacji jest poważnem zagadnieniem nie tylko pod względem ekonomicznym, ale także i obronności kraju. Tymczasem u nas bardzo często zagadnienie to traktuje się niesłychanie lekkomyślnie, naiwnie swojsko, że tak powiemy, zaściankowo, nawet domowo, kredensowo, czyli — alkoholowo.

że tak się właśnie, niestety, dzieje, potwierdza życie. Oto parę charakterystycznych przykładów.

W okresie wzmożonej, radosnej alkoholizacji (święta Bożego Narodzenia — Nowego Roku), zaszedł następujący fakt, którego opis podajemy za „Il. K. C." (Nr. z 30.XII. 38).

„Osobliwy zator na reprezentacyjnej szosie. Osiem osób pijanych do nieprzytomności na drodze wilanowskiej.

To, co podaje jedno z pism warszawskich, jest jaskrawym dokumentem, świadczącym o zwyczajach niesłychanego pijaństwa. W tym wypadku ma się do czynienia z jednostkami oczywiście zamożnemi.

Oto na szosie wilanowskiej utworzył się wczesnym rankiem prawdziwy zator furmanek. Chłopi, jadący do miasta, zatrzymali się na drodze, gdyż w poprzek szosy wznosiła się barykada... z ciał ludzkich. Leżało ośmiu mężczyzn i dwie kobiety. Opodal stały trzy prywatne auta.

Co to miało znaczyć?

Czy był to jakiś zbiorowy wypadek samobójstwa, czy morderstwa? Zawiodomiono policję, a potem pogotowie. Stwierdzono, że osoby, leżące na szosie, należą do towarzystwa warszawskiego. Przybyły lekarz skonstatował u wszystkich osób silne zatrucie alkoholem.

Jak się okazało, we wtorek całe towarzystwo wyjechało samochodami do jednej z miejscowości podwarszawskich, gdzie spędzono czas na wesołej zabawie. Nad ranem całe wesołe towarzystwo odjechało w kierunku Warszawy. Na szosie jednak wilanowskiej zatrzymano samochody i pasażerowie wysiedli. I tu rozpoczął się dalszy ciąg libacji, przyczem wszystkich jej uczestników zmorzył nagle sen.

Po doprowadzeniu do przytomności, wylegitymowano ich i staną oni przed sądem za zatarasowanie ruchu na szosie".

To był wyczyn oderwanej grupy pionierów motoryzacji w Polsce

— a teraz inny obrazek z nocy sylwestrowej w Stolicy, o którym z rozrzewniającą aprobatą doniosła prasa:

31 grudnia kilku automobilistów w imieniu swej organizacji, „Automobil Klubu Polski“, wręczyło posterunkowym Policji Państwowej, kierującym ruchem ulicznym w noc sylwestrową, upominki noworoczne w postaci koszyczków ubranych gałązkami świerków i jemioły z *winem, owocami* i t. p. Korowód samochodów zaczął objazd 17 punktów w czasie od g. 22 m. 15 na peryferjach miasta i w centrum, a ukończył po północy.

*

* *

Szanowni delegaci Automobil Klubu zapomnieli widocznie, że nie tak dawno Komendant Główny Policji Państwowej, gen. Kordjan-Zamorski wydał specjalny rozkaz, zakazujący policjantom używania napojów alkoholowych.

Dawanie upominków w postaci alkoholu, poza małą wybrednością pomysłu, wytwarza sytuację nieco paradoksalną — obdarowywania owocem zakazanym. Ma to specyficzny posmak.

Czyby nie lepiej było obdarować czemś, mającem znaczenie kulturalne, np. bonem na książkę, biletem do teatru...

Wypowiadając powyższe uwagi, kierujemy się troską o dobro powszechne. Cieszymy się, że i w sferach automobilistów naszych znajdujemy ludzi w podobny sposób rozumujących; oto wśród „Bzdur i Przesądów“ p. Witolda Rychtera („Auto“ grudzień 1938 r. nr. 12), znajdujemy następujące słuszne uwagi, które podajemy w całości:

„Imieninki. Wódeczka. Śledziczek. Konjaczek. Winko. Kotlecik. Piwko. Serek. Szampan. Kawa. Kogutek. Maszyna. Benzyna. Wilanów. Szosa. Słupek. Szpitalik. Protokólik...

Czy wiecie, Szanowni, że jeden kieliszek wódki zmniejsza szybkość reakcji o połowę, mimo, że pijący nie widzi żadnego ujemnego objawu? Stąd pochodzi tłomaczenie, tak często spotykane w sądzie: „piłem jeden kieliszek, ale pijany nie byłem“.

Proszę sprawdzić. Ja już wykonałem odpowiednie doświadczenie (ale nie na sobie) i odległości czasu reakcji pomierzyłem. Resztę niech potwierdzą lekarze-specjaliści, psychotechnicy.

A zacni skąd inąd automobiliści uważają moje słowa za bzdurę. Nie nawołuję do trzeźwości. Nie chcę mieć zatargu z Monopolem. Ale wolno mi nawoływać, by po wypiciu drobnej nawet ilości alkoholu, kierowca miał tyle rozsądku, czy siły woli, by *jechał ze znacznie mniejszą* szybkością i pamiętał groźną prawdę o znacznem zmniejszeniu się szybkości reakcji“.

Autor nie nawołuje do trzeźwości i przyznaje, że czyni to z obawy zatargu z Monopolem Spirytusowym. Bardzo cenne wyznanie, z którego wynika, że zwolenników trzeźwości mogłoby być znacznie więcej, a wypadków samochodowych znacznie mniej. A wtedy odpadłby i „szpi-

talik“ i „protokólik“, i przezornie, a dyskretnie opuszczony przez Sz. Autora „cmentarzyk“ , co niezmiernie uprościłoby dzisiejsze skomplikowane i pełne niebezpieczeństw życie.

Tak, tak, kto istotnie i szczerze (nie przy „lampce wina“) pragnie motoryzacji Polski, ten musi wypowiedzieć bezwzględną walkę wciąż postępującej jej alkoholizacji...

Jan Szymański.

ZABAWA.

I.

— A to niech mama ze mną idą... — niezdecydowanie powiedział.

— Pietruś, zgłupiałeś, czy co? To całe życie będziesz za mną, jak ciele za krową łazić? Przecieć mówiłam ci, że wsyćko urobione. Karbowiaczce zaniesłam mendel jajków, jej chłop pogadał z rzundcą, a jak rzundcemu się spodobasz — wezmą cię zarutko. Potrzebują parobka.

— Jakoś mi nijako, Łasicki ostry pan, nieraz słyszałem, jak krzyczał na ludzi...

— Tyli chłopak, na dwudziesty mu idzie, a taki strachliwy! Pójdź, nic się nie bojaj, jak matka ci mówi, że będzie dobrze, to będzie!

Pietrek sięgnął po czapkę i wyszedł.

Filczakowa przeżegnała go i w dalszym ciągu zamiatała izbę, od czasu do czasu wzdychając głośno...

Ciężkie, bo ciężkie życie wdowie! Została sama na trzech morgach z dwojgiem sierot... jak tu dać sobie radę samej kobiecie?...

Ale drugiego chłopa se nie wziena... żeby bijał jej dzieciska? A niedoczekanie... I tak je wychowała i jakoś idzie. Może teraz, Pan Bóg da — lżej będzie...

Dziewucha ma już czternaście lat, to i krowę wydoi i świnioki obrządzi... Pietrek — dobry chłopak — cichy, spokojny, trochę niemrawy, ale domu i roboty pilnuje, a tera, jak we dworze będzie służył — to i trochę pieniędzy do domu przyniesie i zawszeć jedna gęba przy misce ubędzie!...

Dobry z niego robotnik, ludzie go lubieją... a ona odetchnie trochę, bo to i sił coraz mniej i chciałoby się dla Antośki trochę na wyprawę uzbierać... Ale gdzie o tem myśleć, przednówek latoś ciężki... łońskiego roku susza była, słonko wsyćko wypaliło, na obsianie nawet nie zostało — i gdyby nie Koło Rolnicze, co trochę dało na siewy, to Bóg wie, czyby przetrwali...

Duma o tych sprawach i kłopotach, kręci się po izbie, garnki na kominie ustawia i wygląda przez okno, a niepokój zakrada się do jej serca.

— O Jezu, wzdycha — a niechby już wrócił, albo w jedną, albo

w drugą stronę... wezmą go, czy nie wezmą? Toć słonko już na połednie pokazuje.

Stanęła we drzwiach chałupy i, dłonią przysłoniwszy oczy, popatrzyła na szeroką wiejską drogę, prowadzącą do chałupy.

W dali zamajaczyła jakaś postać. On, czy nie on? Juźci, Pietrek, a jak goni!...

Za chwilę był już przy matce, a oczy błyszczały mu radością.

— Zgodzili me — krzyknął — od jutra idę do roboty!

— A wiele ci dali? Gadaj...

— Dwadzieścia pięć złotych na miesiąc i strawę.

— Chwała Bogu!... — odetchnęła z ulgą, — a sprawuj się, synu, dobrze, nie zadawaj się z dworskimi, bo to rozwydrzone i utracjusze, a najwięcej ten Kolińszczak, pijus i kartownik... Wszystko przechla...

— A właśnie... pan Łasicki mówił mi, że za pijaństwo wygnał w środku roku Bartosiaka z Klimczyc, bo ten spijał się, jak nieboskie stworzenie każde święto, a potem spał i nie szedł do roboty.

— Pamiętaj więc, synku, nie daj się namówić, ani kieliszka do gęby! Tyli pieniądz!... trzeba szanować... powoluśku i siostrę spłacisz i ostaniesz na tych morgach, jak gospodarz — a wtedy i do ożenku będzie pora.

Krew zalała pucułowatą twarz chłopaka... mignęła mu przed oczyma smagła twarz Weronki, i czarne warkocze, i śmiech wesoły...

Zbliżył się i pocałował matkę w rękę.

Rozrzewniła się stara.

— No co, synku?...

— A toć Bóg zapłać za wszystko, coście dla mnie zrobili, nie będzieta, mamo, nigdy na mnie narzekać...

II.

Dzwony biją rozgłośnie... Przed kościołem tłumy... Zaledwie znikoma część zdołała wtłoczyć się do środka. Gwar panuje przyciszony. W budach sprzedają medaliki, książki nabożne, świecidełka i słodycze.

Msza zaraz się skończy... Już wysypują się ludzie zgrzani, czerwoni, ocierający czoła rękawem, baby idą godnie, szumiąc spódnicami, dziewczęta wystrojone i uśmiechnięte.

Idzie też z matką Weronka Matysianka, bystre rzuca spojrzenia tu i tam — wreszcie zatrzymuje się — niby niechcący przy chłopaku, co stoi oparty o filar kościelny...

— Zaczekaj, Weronka, muszę pogadać z Augustynką, idź do dzieuch, popatrzcie na kramy...

Weronka rozgląda się niezdecydowanie, wtem zbliża się do niej Piotr.

— Dawnośmy się nie widzieli... — zaczyna nieśmiało.

— Pewnie, wy we dworze, a ja na wsi...

— Może przejdziemy się trocha po kramach, kupię Werci piernik...

— A jaki?

— Ot! taki — serce z literą w środku...

— Ten?...

— Juści, a litera „W“...

Roześmiała się i zakryła piernikiem twarz.

Przeciskali się przez tłum, roześmiani, radośni, wypili wody sodowej z sokiem i siedli wreszcie na ławce pod cmentarzem.

— Werciu — zdobył się na odwagę chłopak — już przeszło dwa lata, jak służę we dworze, całą pensję odkładam, mogę siostrę spłacać, gdyby wydała się za Ratoszczaka... Matka mi odpisze cały grunt — co ty na to?...

— A cóż ja?... a bo to wiem?...

— Gdybym tak przysłał swaty — co byś rzekła?... No... Werka?

— Tatuś mówią, żeś robotny i porządny, choć biedny, a ja...

— A ty?

— Ja ta za majątkiem nie gonię, jedna jestem w chałupie, to i tak wszystko będzie moje...

— Poszłabyś za mnie?.. Gadaj.. bo mi serce wyskocy...

— Czy to z piernika?... — zaśmiała się przekornie...

— No, Weronka, nie kpij... powiadaj...

— Pietruś, a dyć wiesz... co ci mam powiadać.

Przylgnęli do siebie, trzymał ją w mocnym uścisku, dopiero głośne jazgotanie nadchodzących bab kazało im odskoczyć od siebie

— Muszę już iść, Piotrusiu, matka pewnikiem mnie szuka.

— A no — to wracajmy.

Raz jeszcze popatrzył na nią i szepnął:

— Pamiętaj, Weronka, pamiętaj...

Gdy znaleźli się znów przed kościołem, matka jeszcze rajcowała z kumciami.

— A jesteś... gdzieżeś się tak długo podziewała? ociec chce już jechać do dom, toć to ośm kilometrów, a słońce piecze, aż ha!... Zabieraj się...

Pietrek stał i patrzył na kłębiący się kurz, w którym zniknął wózek Matysiaka... z rozmyślań wyrwał go głos Ignaca Kalińskiego.

— A cóżeś się tak, Pietrek, zagapił? Nie pójdziesz na zabawę?

— Na jaką zabawę?

— A no wszystkie chłopaki ze dwora idziem do gospody pod „Białą różę“.. będą tańce, będzie muzyka.

— Ja tam nie do tańca...

— Dajże pokój, Ignac, toć go znasz, matczynej kiecki ciągiem się trzyma. On nie pójdzie. To to ani do dziewuch, ani do kieliszka.

Krew uderzyła Pietrkowi do głowy.

— Wolę schować te grosze, niż zmarnować po karczmach.

— Ha! ha! ha! Zobaczycie! Zarutko, a Pietrek będzie dziedzicem, tyle se uskłada!

Śmieli się parobcy.

— Pewnie, więcej będę mioł od was! — odciął się Pietrek

Kaliński mrugnął na towarzyszy.

— Słuchaj, Pietrek, przecież zabawić się czasem — to nie grzech. Nie chcesz pić — nie pij, ale pogadać z ludźmi możesz, posiedzieć z nami, kufel piwa łyknąć... pokręcić się po izbie, muzyka zagra... Nie bądź głupi! Co będziesz robił całe święto w chałupie? Nudno.

— Kiedy bo...

— Dziś odpust, należy się ludziom zabawa. Teraz pójdziem na karuzelę, a potem do gospody, ja stawiam, niech cię!

Piotr stał niezdecydowany... Pewnie... nigdy z nimi nie chodził... ino praca i praca, a toć matka pilnowała go, jak oka w głowie — niech się raz zabawi..

— A no — to pójdę z wami.

W tej chwili wychodziła właśnie z kościoła Filczakowa z książką do nabożeństwa w ręku, czarna w kwiaty chusta, z pod której wyzierał rąbek czepka, obramiała jej szczupłą, pomarszczoną twarz. Bystre oczy w jednym momencie ogarnęły gromadę chłopaków.

— A ty gdzie?.. idziem do dom!

Pietrek zatrzymał się.

— Idźcie, matko, ja jeszcze trochę zostanę.

— Ani mi się waż! ja już znam tę kompaniję... nie potrza. Idziem.

Parobcy wybuchnęli śmiechem.

— Idź, Pietrze... — zakpił Kolińszczak — idź, kiedy cię mamusia nie puszcza... ty jeszcze koszulę w zębach nosisz, a myślisz, żeś dorosły chłop...

Pietrek zawstydził się. A toć kpili z niego w żywe oczy, ale on pokaże...

— Piotr, chodź, pókim dobra!

— Idź, idź, bo dostaniesz w chałupie paskiem, albo cię zamkną w komórce za karę!..

— Niech mama już idzie, ja niedługo wrócę.

Filczakowa uderzyła w lament.

— A toć Boga w sercu nie macie, żeby mi chłopaka ciągać po karczmach... Piotruś ,posłuchaj matki...

Parobczak stracił już ochotę pójścia z towarzyszami, ale ich drwiące uśmiechy i przekpinki wytrąciły go z równowagi. Cichy, łagodny syn uniósł się gniewem.

— A właśnie, że pójdę! Nikt mi tu nie będzie rozkazował! Matka, zabierajta Antośkę i jazda do dom! No, chłopcy, marsz!...

— Oho, jak się postawił — z uznaniem pogadywali parobcy — zuch Pieter. Baby nami nie będą rządzić. Idziem!

I poszli.

Gonił za nim rozpaczny, piskliwy głos Filczakowej i chlipanie Antosi.

III.

W gospodzie było już tłoczno i gwarno. Za ladą stał pan Klimczak i podawał piegowatej Wikcie butelki i szklanki do roznoszenia. Przy stołach rozsiedli się godnie gospodarze, przepijając do siebie i gwarząc o swych kłopotach i ciężkich czasach, o podatkach i lichych owsach.

Pod ścianami gziły się dziewczęta, zagryzając odpustowe pierniki i obwarzanki. Kiedy gromada chłopaków wtłoczyła się do izby — gwar na chwilę zamilkł.

Kolińszczak obzierał się naokół, wreszcie wybrał stół, kazał przynieść wódki, chłopcy rozsiedli się na ławach.

Naleli.

— Zdrowie Pietrka! Jako, że wylazł z pod maminej pierzyny! Niech żyje!...

Piotr wypił, zakrztusił się, bo go srodze zapiekło... i splunął.

— A teraz niech nam żyje Koliński Ignac!

— Do dna, chłopaki, do dna!

— Jeszcze go raz...

— Siulim... chaim...

Po paru kieliszkach Piotr był zupełnie zamroczony, organizm, nie przyzwyczajony do alkoholu — reagował silnie. Dwoiło mu się w oczach, szumiało w głowie i jakaś bezprzedmiotowa radość rozpierała go całego.

— Śledzia, ogórków kwaszonych, kiełbasy — no — i resztę! — zarządził znów Koliński.

— Nie pozwolę!.. — huknął Piotr — tera moja kolej, ja stawiam.

— Dobra nasza!... W górę Pietrka!

Widząc, że pijatyka zaczyna się na dobre, poważniejsi gospodarze zaczęli się powoli wysuwać, dziewczęta niechętnie podążały za matkami.

— A to co? uciekata? to być nie może! Trza przecie się zabawić. Gdzie jąkała? gdzie jego harmonija?

Wyciągnęli gdzieś z kąta Walka - jąkałę, wleli mu dwa kieliszki w gardło i kazali grać.

Zahuczała głośno i zadzierzyście harmonja: oj-da na, oj-da na!... Kolińszczak pierwszy złapał dziewuchę od Dzięciołów, za nim poszli Felek, Janek i Marcin, na końcu niezupełnie pewnie stąpając, Pietrek. Zakręciły się pary w zawrotnym tańcu, fruwały wykrochmalone spódnice, tupały podkute buty... Nad kurzem, dymem z machorki, kwaśnym odorem piwa i oddechami, ziejącemi spirytusem—unosiła się skoczna, krzykliwa melodja. Walek grał, aż pot kroplami spływał z pod zsuniętej w tył czapki.

Gdy zmęczony przestawał, zjawiała się butelka i z niej czerpał siły do dalszych wyczynów muzycznych.

Rozochocony, podpity dobrze Ignac, krzyczał na cały głos:

— Ja stawiam — dla wszystkich... gospodarze, nie odmawiajta... antałek piwa... a dla panienek — słodka, z sokiem malinowym!...

Śmiały się, zakrywały oczy fartuchem i piły małemi łykami, szczerząc zęby rozbawione i rade.

Na ławie pod ścianą kiwał się Pietrek, wódka, piwo, tańce — rozebrały go doszczętnie, plączącym się językem gadał coś do siedzącej obok gospodyni:

— Jak Boga kocham, Walencikowa, muszę się ożenić... nie mogę tak dłużej, pieniądze mam.. wszystko mam, jak się patrzy...

— A to się żeń, synu, żeń... Kto ci broni?... — odpowiada sennie sąsiadka.

— Nikt mi nie zabroni... nikt! Wiem, co robię... prawda... — reszta słów zginęła w pijackim bełkocie.

Nagle przypomniał sobie, że już pięć złotych stracił na poczęstunek, żal mu się zrobiło... tyle grosza.. ale trudno... raz kozie śmierć!... Sięgnął drżącą ręką po piwo i wychylił całą szklankę, potem oparł się

o stół i zadrzemał. Nie widział już, jak przez szeroko rozwarte drzwi wwaliła się kupa młodych, rozsiedli się przy stołach i zaczęli się bratać z dworskimi, nie widział, jak butelki szły jedna za drugą, jak potem wszyscy poszli w tany, i Kolińszczak odbił dziewuchę Jaśkowi z za Buga... jak zaczęła się zwada i krzyki. Ze łbów kurzyło się... Otworzył oczy dopiero na łomot tłuczonego szkła... Pan Klimczak czemprędzej chował butelki pod ladę i starał się uspokoić kłótników. Ale głos jego ginął w ogólnym krzyku. Alkohol robił swoje: mściwość uderzała do przekrwionych mózgów, wypłynęły zadawnione urazy i nienawiść do „Zabużaków"...

Po nad wrzaskiem — kłębiła się jeszcze melodja: oj-ra, oj-ra... a Kilińszczak stał rokraczony, z potarganą czupryną i ryczał:

— Ja tu za wszystko płacę! Kto tu zabiera dziewuchy? mój poczęstunek, moi goście, moje dziewki!

— A ty, cholerny capie, czego się stawiasz? Takim sam dobry, jak i ty...

— Słyszyta, chłopaki, co ten gada?.. równa się z nami... na moje podwórko przyszedł, a tera...

— Nie daj się, Ignac, — podjudzali inni — wal w mordę i koniec!...

— Kij ma dwa końce — ostrożnie... Rozległy się przekleństwa i uderzenia.

— Dalej, chłopaki — nie dać się!...

Jedni i drudzy rzucili się na siebie z gołemi pięściami... Kobiety z przeraźliwym piskiem uciekały przez drzwi i okna... Gospodarz przezornie wymknął się do alkierza — nikogo już ne było, prócz bijącej się gromady. Na ławie siedział tylko Pietrek i wpatrywał się mętnemi źrenicami w bijatykę.

Nagle błysnęły noże...

— Bracia! — ryknął Ignac — Zabużaki rżną naszych... a ty, ciamajdo siedzisz... dawaj ławę!...

Pietrka coś poderwało, złapał ciężką, dębową ławkę i bez namysłu gruchnął po łbach następujących Zabużaków, sam uderzony butelką w głowę, rozciągnął się na podłodze.

Sprowadzony przez Klimczaka sołtys, wraz z policjantem i kilkoma tęgimi chłopami, rozejrzał się wokół pobojowiska: kilku leżało zakrwawionych, nieprzytomnych, wśród porozbijanych butelek i talerzy, inni, oparci o ścianę, dyszeli ciężko i zamglonemi oczyma wpatrywali się bezmyślnie w nadchodzącą władzę.

— Związać i do miasta! — rozległ się rozkazujący głos — a tych na wozy i do szpitala.

— Bydło, psia krew!... — mruknął policjant — ale jatki zrobili, no!...

IV.

A potem długie dni w areszcie, potem sprawa, wielka sala miejska i ludzi w togach — i pytania, na które miał jedną odpowiedź: nie pamiętam — byłem pijany — nie wiem..

I mowa adwokata - obrońcy.

Wyrok — ośm miesięcy — i rozpaczliwe krzyki matki, i długie, długie dni i noce, jednostajne, ciężkie, bez żadnej pracy, bez wysiłku fizycznego, kiedy muskuły się proszą, nogi pragną ruchu, pierś oddechu, a tu samotna, mała cela... obijanie się od ściany do ściany... i to oko dozorcy przylepione do „judasza“ — i nędzna strawa, i zimno, i nudno i — wyrzuty sumienia.

Kiedy wreszcie brama więzienna otworzyła się przed nim, a w kieszeni szeleściał papier — zwolnienie, rozejrzał się nieporadnie, zaczął iść przed siebie, minął miasto i wyszedł na szosę.

Czerwcowy ranek śmiał się słońcem, zielenią, zapachem żywicy z przydrożnych sosen i szumem żyta na rozległych polach.

Pietrek przystanął i pełnemi piersiami chłonął powietrze rzeźwe, zdrowe, wonne... Oczy mu rozbłysły, ramiona rozpostarł i poczuł znowu krzepę w kościach i radość w duszy.

Wraca , wraca do swoich, do matki, do Antośki, do swego gruntu, do chałupy, do — zamajaczała mu, jak żywa, postać Weronki

— O Jezu miłosierny, aby tylko wszystko było w porządku i zdrowiu...

Przyśpieszył kroku... dwadzieścia kilometrów... zajdzie na odwieczerz. Oj, żarła go tęsknota przez ten rok, żarła... Zsechł, zczerniał od niej... I bez co to wszystko? Bez jedno głupie namówienie, bez jedną zabawę i tę przeklętą wódkę.

Splunął z obrzydzeniem

Miała matka rację, przestrzegając go przed tym Kolińszczakiem, ścierwo sobacze — zaciągnął go do karczmy, spoił, a potem... Ale czy ten tylko winien? A on sam?... Nie mógł to odmówić, wrócić.... Ale go ciągnęło, na złość matce chciał zrobić, a sam sobie na złość zrobił...

Po raz setny i tysiączny nad tem rozmyślał... aż zgniewany, mruknął:

— Było, przeszło i już... teraz trza wziąć się do pracy i wszystko będzie dobrze.

Był zbyt młody, aby ciągle się martwić, teraz jest na wolności i życie przed nim

Usiadł nad rowem, wyjął z tłomoczka kawał chleba i kiełbasy, posilił się... zatrzymał na jakiejś kolonji, wyciągnął wiadro u studni, napił się wody i szedł dalej. Minął kilka wsi i zaczął się zbliżać do lasów nadbużańskich...

Serce łomotało mu w piersiach... o... już widać obejście.

Zdrójków, a tam za drzewami strzecha mchem porosła... i skrzypiący żóraw... Przyśpieszył kroku.

Od studni szła z wiadrem Antka, gdy stuknęła furtka w płocie, obejrzała się... z przed progu z głośnem ujadaniem leciał pies, ale nagle wściekły szczek zamienił się w radosne skomlenie.

— Wierny! Wierny!... jak się masz, Wierny... — a zwierzę z przejmującym skowytem rzuciło mu się na piersi...

Już z krzykiem biegła Antka i zawisła mu na szyi, a we drzwiach stanęła Filczakowa. Piotr przypadł do rąk matki... płakała i całowała go, obejmując drżącemi rękoma, a on płakał również, ocierając coraz oczy rękawem koszuli

— Chodź, synu, do izby — pewnoś głodny... Antka, a rusz-że się,

dawaj hładyszkę z kwaśnem mlekiem, chleb, ser... kartofle możesz już odcedzić...

Jedli powoli, pogadując...

On opowiadał o swojem życiu w więzieniu, o mękach tęsknoty i wyczekiwaniu zwolnienia, Filczakowa znów powoli sączyła nowiny wiejskie, kto przez ten czas się ożenił, kto umarł, kto chorował...

— A wiesz, — wtrąciła siostra — Weronka Matysiakówna zmówiona z Felkiem Uniejukiem z za Buga...

— Szczęśliwa Werka, dostanie od ojców pięć morgów, a on ma swoich dziesięć, będą żyć, jak u Pana Boga za piecem...

Pietrek wytrzeszczył oczy, przełknął parę razy, jakby się dławiąc... coś go ścisnęło na wnątrzu.

— Weronka? — zapytał, jakby niedosłyszawszy.

— A jušci ona, nie brzydka dzieucha... bo to...

— Mamo, pójdę rozejrzeć się po gospodarstwie... żyto widziałem, jakiesi marne...

— Wszystko marne — zaczęła zrzędzącym głosem stara — przez te półtora roku zmarnowaliśma się, że nie daj Boże!... ani to dobrze zaorane, ani obsiane, rąk nie było... najmowałam niemowe na dniówkę, ale to słabizna, ledwo coś tam pomógł...

— Przecie moglišta zgodzić parobka z moich pieniędzy, z tych na spłacenie Antki, byłoć tam kilkaset złotych....

— Z twoich pieniędzy?... — urągliwie zawarczała matka — a dużo to zostało z tych twoich pieniędzy?... — zerwała się, wyciągnęła szufladę i rzuciła na stół puste blaszane pudełko. A co ty myślisz, że sądy to darmo? że ten adwokat, co pyskował bez dwie godziny — to darmo? że te przejazdy do miasta, ta strawa, te wałówki, coś dostawał co tydzień w więzieniu, to darmo?

— O, Jezu, Jezu — zajęczał oszołomiony chłopak...

— Tak, Jezuskuj tera — długo stłumiona gorycz, ból i złość przerwały tamę, — nie trza było upijać się, jak bydlę, nie trza było robić bijatyk, a słuchać matki, tera masz!... — z oczu jej leciały łzy gorące.

Pietrek opuścił głowę

— A wiesz ty, jak my głodowały? Łońskiego roku znów susza, wszystko wypaliło, nie było chleba, nie było czem obsiać, a wszystkie grosze szły na ciebie, do miasta. A gdyby nie ten adwokat, to być jeszcze ze dwa roki gnił w więzieniu... aż ludzie się dziwowali, że zasądzili cię na tak krótko. A gdyby Grzesiak umarł, no ten, coś mu łeb rozwalił, to byś poszedł do katorgi na całe lata. Łaska boska, że się wykurował, ale cały szpital ja musiałam zapłacić i jeszcze go prosić, żeby na ciebie nie pomstował i dać mu dziewięćdziesiąt złotych, niby za straty w gospodarstwie, jako że chorował długo. Oj, dolo, dolo! płakałyśmy nieraz z Antką gorzkiemi łzami, a tu jeszcze to Kalbarczka, to Miedziółkowa ozorem mielą i wymyślają mi od matki zbója i więziennika...

— Wiem, nie gadajcie, bo dusza ze mnie wyjdzie...

Nagle stara podnosła się z ławy, groźna, straszna, zawzięta:

— Pamiętaj, Pietrek, że jeśli kiedy kieliszek do gęby weźmiesz, przeklnę, jak Boga przy skonaniu pragnę, przeklnę! Wypędzę z chałupy, ziemia moja, po ojcach, będzie dla dziewuchy, a ty rób, co chcesz. Wszystko bez tę wódkę... A wyszło ci z głowy, jak Matecki zatłukł żonę

po pijanemu? A Olejniczak, co poszedł spity spać do stodoły i zasnął z papierosem w gębie i całe obejście puścił z dymem? A Jasiek, co po libacjach na chrzcinach u Wiórków zgłupiał ze szczętem i powiesił się na wrotach?... Masz, co tu nieszczęść...

— Wszystko to prawda, aleć matko, moglibyście chocia pierwszego dnia tak mnie nie przyjmować... oj, nie miło witacie, nie miło...

— A co? miałam cię może za te krzywdy po główce pogłaskać? O, ty... — podniosła rękę w swojem gniewie, aż Antka, co beczała w kącie przez cały ten czas, pochwyciła jej dłoń i prosiła:

— Matusiu, a dyć, a dyć dajcie pokój, on już nigdy... ja wiem, prawda, Pietrusiu?...

— Przecieć wiecie, że pijakiem nigdy nie byłem, wtedy namówili...

— Słuchaj — uroczyście i już znacznie spokojniej przemówiła Filczakowa — pojutrze niedziela, dam w Rutkowie na mszę na twoją intencję i pójdziesz do spowiedzi i w kościele przed Najświętszym Sakramentem odprzysięgniesz się od wódki

— Zrobię wszystko, co każecie, tylko tak do mnie nie mówcie, bo... bo...

Filczakowa spojrzała nań łagodniej.

— No, pamiętaj, synu...

Pokornie pocałował ją w czarną, spracowaną rękę, wziął czapkę i wyszedł, bo mu było gorzko , za nim pobiegła siostra

— Piotrusiu, gdzie idziesz? ja się bojam...

— Ostań, ostań, Anteczka, pójdę nad Bug, wykąpię się i pośpię, bom zmordowany...

— Pietrek, ale ty się nie utopisz? prawda?

— Nie, nie bojaj się... tylkom zmęczony.

Pietrek szedł drogą przez wieś, ludzie byli jeszcze w polu, nikogo nie spotkał... Myśl o Weronce nie dawała mu spokoju... może to wszystko plotki? Ot, babskie gadanie... Czyżby zapomniała?... Przecie nieraz spotykali się nad rzeką — i przyrzekali sobie, że dochowają wierności, choćby nie wiem co, a tymczasem...

Cicho zbliżył się do chaty Matysiaka, ominął ganek i od tyłu wejrzał do izby. Weronka krzątała się koło komina.

— Werciu... — szepnął.

Odwróciła się gwałtownie i garnek wypadł jej z ręki.

— Piotruś... Jezu!...

Stała, jak wkopana w ziemię. Na drodze zaturkotał wóz... zatrzymał się, we drzwiach stanął Matysiak, jednem spojrzeniem objął izbę i huknął:

— A ty tu czego? Czego szukasz tutaj?

— Przysedem powitać, po somsiedzku...

— Nie trza tu takich, nijakich przywitań... od dzieuchy wara!

— A przecie dawniej, gospodarzu...

— Co było, to przeszło — nima o czem gadać! żeby tu twoja noga nie postała!...

— Tatusiu... — zaczęła dziewczyna.

— Poszła won! milcz!... do roboty!...

— Ale dlaczegój, gospodarzu...

— Dlaczegój, dlaczegój?... on się pyta?... Powiem ci, powiem... A to, że jesteś awanturnik, pijak, kreminalista! — wisz już? — potrząsnął batem.

Pietrek jęknął... chciał coś odszczeknąć, ale opamiętał się, wcisnął głębiej czapkę na czoło i, splunąwszy, wyszedł. Żółć go zalewała, biegł coraz prędzej, po przez łąkę nad rzekę... Zeskoczył ze stromego brzegu i rzucił się na piaszczystą wydmę nad wodą... Schował twarz w dłoniach...

Przepadło! wszystko przepadło!... Zmarnował swoją przyszłość... I dziewczynę stracił, i ciężko zarobiony grosz i dobre imię... Teraz każdy może mu wymyślać od zbójów... Co warte takie życie?... Co to Antka mówiła?... Nie utop się... A właśnie utopi się, utopi na złość... Niech potem płaczą, niech żałują, że tak się z nim obeszli.

Zaczął się rozbierać... Szkoda butów dla ryb... i szpencer jeszcze dobry... zostawi to na kamieniu... żal mu trochę życia, jest taki młody....

Patrzył na spokojny, leniwie płynący Bug — i wspominał..

Ot, dzieckiem bawił się tutaj, brodząc w wodzie po kolana, szukając muszli... Chłopakiem pasał bydło na tej łące, łowił ryby na wędkę i piekł je przy ognisku, a wieczorem kąpał się z towarzyszami, woda była ciepła, ciepła... Krzyczeli, bili się... Ot! i teraz, drzewa szumią, zmrok zapada, fala cicho pluszcze, a on chce...

— Jezusie Nazareński! złe nań naszło, czy co? A toć oni mają rację — i gospodarz i matka... Grzeszny jest, mało człowieka nie zabił... i to wszystko przez tę przeklętą gorzałę... raz tylko jeden się upił i tyle sobie i innym nieszczęścia napytał... Nie, tak nie można, nie powinien zejść ze świata w taki sposób, musi odpokutować, musi pokazać ludziom, że to był tylko nieszczęsny wypadek, że on nie jest taki bez czci i wiary...

Precz, pokuso djabelska!... nie zatraci duszy, nie przysporzy zmartwienia bliskim... Zrobi tak, jak mówiła matka — wyprzysięgnie się od wódki, potem pójdzie do pana Łasickiego i poprosi o pracę, szczerze mu wszystko opowie, lubił go przecie, bo robotny jest i chętny... może go wezmą...

Tak, pójdzie do spowiedzi, oczyści duszę, jak teraz oczyści ciało... Zdjął koszulę i rzucił się w chłodny nurt... Znajome, miękkie fale — zdało mu się — omywają go z wszelakiego brudu, z tych długich dni więzienia, ze krwi bliźniego, z pokus szatańskich...

Czuł się lekki, rześki, odrodzony... Gdy wyszedł z wody, księżyc już wypłynął na ciemno szafirowe niebo i lśnił swą wypolerowaną tarczą, a gwiazdy migotały złocistym blaskiem...

Wyszedł na łąkę, legł na rosistej, gęstej trawie.

Zamknął oczy...

Wtem posłyszał szelest i uczuł zimne dotknięcie mokrego nosa...

— Wierny... poczciwy pies... szukał pana...

Odpowiedziało mu radosne skomlenie.

Przytulił psa do siebie.

W sercu miał ciszę i głębokie postanowienie...

Wiatr szeleścił w nadbrzeżnych krzakach, koniki w żytach grały swoją pieśń wieczorną, zdala, z dąbrowy dolatywał monotonny głos kukułki... a cichy szmer wody niósł mu słowa pocieszenia i otuchy.. I tak zasnął.

J. Mori.

PORTRET

Harry Jones wyglądał przez okno przedziału, pędzącego w dal pociągu. Widział tylko deszcz, mgłę i smagane wiatrem gałęzie. Mimo to Harry nie tracił humoru. Najchętniej tańczyłby, śpiewał, obejmował świat cały. życię uśmiechnęło się do niego, swym najpiękniejszym uśmiechem.

Wyciągnąwszy się na aksamitnych poduszkach przedziału I-ej klasy, którą, przyznajmy się, jechał po raz pierwszy w życiu, Harry Jones oddał się miłym marzeniom, a raczej starał się uporządkować w swej głowie wszystkie tak znamienne wydarzenia ostatnich tygodni.

Oto przed sześcioma miesiącami był sobie zwykłym statystą w teatrze, młodym dwudziestopięcioletnim chłopcem, przystojnym, prawda i ambitnym, lecz jednocześnie bardzo niezamożnym i nie mającym żadnej protekcji w mieście tak wielkim. zimnym i niedostępnym, jak Londyn.

Urodzony na prowincji, syn pastora i nauczycielki wiejskiej, od dziecka marzył o sztuce. Jak wszystkie dzieci swego pokolenia, pasjonował się raczej dla kina, aniżeli dla teatru. Był stałym bywalcem jedynego Kina w miasteczku, i znał tak dobrze swych ulubionych artystów, że czuł się prawie ich znajomym. Największym jego faworytem był bohaterski amant, piękny Tullio Bonati, któremu zawdzięczał wiele wzniosłych momentów i który był dla niego wcieleniem wszelkich cnót męskich, wtedy to przysiągł sobie, że kiedyś musi stać się podobny do swego ideału, że musi poznać go osobiście i wyznać mu, że to on właśnie nauczył go odróżniać prawdziwie szlachetny gest, szczerą męską grę, od pozy i buffonady wielu innych gwiazdorów.

Po śmierci rodziców przeniósł się do Londynu. Mały mająteczek, który odziedziczył, dał mu możność ukończenia szkoły dramatycznej. Potem grywał w teatrze tak zwane „ogony". Nikt nie starał się nawet sprawdzić, czy ma on choćby odrobinę talentu. Do jego ról wystarczała mu piękna postawa, duża uroda i miły głos, którego jednak nie nadwerężał, gdyż największe jego role składały się z kilku zaledwie wyrazów. Od czasu do czasu statystował także w filmie. Tu ogarniała go zawsze gorączka, udzielał mu się natychmiast nastrój, tempo szalone. Przy odrobinie fantazji nie trudno było wyobrazić sobie, że to on właśnie gra rolę tytułową, że to on za chwilę ratować będzie bohaterkę z rąk bandytów, lub pokaże swój piękny głos w duecie miłosnym.

Skromne zarobki w teatrze i przy filmie pozwalały mu na mały pokoik w podrzędnym hoteliku, skromne obiady w mleczarni i utrzy-

mywanie w porządku swej garderoby. Przyjemności nie znał prawie żadnych.

Aż tu raptem, historja tak zwykła, a przytem tak rzadka. Gra małą rólkę w filmie, zwraca na siebie uwagę reżysera. Dostaje większą rolę, podoba się, zostaje *odkryty*. Potem już wypadki potoczyły się w zawrotnym tempie. Kontrakt do Hollywoodu na lat pięć, jako honorarjum 50 tysięcy dolarów miesięcznie, gwarantowane trzy wielkie role do roku. Fotografje, wywiady, płyty. Tak, życie było piękne, tym razem dało się ubłagać, dotrzymało obietnicy i obiecywało jeszcze dużo więcej w przyszłości.

Harry Jones przed rozpoczęciem pracy w Hollywood uzyskał półroczny urlop. W tym czasie miał się doskonalić w śpiewie. I wtedy to w Londynie dni zaczęły płynąć rozkosznie i szybko. Jak to przyjemnie wejść do lokalu i słyszeć głośny szept: „to Harry Jones“. Jak chętnie teraz otwiera się pocztę, składającą się przeważnie z zaproszeń, listów miłosnych i próśb o protekcję. Jak szybko zmienia się człowiek. Luksusowy hotel staje się rzeczą codzienną i naturalną. Nie pamięta się już obiadów w skromnej mleczarni. Harry Jones używa życia. Wciągnięty w koło złotej młodzieży londyńskiej, bawi się, jak oni i... pije, jak oni. Na pewnem kawalerskiem zebraniu, jako ostatni szyk, rozdaje się duże butelki ze smoczkami napełnione whisky. Na innym przyjęciu na stole stoi samowar i szklanki (rosyjskie obyczaje, to ostatni wyraz mody w Londynie). Uprzejmy gospodarz napełnia szklanki w ćwierci esencją, a w trzech ćwierciach wrzątkiem z samowara, który okazuje się oryginalną rosyjską wódką. Czasami już rano, gdy Harry budzi się, znajduje w swem mieszkaniu przyjaciół, zajętych mieszaniem ,,Cock-tail‘ów“. Harry, trzeba przyznać, nigdy nie miał pociągu do alkoholu, jako skromny prowincjonał nie śmie jednak protestować, boi się, że go wyśmieją. Jedynie nauczyciel śpiewu zwraca mu uwagę na niebezpieczeństwo, które mu grozi, nie jeden sławny śpiewak przez ten smutny nałóg stracił głos. Narazie jednak promienna młodość Harry‘ego tryumfuje. Głos brzmi pięknie, mocny, niezużyty organizm nie czuje zmęczenia. życie jest piękne. Dziś Harry nie może już obejść się bez alkoholu, rację mają przyjaciele, wśród rozkoszy życia pokaźne miejsce należy się winu i wódce. Dziś Harry razem z przyjaciółmi wyśmiewa tych, którzy mimo namowy nie chcą pić, nazywa się ich w wesołym gronku armją zbawienia, hipokrytami, maminymi synkami i kpi się z nich przy każdej okazji.

Sześć miesięcy zabawy i nauki przeszło, jak we śnie. I oto teraz pociąg unosi Harry‘ego do Hollywood, celu marzeń tylu młodych artystów. W myśli cieszy się już z pracy, z poznania osobiście gwiazd, które znał tylko z ekranu, a przedewszystkiem na pierwsze spotkanie z Tullio Bonati, które tak często przeżywał w swych marzeniach. Machinalnie wyciąga z walizki butelkę konjaku i szklaneczkę. Pije sam do siebie na udanie wszystkich zamierzeń. Po wypróżnieniu kilku szklaneczek humor staje się jeszcze lepszy, w głowie lekko szumi, mija trema, wzrasta dobre samopoczucie.

Na dworcu końcowej stacji czeka na niego samochód i impresario. Wspólnie mają udać się do willi, w której zamieszka Harry. Ale Harry nie ma narazie ochoty jechać już do domu. Samochód zabiera

tylko rzeczy, a impresarjo na prośbę gwiazdora zgadza się na przechadzkę inkognito po mieście.

Harry jest podchmielony. Wydaje mu się, iż stąpa po dywanie z róż. Chciałby śmiać się i śpiewać. Mówi coś dość bezładnie, ale impresarjo tłumaczy to wzruszeniem swego młodego pupila. Tak powoli zbliżają się do największego kina w mieście. Harry z radością widzi, iż paru robotników rozwiesza plakaty z jego ostatnim, jeszcze w Londynie nakręconym filmem. Porozumiewa się wzrokiem ze swym towarzyszem i przystają. Właściciel kina zbliża się właśnie, trzymając pod pachą dużą fotografję w ramie. „Proszę powiesić to na najlepszym miejscu", mówi do robotników. Ściany przedsionka zawieszone są szczelnie fotografjami Grety Garbo, Marleny Dietrich, Gary Coopera i innych najulubieńszych gwiazd. Robotnik, któremu właściciel kina polecił umieścić fotografję Jones'a, nie może znaleść miejsca dla niej. Wówczas zbliża się właściciel, rozgląda się wokoło i wreszcie zdejmuje ze ściany podobiznę Wallace'a Beery. Na pustem miejscu robotnik wiesza fotografję nowowschodzącej gwiazdy. Trzebaby jednak i fotografję Wallace'a Beery gdzieś umieścić. Właściciel rozgląda się ponownie. Staje przed jedną z fotografji, zrzuca ją na ziemię i zawiesza Beery'go. W tej chwili robotnik, który cały czas stał za właścicielem, zwraca się do niego nieśmiało: „Czy nie potrzebna panu ta fotografja, panie dyrektorze". Właściciel zaśmiał się. „Ten śmieć? nie, nie potrzebny, możecie to wziąć". „Dziękuję", odpowiada robotnik i wolnym krokiem ze zwieszoną głową oddala się, trzymając podarowaną fotografję w ręku. Harry z zainteresowaniem przyglądał się tej scenie. Chciałby teraz zobaczyć, kogo przedstawia zdetronizowana fotografia. Zbliża się wesoło. Rzuca okiem na fotografję i na robotnika, który ma łzy w oczach i jest bardzo blady. Ból przeszywa mu serce. Fotografja zmieciona na podłogę, to przecież podobizna Tullia Bonati. — „Czyżby już sława jego zgasła — nie jest przecież jeszcze stary — z fotografji Harry podnosi oczy na robotnika. — Na Boga, czyżby to była halucynacja. Zimny pot występuje mu na czoło. Te rysy, ten szlachetny profil, te cudne oczy zamglone łzami, to przecież Bonati, Bonati.

Przez chwilę Harry Jones stoi nieruchomy. Potem szybko biegnie przed siebie. Musi dopędzić tego robotnika, musi się dowiedzieć. Wreszcie staje przed nim. „Pan wybaczy, — to niesłychane podobieństwo — przez chwilę wydawało mi się, że pan, to Bonati". — „I nie omylił się pan, Harry Jones'ie, to ja, tak zmieniony, że pan jeden mnie poznał. Tak, tak, to ja. Widzi pan, to już kres wędrówki. Pan stoi dumnie na pierwszym szczeblu swej karjery, a ja już nawet wspomnień nie chcę. Oby pan nigdy tego nie przeżył i nie dożył, co ja".

„Musi mi pan opowiedzieć, jak to się stało, — muszę wszystko wiedzieć. Pan był ideałem mego dzieciństwa, na panu chciałem się wzorować, jeżeli marzyłem, że będę wielki, myślałem — tak wielki, jak Bonati. — Chodźmy do tego baru, napijemy się czegoś, przy kieliszku łatwiej się gawędzi".

Oczy Bonatiego zabłysnęły nienawiścią. — „Łatwiej się gawędzi przy kieliszku, czyżby pan doprawdy nie wiedział, jaką trucizną jest alkohol, jakim śmiertelnym wrogiem człowieka i artysty, jak łatwą bronią w ręku jego nieprzyjaciół". To, co pan widzi, to właśnie skutki al-

koholu. Byłem sławny, bogaty, szczęśliwy, tak szczęśliwy, że aż lekkomyślny. Bawiłem się, hulałem, *piłem*. Piłem bez miary. Czy wie pan, jak pije się w Ameryce, gdy się jest bogatym. Zaczęło się to w okresie prohibicji. Kto więcej pił, kto miał obfitszą piwnicę, ten dawał świadectwo tego, że jest bogaty i szykowny. Zaczęła się niebezpieczna konkurencja. Prześcigaliśmy się w ilościach wypitego alkoholu i jego gatunkach. Powoli zacząłem odczuwać skutki alkoholu. Nie byłem już tak sprężysty. W scenach fechtunku, biegu, skoku z trudem udawało mi się utrzymać formę. Byłem zmęczony, apatyczny. Zacząłem spóźniać się na próby. Narazie wszystko mi uchodziło, byłem jeszcze modny. Aż wreszcie przyszła katastrofa... straciłem głos, mój głos, którym umiałem wmówić wszystko publiczności, stał się ochrypły, bezdzwięczny, brutalny. Próbowano dawać mi rolę czarnych charakterów. Nie umiałem ich grać. Za długo grałem szlachetnych amantów. Spadałem coraz niżej. Statystowałem w scenach karczemnych, w bójkach. A piłem coraz bardziej, coraz gorzej, na złość. I znów spóźniałem się na zdjęcia, chwiałem się na nogach. Ale tym razem już mi to nie uchodziło. Byłem przecież już tylko statystą, jakich wielu. Wyrzucono mnie. Próbowałem szminkować aktorów, aby zarobić parę groszy. Ale ręka niepewna płatała mi figle. Wreszcie, jak pan widzi, zostałem robotnikiem w kinie. Nikt mnie tu nie poznaje, nikt się nie domyśla, a i mnie samemu wydaje się czasem, że to wszystko był sen. Ale już nie piję. Nienawidzę alkoholu, tak jak nienawidzi się żywą istotę. Widzę go czasem w formie ludzkiej, a raczej djabelskiej. To wróg śmiertelny ludzkości. Każdy kieliszek wypity to trucizna, która wsącza się w organizm, by go zrujnować. A tak precyzyjne jest jej działanie, że biedna ofiara nawet nie przeczuwa, kiedy dawka stanie się tak silna, że aż śmiertelna. Bo czyż to nie śmierć moralna, takie istnienie, jak moje? Byłeś dzieckiem, gdy ja byłem młodym. Podziwiałeś mnie, kochałeś. Cóż mam ci powiedzieć, jak cię nauczyć, abyś walczył z tem najgorszem złem. Przyjdą inni, weselsi, młodsi, będą namawiać, śmiać się z twych obaw, *aż pewnego dnia będzie zapóźno*. Masz tu mój portret, niech ci przypomina, czem byłem i dzięki czemu portret ten nie wisi już tam, w waszym gronie, lecz stał się niepotrzebnym śmieciem.

Gdy Harry Jones po chwili ocknął się, Bonatiego już nie było, pozostał tylko portret, który wcisnął mu do ręki. Portret ten pozostał z nim na zawsze, był jego najlepszym przyjacielem. Piękne smutne oczy opowiadały okrutną bajkę o minionym szczęściu, ostrzegały, groziły, prosiły i... dopięły swego.

Harry Jones nie wypił już ani jednego kieliszka alkoholu w życiu.

Leonja Gradsteinówna.

WIDZIANE I PRZEŻYTE.

Zamknięte usta.

Nareszcie zapadła kurtyna po ostatnim akcie.

— Premjera odwalona! krzyknął komik, wbiegając do garderoby.

Potem zwykłe formalności, złączone z takim dniem. Rozgorączkowany reżyser biegał od jednego do drugiego, dziękując za trudy. Dyrektor, rozchmurzywszy czoło, czynił to samo. Przyszli i panowie z prasy, ten i ów ze świata literackiego i artystycznego — i nieodzowny bywalec teatralny, kochający nie tyle sztukę, ile zakochany w naszej koleżance.

Wychodząc z teatru, nie przypuszczałem, że tej nocy odsłoni się przede mną kurtyna nie jak przed aktorem, ale jak przed widzem.

Aktorami inni będą ludzie.

Narazie ochotnie poszedłem zaproszony na kolację przez stałego bywalca, nie dlatego, by ucztować za cudze pieniądze. Poszedłem, bo kochałem tę koleżankę i dokładałem wszelkich starań, by pozyskać jej miłość.

Już poprzedniego dnia rozważyłem wszystko.

— Co ty masz za sobą — kpie? — pytałem się go na odległość swych myśli i odpowiadałem samemu sobie na tę samą odległość.

— Jesteś bogaty, albo masz tylko opinję bogatego, którę zdobyłeś pochwałkami o apartamentach, jakie zajmujesz przy pryncypalnej ulicy i o willi w Zakopanem.

— Ja mam skromnego pokoju kawalerskiego cztery ściany, których jedyną wartościową ozdobą jest bukiet zeschłych róż i dwie szarfy z napisem: „Drogiemu Koledze w dniu Imienin serdeczna brać aktorska". — Data i nazwisko prowincjonalnego teatru.

— Masz sygnety na pulchnych palcach, twarz rumianą i zaokrąglony brzuch.

— Ja mam młode oczy zapalonego rączką sławy i usta świeże, rozognione pragnieniem jej pocałunków.

— Twoje serce w portfelu.

— Moje tętniące świętością uczucia.

— Zmierzymy się! zawołałem głośno na zakończenie swoich rozważań, wierząc w zwycięstwo.

*

* *

— Przegrałem! Opuściłem towarzystwo i poszedłem pić do lichej restauracji.

Gdy w chwilach samotności rzucę wzrok poza siebie, widzę jasno tę skuloną postać podeszłego wiekiem mężczyzny, który w owej lichej restauracji siedział samotny.

Z początku sądziłem, że czeka na kogoś. Podszedł do niego kelner

i widocznie zapytał o pozwolenie zabrania wolnych krzeseł. Skinął głową na znak zgody. Więc nie oczekiwał nikogo. I oczy jego to samo mi mówiły. Nie skierowane ku wejściu, biegły gdzieś — w jemu tylko znaną dal.

Często sięgał za karafkę z wódką, wolno nalewał kieliszek, a potem jakiś desperacki haust!

Pospolicie mówi się o takim:

— Zalewa robaka!

Ale gdy po wypiciu ręka jego sięgała nerwowo do kieszeni, a potem ściśnięta pięść kładła się na stole, zrozumiałem, że człowiek ten upewnia się, czy ma przy sobie rewolwer, a dalą, do której biegną jego myśli, jest postanowienie samobójstwa.

Zapomniałem na chwilę o swojej świeżej tragedji.

Każdemu własny ból wydaje się najtragiczniejszym. Zaszczepione w ciasnych zakamarkach duszy samolubstwo!

Filozof od swojego bólu czemprędzej przenosi myśl do bólu, jaki przeżywa świat od wypędzenia Adama z raju, aż do skonania Chrystusa na krzyżu i wtedy własny ból człowieczy rozpływa się na drogach przeznaczenia i ginie w zagadce wszechbytów, a na duszę spływa pokrzepienie, a na serce hart, a na rozum powaga cichego spokoju.

Mimo wszystko, cięcie w serce, jakie otrzymałem przed chwilą, zbliżyło mnie do nieszczęśliwych, to też, gdy zauważyłem tamtego, ogarnęła mnie chęć ulżenia jego doli. Resztę zrobiła wódka.

Ciasno było w restauracji, a gości przybywało. Kelner kilka razy zerknął na mój stolik, skinąłem.

— Mogę się przenieść do tamtego pana. Proszę się zapytać, czy można.

Wyrwany z zadumy, podniósł ciężki wzrok na kelnera, potem na mnie. Machnął ręką, odpowiedział widocznie:

— Pal go sześć!

Na mój ukłon i moje:

— Pozwoli pan? — skinął głową i bez słowa odwrócił się ode mnie o ćwierć obrotu.

Tem lepiej, mogłem patrzeć na niego z profilu, co mi ułatwiło obserwację.

Prawa poła marynarki zwisała, a fałdy rysowały najwyraźniej kształt rewolweru. Poprzez twarz przebiegała raz apatja, raz surowość.

Apatja zdawała się mówić:

— Wszystko jedno!...

Surowość wydawała wyrok:

— Tak musi być!...

W każdym razie ważyły się losy życia i śmierci człowieka. Jego samego, czy może kogoś drugiego? — trudno mi było dociec narazie. Dopiero gdy w pewnym momencie łza zaświeciła na powiece jego oka, upewniłem się, że chodzi o jego własne życie.

Za łzą zaraz jakiś wstrząs głową i ręka sięgnęła po nalany kieliszek.

Orkiestra zagrała „Ave Maria“ Gounod‘a.

Nigdy, nawet gdy dawno, bardzo dawno temu słuchałem Mszy Św., w czasie której szedłem przed ołtarz, by w anielskiej skrusze witać

się z Przenajświętszą Komunją — nawet wtedy pieśń ta nie zatargała tak mocno moją duszą.

W tym rozgwarze silnie podniecony m, wśród kłębów tytoniu, w oparach urągających darom czystej przyrody, szedłem cicho za tonami muzyki:

„Ave Maria, gratias plena, Dominus
Tecum, Benedicta inter mulieribus —
.... ora pro nobis peccatoribus"...

Uczułem ciężar grzechu nie tylko swojego.

Tu poraz pierwszy uczułem potęgę Niepokalanego Poczęcia.

Ucichły tony muzyki, a ja szepnąłem do towarzysza:

— Ave Maria..

Popatrzył na mnie nienawistnym okiem i rzucił mi przez zęby:

— Więc co z tego? Ludzie wszystko umieją połączyć.

— Nie rozumiem, dziwiłem się.

— Tu, w tej podłej knajpie „Ave Maria" — szczerze się oburzył. — Komu? Po co? na co? Co za połączenie? A w duszach tak samo. Po świństwie umywa się ręce i wzdycha się do Boga .

— Wyrządził ktoś panu wielką krzywdę, jak widzę.

— Dlaczego?

— Tchnie od pana nienawiść do ludzi.

— Sądzi pan, że można ich kochać? A to kochaj sobie pan, ile się panu żywnie podoba, a mnie daj pan święty spokój.

— Przepraszam — usprawiedliwiałem się. Nie przypuszczałem, że pan nie lubi rozmawiać.

Odpowiedział mi ruchem zniecierpliwienia. Do szklanki z kawy nalał resztę wódki, wypił, skinął na kelnera i odszedł. Przechodząc, zatrzymał się przy bufecie. Brał ze sobą butelkę.

*

*   *

Są momenty, oczywiście nie każdy je przeżywa, a może każdy je przeżywa, a tylko sobie nie uświadamia, że nagle staje tuż za człowiekiem jakaś nieoczekiwana siła i zatrzymuje człowieka, gdy ten ma już uczynić zdecydowany krok,lub każe mu iść tą drogą, której nie miał w swojej rachubie.

Czy instynkt samozachowawczy, czy Anioł Stróż, czy rozkaz Przeznaczenia? mniejsza o nazwę, ale na pewno tak jest. Kilkakrotnie przeżyłem to w różnych fazach życia.

Tego wieczoru jeszcze nie zdawałem sobie sprawy z tego, ale dziś, ilekroć robię rachunki sumienia, upewniam się w wierze, że istnieje ta nad człowiekiem Władza.

Spokojnie dzisiaj porównuje tę tam chwilę z inną, przeżytą o wiele, wiele lat później.

Stanąłem i ja raz na brzegu życia i zapragnąłem przejść na tamten.

Zimno, spokojnie przygotowywałem się do tego kroku. Nie wynikało to więc z chwilowej utraty zmysłów.

Pogodnej, księżycowej nocy, nasłuchawszy się orkiestry słowiczej w parku Paderewskiego, szedłem na ostatni kres życiowej wędrówki. Oddawna miałem wybrane miejsce na moście Poniatowskiego.

Tam zdążałem. Było mi lekko, jak choremu po operacji, jak zwycięskiej Idei po przelanej bratniej krwi.

Nawet dowcipkowałem ze siebie.

— Widzisz, durniu!... Nad Wisłą się urodziłeś, nad wąziutką, zanim ją Soła wodami zasila. Nad Wisłą, która pod Wawelem przepływa, chowałeś się i spędziłeś długie lata. A gdy tam już nie było co robić i przewędrowawszy kraju szmat, to za Wisłą zatęskniłeś i poszedłeś „sobie" siedm dni pieszo do Warszawy, by pożyć tam jeszcze jakiś czas, a potem stanąć nad Wisłą.

Nawet wtedy, kiedy już zbliżałem się do miejsca mojego grobu, śmiałem się.

— Oj, rybeńki wy — rybeńki, które będziecie się karmić moim trupem, jakież wy będziecie pijane!...

A jednak wtedy, mimo tych nastrojów, coś mnie w ostatniej chwili uchwyciło za włosy, coś nademną krzyknęło:

— Stój!

A było to tak wyraźne, że przez mózg — pamiętam — przebiegła mi myśl:

— Policja!...

Nawet odpowiedziałem:

— Idź do djabła!

Spojrzałem poza siebie i nie było nikogo...

*

* *

Nikogo nie było przy mnie, ani za mną, w tej chwili, gdy ten człowiek jakimś sztywnym, drewnianym krokiem wychodził z restauracji,

— Idź za nim!

Przed kościołem Św. Krzyża stał chwilę zapatrzony w Chrystusa, krzyż dźwigającego.

Pomyślałem:

— Nie jest tak źle, jakiś wierzący człowiek, poniesie swój krzyż...

Na ulicy Świętokrzyskiej przystanął i jakiś dreszcz przebiegł po nim.

— Wspomnienie — mruknąłem — wspomnienie, o którem wie jego historja.

Naraz oglądnął się i szybko podszedł do pierwszej bramy.

Stałem na Nowym Świecie, zasłonięty cieniem.

Wypił i wlókł się potem kilka bram dalej. Wreszcie przystanął i patrzył chwilę w czyjeś okna. Potem niemal biegiem zdążał na Nowy Świat, na Aleje Ujazdowskie, przeszedł poprzed Belwederem i zniknął mi z oczu na drodze, wiodącej do Wilanowa.

Przyśpieszyłem kroku, biegłem niemal. Przystawałem od czasu do czasu, nadsłuchując. Gdybym był znał jego imię, nazwisko, wrzeszczałbym był wtedy:

— Stój!

Wreszcie go dopędziłem. Stał pod drzewem... i pił...

Przychytrzyłem się znów w cieniu jakimś.

Był widocznie albo pijany wódką, albo pijany mocą swych myśli, bo mnie nie zauważył.

I naraz ostatnie pożegnanie, uderzenie butelką o przydrożny kamień, sięgnięcie ręką w obwisającą kieszeń marynarki.

Zanim zdążył podnieść broń do skroni, podbiegłem.

Strzał padł tuż w pośrodku pomiędzy nami.

Ani mi wyrywał ręki, ani się nie zapytał, kto jestem. Popatrzył na mnie i szepnął:

— No tak... więc dalsza męka...

Żal mi się go zrobiło.

*

* *

Wracaliśmy milczący w ulice Warszawy.

Starałem się nic nie mówić. Nauczyłem się wtenczas od niego, że można rozmawiać milczeniem. Ani imion, ani nazwisk nie znaliśmy wzajemnych, a przyjaźń jakaś serdeczna wsączała się w nasze serca. To mój świeży ból łączył się z jego.

Znów stanęliśmy na rogu ulic Świętokrzyskiej i Nowego Świata.

Przystanął i, zatrzymując mnie, spowiadał się z wielkiej tajemnicy:

— Wie pan, że ja nie mogę wracać do swego domu?

Zaprosiłem go do siebie — przyszedł.

Anim się spodziewał, jak bogatego będę miał gościa! Ile ja się to nauczę od niego!

Rozumiałem o tyle życie i o tyle znałem wpływ alkoholu na organizm, że wiedziałem:

— Bez wódki ani rusz! Trzeba go uśpić do reszty! Pocznie trochę ględzić i zaśnie. Może nad ranem zapomni...

Zdumiałem się, gdy po wypiciu pierwszej szklaneczki zerwał się z krzesła, począł chodzić po moim pokoju i wyrzucał ze siebie chaos swych myśli:

— Nie wiem, czem były wypchane moje sakwy, które mi przeznaczenie włożyło na barki, wysyłając mnie w podróż ziemską?

— Nie wiem, jakimi miody matka mnie karmiła, ale to wiem, żem we wczesnej młodości wyrył na kamieniu węgielnym duszy mojej dwa przykazania: Dla siebie — praca, a dla stworzeń bożych — dobroć.

— Ostrzegali mnie życzliwi, co mnie poznali: Cukier jesteś i ludzie cię rozliżą. Zapracujesz ręce po łokcie, a nie skosztujesz dojrzałego owocu swej pracy. Inni się nim sycić będą, a tobie zostawią co najlichsze odpadki!

— O cichym pięknie marzyłem, że się nim otoczę z zewnątrz i wewnątrz , a oto brud, błoto, kałuże, cuchnące gościńce moich kroków zeszpeciły i anim się spostrzegł, jak mi ciągła walka przepaliła energję. Straciłem cierpliwość.

— Gdy się załamałem, gdy mi wichry i burze gałęzie co najzieleńsze z drzewa mego życia odtrąciły, gdy ptaszęta śpiewające wypłoszyły,

a niebo nie chce roztrzaskać piorunem gołego pnia — postanowiłem wracać, skąd przyszedłem.

— Szukałem długo rozwiązania zagadki, czy człowiek ma prawo odejść sam. Borykałem się długo między prawami, zbudowanemi przez ludzi, a dociekałem praw Boga. Ale Bóg jest milczący w przeogromnej swojej tajemnicy!

— To też wielce się uradowałem, gdy wyczytałem w dziele Montaigne'a, co on myślał w tej sprawie: „Najbardziej własnowolna śmierć jest najpiękniejsza. Życie zależy od woli cudzej — śmierć od naszej. W żadnej rzeczy nie powinniśmy tak się stosować do naszych chęci, jak w tej. Reputacja świata nie wchodzi w grę przy takiem przedsięwzięciu; szaleństwem jest mieć wzgląd na nią. Żyć, znaczy służyć, jeśli nam chybia odwagi poniechania życia".

Nie przerywałem mu, ani negowałem, ani się starałem tłómaczyć. Czekałem, aż ta gorycz z niego wyszumi. Byłem rad, że go wyrwałem śmierci. Uważałem to za całkiem naturalne, że się przede mną tłómaczy. Słuchałem w milczeniu, jak snuł dalej swoje żale.

— „Żyć, znaczy służyć! Tak, panie — niewolnikami jesteśmy, a niewolnik ma jedyne prawo, dłoń podnieść w górę i wołać: Ave Caesar Imperator, morituri te salutant! Ot, co mi pozostało! A wie pan za co? Za to, że kochałem za bardzo. Nie wolno kochać niczego i nikogo więcej niż Boga i Ojczyznę. A ja jedno i drugie pominąłem dla żony i dla dzieci. Święcenia kapłańskie mnie czekały, a ja się uchyliłem od nich — dla kobiety. Ojczyzna wołała o należną daninę krwi. I gdy inni szli z wesołą piosenką na ustach, ja w smętku zapytywałem siebie: Co pocznie żona, co poczną dzieci bezemnie?

— A dziś ta sama żona, te same dzieci drzwi domu zamknęły przede mną.

— Więc to pana omalże nie pchnęło do samobójstwa? przerwałem wreszcie.

— Nie, to nie to! Drzwi zamknąć komuś, to jeszcze nic tragicznego. Można sobie zbudować własny dom, można stworzyć własny świat i żyć w nim. Można ukochać samotność i radować się życiem pustelnika, a nie czuć pustki. Ale gdy komuś zamkną usta, odbiorą prawo mówienia, a nawet myślenia, wtedy martwieje życie. Z człowieka robi się kupa mięsa, dla której, choć to własna, czuje się pogardę.

— I któż panu zamknął usta? wysunęło mi się pytanie.

— Ja sam! — sam! — sam! — krzyczał niemal. Człowiek, gdy wejdzie w wir walki, powinien się mieć ciągle na baczności! Człowiek, gdy go zło nachodzi, powinien wytężyć wszystkie szlachetne władze duszy, serca i rozumu. W nich szukać ostoi, a nie uciekać się do lekarstw, które chwilowo znieczulają, a potem nim zawładną.

— Źle się działo w moim domu. Żona nie była mi wierną towarzyszką. Dzieci, gdy podrosły, szły swojemi drogami. Widziałem swoją poniżoną godność męża i ojca, ale jeszcze można było ratować godność człowieka. Ja zaś tę godność począłem szargać, począłem pić i samemu sobie wytrącałem broń z ręki. Słowo moje, dawniej mimo wszystko szanowane, zaczęło być przedmiotem drwin. Cokolwiek rzekłem, cokolwiek postanowiłem, do czegokolwiek się wziąłem — zawsze i wszędzie słyszałem: Pijak!

— Cóż dziś pomoże powoływanie się na przyczyny, powody mego pijaństwa? Cóż się zyska poza odrazą jednych, litością drugich? kiedy się widzi samemu, że się ma zamknięte usta!

— Może się da jeszcze wszystko naprawić?... — powiedziałem bez przekonania.

— Nie, drogi panie. Na to potrzeba wiary w siebie, a dla mnie i to już stracone. Tylko głupiec, lub niedołęga nie widzi, że jest na dnie przepaści, skąd nie ma drogi powrotu.

Umilkł, a ja również nie znalazłem słów odpowiedzi. Bo i cóż miałem mówić? Przecież to, co powiedział, było prawdą zamkniętych ust.

— Pozwoli pan? zwrócił się po chwili do mnie, nalewając szklankę.

— Oczywiście, odpowiedziałem bezsilnie.

Przytłoczył mnie jakiś bezwład.

Wypił, uścisnął moją rękę i bez słowa wyszedł z pokoju.

Duszno mi się zrobiło. Otworzyłem okno. Słyszałem jego szybkie kroki. Byłem pewny, że korzysta jeszcze z nocy i śpieszy się, by zdążyć tam, skąd nie ma drogi powrotu...

Władysław Bienin-Bielenin.

POWRÓT DO ŻYCIA.

(z rysunkami autora)

Po wytartych, skrzypiących płaczliwie, przy każdym kroku schodach zeszedł nadół. Stąd kręty korytarzyk, między pokrytymi trądem wilgoci murami prowadził do izby Pawluków. Szczepan zatrzymał się z ręką na klamce, nasłuchując. Z wnętrza dobiegały zmieszane głosy rozmowy, bezbarwne, nie do rozróżnienia. Czekają. W głupiej, tylokrotnie zawiedzionej nadziei, że przyniesie coś z miasta po całodziennem łażeniu.

— Jakby to na ulicy skarby leżały, że tylko schylić się i podnieść— rozzłościł się nagle na nich.

Wezbrał w nim nagły gniew i pogarda dla siebie za tę nędzę, przeklętą towarzyszkę, za całe to parszywe życie. Rzucić wszystko, iść precz, gdzie oczy poniosą! Już zawrócił korytarzem ku schodom, ale struga światła, co wypłynęła przez drzwi nagle rozwarte, spętała mu nogi.

— Tato! — usłyszał radosny okrzyk za sobą.

Odwrócił się zwolna i zaraz przesłonił oczy dłonią — oślepły. Mały Witek chwycił ojca za brzeg kapoty i ciągnął do izby. A stamtąd już biegło niecierpliwe wołanie:

— A zamykajcież te drzwi, zimno mi tu puszczacie!

Szczepan uśmiechnął się krzywo. „Jakby to w izbie było cieplej niż na schodach“. Zaraz od progu napotkał wzrok Marty niespokojny, pytający. Odwrócił głowę. Zrozumiała ten gest, i nie pytając już o nic, poczęła się krzątać przy wygasłej kuchni. Ale Witek był jeszcze za ma-

ły, żeby wszystko wiedzieć, kręcił się więc koło ojca, zaglądał w kieszenie kapoty, wreszcie wyrwało mu się męczące pytanie:

— Tato, co dostanę?

Szczepan spojrzał na niego złem okiem.

— Odejdź ode mnie, szczeniaku, bo tak spiorę, że popamiętasz!

Malec przestraszony, nie rozumiejąc, za co go ojciec skrzyczał, skrył się w kącie i tam płakał cichutko, by go znowu nie rozgniewać.

Szczepan zrzucił kapotę i ciężko usiadł na kufrze pod ścianą. Cisza w izbie przerywana tylko żałosnem chlipaniem Witka, była nieznośna. Milczenie Marty wydawało się pełne zarzutów i potępień, niewypowiedzianych, odpędzanych wgłąb, najgorszych. Niechby lamentowała, klęła, niechby nawet porwała się do bicia, tylko nie to, nie ta twarz milcząca, zawzięta, obca.

— No i co, nic nie gadasz? — zaczął prowokująco.

Nie odpowiedziała nic, wzruszyła tylko ramionami, pochylona nad Andzią, która od kilku dni nie wstawała, gorączkując i co chwila zanosząc się niedobrym kaszlem. Co jej było? Alboż to kto wiedział. Ot, przyszło choróbsko, ułapiło za gardło i dusi. Mała dławi się, rzęzi, twarz jej krwią nabrzmiewa, oczy, jakby z czaszki chciały wyskoczyć. A zmora zwalnia uścisk na chwilę, daje swej ofierze schwytać łyk powietrza, by znowu zacisnąć kleszcze. Zmęczy się może wreszcie i pójdzie precz, a jeśliby nawet zadusiła małą na śmierć, to i cóż? Jedna gęba mniej. Alboż oni prosili się o to dziecko. Dość było jedno wyżywić.

Szczepan milczał chwilę, a potem zaczął znowu:

— Myślisz, że ja niedołęga, że inni by znaleźli robotę. Ty nic nie gadasz, ale nie bój się, ja wiem dobrze, co tam po twojej głowie chodzi. Mnie nie oszukasz. Nie chcę szukać roboty, słyszysz, n i e c h c ę!! A co ja najgorszy? Dlaczego ty nie pójdziesz? Przecież to przez ciebie ta nędza, przez ciebie te dzieciaki. Nie chciałaś się ich pozbyć, teraz daj im jeść!

Wstał i chodził po izbie wielkimi krokami.

— Idź na ulicę, gębę masz jeszcze gładką, możesz sporo zarobić.

— No, czego nie idziesz, do cholery, nie słyszysz co mówię?! — wrzasnął nagle tak, że Witek przerażony rozbeczał się na cały głos.

Marta spojrzała nań załzawionemi oczyma, a napotkawszy jego wzrok wściekły, nienawistny, bez słowa narzuciła chustkę i poszła posłusznie ku drzwiom.

Była już za progiem, gdy krzyknął:

— Wracaj, nie pójdziesz nigdzie!

Marta zdjęła chustkę z ramion i siadła w kącie z rękami bezwładnie zwieszonemi wzdłuż ciała. A on począł krążyć ponuro po izbie. Od pieca cztery kroki, do czarnej wnęki okienka i z powrotem — jak zły zwierz wśród prętów klatki. Raptem stanął po środku, podniósł głowę i powiódł wokół uważnem spojrzeniem, jakby po raz pierwszy był w tej izbie.

Brudne ściany krwawiące ranami cegieł w miejscach, gdzie tynk się osypał, kąty zielone od wilgoci, rury kanalizacji, jak wielkie mokre glisty pełznące po murach, okienko suteryny o szybach poklejonych papierem. Na plugawej podłodze Witek skulony z zimna, pod piecem Marta wychudzona, w podartym swetrze, a wśród brudnych szmat na

łóżku, oczy chorej Andzi roszerzone gorączką, błyszczące, z nieludzkim natężeniem wpatrzone w Szczepana.

Oto życie.

Przejął go nagle dotkliwy chłód, zarzucił więc kapotę na plecy i siadł ukrywszy głowę w dłoniach. Myślał. Zamiar, co uległ się w mózgu już dawno, teraz, jak owad wyzwolony z nieruchliwej poczwarki, tłukł się w czaszce uparcie, dokuczliwie.

„Ślepy Karol“ nie raz już namawiał Szczepana, by przystał do jego ferajny.



Ściany pokryte ranami cegieł.

— Pocóż masz zdychać z głodu — gadał — kiedy przy nas możesz żyć jak pan? „Salcesony“ cię nie znają, będziesz chodził kapować dla nas koło tych interesów, które ci pokażemy. Jeżeli robota nam się uda, dostaniesz swoją dolę.

Ale Szczepan odmawiał uparcie. Dlaczego? Alboż on sam wiedział. Nie miał przecież nic do stracenia. A jednak. Uczciwość została mu z dawnych lat. Nauki ojca, ideały młodości? Możliwe. Ale raczej przyzwyczajenie. Było to, jak cylinder, noszony przez łachmaniarza— ongiś hrabiego, któremu pozostała ta jedyna pamiątka dawnej świetności, herb utraconej klasy.

Ale dziś podeptał Szczepan ostatnią ze swych relikwji, odrzucił

precz, jak rekwizyt teatralny ze sztuki, która nigdy już nie będzie grana. Jeszcze się wahał, jeszcze wzdragał, wreszcie przeciął dyskusję z samym sobą:

— Żreć przecież trzeba! To darmo! Tu nic wymyśleć, nic wyszachrować nie można. Burczy ci w brzuchu z głodu, musisz go zapchać. Ukradnij, zamorduj, a nasyć go, ucisz.

Zerwał się z ławy, czapkę chwycił i wybiegł na ulicę.

*

* *

Kamraci „Ślepego Karola“ bardzo się cieszyli z nowego towarzysza. Żaden z nich nie miał ochoty iść „na świecę“, bo przytem najłatwiej było wpaść. Klepali więc Szczepana po ramieniu, częstowali wód-



Wychylał jedną po drugiej podsuwane szklanki.

ką. Nie w smak mu były te złodziejskie poufałości, ale machnął na to ręką. Chciał mieć pieniądze. Dziś jeszcze. Dużo pieniędzy. Chciał w jednej chwili skończyć z całem tem pieskiem życiem. Rozpocząć nanowo.

Chciwie, jedna po drugiej wychylał podsuwane szklanki, chciał zagłuszyć w sobie jakieś wątpliwości i wahania. Udało mu się to w zupełności.

Zamroczony alkoholem umysł odepchnął wszelkie refleksje —

Szczepan myślał już tylko o jednem. Dali mu jeszcze butelkę wódki na drogę, żeby się nie cofnął z obranej drogi. Miał tylko zobaczyć, czy kasjerka pewnego sklepu, na który banda miała oko, zabierze ze sobą pieniądze wieczorem, czy też zostawi w kasie. To wszystko. Oni nocą dokonają reszty.

Wąską uliczką, pośród krzywych, zapadniętych w ziemię domków poszedł ku miastu. Brudny miejski śnieg przykrył wszystko grubym kożuchem, tylko na wąskim pasku chodnika stopniał od ucisku tysięcy stóp przechodniów, zamieniając się w obrzydliwą błotnistą maź. Szczepan czuł z przykrością zimną wilgoć, przenikającą przez dziurawe buty. Idąc, spoglądał mimowoli w małe okienka rozwieszone nisko na ciemnych ścianach, jak kolorowe obrazki. Była tam pośpieszna krzątanina sobotnia, obce rozgorączkowane twarze, tam znów świerk, co został jeszcze od świąt, oparł się zielonym ramieniem o lśniące, świeżo wymyte szybki i spoglądał ciekawie na ulicę. Chwytając oczyma te strzępki cudzego życia, cudzej radości i złudnego, chwilowego szczęścia, tem dotkliwiej czuł Szczepan własną nędzę i poniżenie. Przyśpieszył kroku. I on za kilka godzin będzie mógł zaznać radości ciepłej izby, jadła dymiącego na stole, zobaczyć uśmiech na twarzy Marty... Czyż ona potrafi śmiać się jeszcze? A dzieciaki, oj, te dopiero się ucieszą, gdy im przyniesie zabawek, cukierków!

„żeby się tylko udało“ — zaniepokoił się nagle. Jeszcze kilka ulic i oto znalazł się w śródmieściu. Nie było tu już czarnych drewniaków, a śnieg chyba wcale nie padał, bo płyty chodników lśnią czystością, a asfalt jezdni jakgdyby płynął czarną połyskliwą strugą. Nad jej brzegiem, jak sznury pereł, wiszą mleczne kule latarń. Wielkie wozy tramwajów przypominające ciężkie niezgrabne krypy wiślane, napróżno usiłują dopędzić śmigłe i kształtne niby rasowe ślizgowce — auta. A na chodnikach ruchliwą niepowstrzymaną falą przelewa się tłum. Strojny, zadowolony i... obojętny. Szczepan widzi przedewszystkiem to. Doskonałą obojętność wobec wszystkiego, co ich nie dotyczy, nie wabi wzroku, nie może się przyczynić do uświetnienia dzisiejszego wieczoru. Zrozumiał, że na pomoc z ich strony nie ma co liczyć. Gdyby tak na przykład zechciał zaczepić tę piękną damę we wspaniałem futrze, która właśnie wysiada z wielkiej limuzyny, i prosić o pieniądze na lekarstwo dla chorej Andzi, napewnoby krzyknęła nań oburzona:

— Cóż to za natręctwo, robić wam się nie chce. Nie myślę dawać na wódkę próżniakom. Odejść, bo wezwę policjanta!

Uświadomiwszy to sobie, nie wahał się już Szczepan sprzymierzyć przeciw tym ludziom ze „Ślepym Karolem“. To była jedyna droga, jedyna szansa stania się znów człowiekiem.

Przyszedł wreszcie na posterunek. Sklep ogromny, pełen przeróżnych towarów wabił oczy taflami jasno oświetlonych wystaw. Widać było przez nie rzędy połyskujących butelek na półkach, piramidy puszek z konserwami, góry owoców, których nie znał nawet z nazwy. Uczuł dotkliwy głód na widok tych smakołyków, lecz zdusił go natychmiast przypomnieniem, że przecież już niedługo będą należały do niego.

Ogarnęło go nienawistne zadowolenie na myśl, że ci subjekci, zginający się w ukłonach przed klientami, wbiegający na ich życzenie na najwyższe półki, kasjerka, królująca nad całym sklepem zza swojej ga-

blotki, że wszyscy ci ludzie syci, zadowoleni, stracą nagle pracę, gdy sklep zostanie ograbiony. Może nawet będą posądzeni o współudział ze złodziejami, aresztowani... Chciał tego.

Nie wyciągnęli doń ręki, nie podźwignęli z błota, patrząc obojętnie, jak tonął, więc teraz on ich zniży, zerwie im z twarzy maskę pychy. Niech zakosztują cierpkiego smaku nędzy.

Przyszła wreszcie godzina zamknięcia. Sklep opustoszał, zgasł. Kasjerka, wyjąwszy z szuflady pliki banknotów, liczyła je szybko, wprawnymi palcami.

„Zabierze ze sobą, czy zostawi...?" — Szczepan, ukryty za ramą wystawy, uważnie śledzi każdy jej ruch. Zamknęła na klucz w szufladzie. Odetchnął z ulgą — robota się uda.

Szybkimi krokami zawrócił do domu. Nic nie mówiąc Marcie, położył się w ubraniu na łóżku. Czekał. Nie minęło pół godziny, gdy rozległo się skrzypienie schodów, potem ostrożne kroki na korytarzu, a wreszcie pukanie we drzwi.

„To od „Ślepego Karola" — domyślił się zaraz, i poszedł otwoszedł otworzyć. W progu stał policjant i jakiś drugi w czarnym palcie.

„Śledzili mnie" — zrozumiał Szczepan. Cofnął się przerażony w głąb izby.

Policjant rozłożył na stole jakieś papiery i począł Szczepanowi zadawać pytania: od kiedy bezrobotny, z czego żyje i t. d. Szczepan uspakajał się zwolna. „Więc jednak nic nie wiedzą". Odpowiadał na pytania niechętnie, a w końcu zbuntował się:

— Dajcie mi spokój z tą pisaniną. Dosyć się nałaziłem z podaniami, prośbami i djabli wiedzą czem jeszcze, a co mam z tego? Guzik! Chleba mi dajcie, nie papierów! Zresztą nie trza łaski, już ja sam sobie dam radę.

— Niech się pan uspokoi — odrzekł czarny. — My jesteśmy z komitetu pomocy zimowej. Damy panu zapomogę, ale najprzód musimy wypełnić pewne formalności.

Szczepan patrzył na niego nieufnie. Nie wierzył. Ale policjant poszedł na górę i po chwili wrócił z jakimś człowiekiem, niosącym dużą skrzynkę. Postawili ją na ziemi i wyszli.

Rzucili się Marta i Witek do skrzynki, nawet Andzia uniosła się na łóżku, patrząc błyszczącemi oczyma, jak wyciągają dziecięce ubranka, swetry, buciki... A Szczepan usiadł zdala, oparł głowę na rękach i myśli...

Coś się w nim łamie, rozpada, pojawiają się zarysy czegoś nowego, przeciw czemu buntuje się dawna natura.

Nagłym ruchem wyciągnął z kieszeni butelkę z wódką i cisnął pod kuchnię.

Zrozumiał, że ta rzekoma pocieszycielka niedźwiedzią mu oddała przysługę.

Pokumała go ze ślepym Karolem, przeciw całemu światu. A teraz bunt w nim już przygasa, blednie.

Otrzeźwiło go z omroczenia pukanie w szybę. Otworzył okienko. W ciemnościach jakiś głos zapytał niespokojnym szeptem:

— No, jak ci poszło...?

Zawahał się Szczepan przez chwilę... Potem pewnym głosem odpowiedział:

— Wszystko na nic, zabrała forsę ze sobą.

Tamten zaklął i zniknął w mroku.

Szczepan kłamał. Ale czyż mógł powiedzieć, że nie pójdzie na robotę, bo okazało się, iż ci, których chciał zniszczyć, pamiętali o nim, że zatroszczyli się, by on, człowiek nieznany nie był głodny i zziębnięty tego wieczoru, i podzielili się z nim jak bracia, posiadanemi dobrami?

Czyż mógł im to powiedzieć...? Ludzie „Ślepego Karola“ nie zrozumieliby go.

Jerzy Wiechecki.

O BEZROBOTNYCH W ZIMIE.

(Rozmyślania abstynenta).

Pięknie, biało jest na świecie,
Gdy śnieg tak cichutko leci.
Tak wabi, dodaje chęci
Spacerować bez pamięci.

Lecz, gdy zerwie się wichura,
Bije śnieg, jak bat po twarzy,
Na człowieku cierpnie skóra.
O spacerze wciąż on marzy.

Siedzi w domu, jak mysz w dziurze,
Przyglądając się wichurze,
Stęka, sarka i narzeka,
że Bóg karze tak człowieka.

Syty, w cieple, a skwaszony
Zły na dzieci, zły na żonę,
że na spacer iść nie może,
Bo zaziębi się, broń, Boże.

A ten człek, przez los sterany,
Bezrobotnym u nas zwany,
Ten, co cierpi, co przeżywa,
Gdy się zawierucha zrywa?

Straszne znosi on katusze
Wielki żal ma do nas w duszy,
że dla niego niema pracy,
Głód, chłód tylko doń kołacze.

W norze brudnej, odrapanej,
Bezrobotnych domem zwanej,
W chłodzie, głodzie, bez odzienia,
żona, dzieci, niby cienie.

I jęk dzieci: „zimno, chleba“!
Chyba więcej nie potrzeba,
By rodziców rozpacz wzięła,
Chęć do życia im odjęła.

Nie zważając na to wcale,
Przepełnione są lokale:
Restauracje, knajpy, bary
Pochłaniają swe ofiary.

Tam się wino, wódka leje,
Tam człowiek całkiem podleje,
Grosz marnuje, zdrowie traci,
Nie zna bezrobotnej braci.

Nie słucha sumienia głosu,
Nie rozwiąże swego trzosu,
By ratować brata swego:
Głodnego, bezrobotnego:

Sączy jad alkoholowy,
Do awantur już gotowy.
W końcu — szpital, czy więzienie
Dom warjatów. Co, złudzenie?

Widmo dziecka idyoty,
Lub kretyna, lub kokoty...
Wszystko to przeklęte skutki,
Zachwalanej ciągle wódki...

O! gdyby wszyscy Polacy
Hołdowali tylko pracy,
Alkoholuby nie pili,
Trzeźwi, zdrowi, zdolni byli.

Wszystkim pracyby starczyło,
Klęski nędzyby nie było,
A więzienia i szpitale
Całkiemby opustoszały.

Musi przyjść opamiętanie,
Nim katastrofa nastanie,
Otrzeźwienie całkowite,
życie, jak w słońce spowite.

Cudnie byłoby na świecie,
W zimie mroźnej, gdy śnieg leci.
Piękne życie w swoim Kraju,
W trzeźwej Polsce — tak jak w raju!

Radom, w grudniu 1938 r. *Konstanty Kryśko.*

DWIKOZY.

(Sprawozdanie delegata Zarządu Głównego Tow. „Trzeźwość“ z udziału w uroczystości poświęcenia Zakładów przetworów owocowych Związku Spółdzielni „Społem“ w Dwikozach, dn. 14.XII. 1938).

Bezpośrednio po przejechaniu stacji kolejowej Dwikozy, ostatniej przed Sandomierzem na linji Skarżysko—Rozwadów, widzimy ogromne estetyczne budowle z szyldem „Społem“, to właśnie nowo powstałe Zakłady, odbijające się jaskrawo na tle pól i przyległych wzgórz.

Właśnie na poświęcenie tych Zakładów jedziemy.

Z Sandomierza w ciągu kwadransa oczekujące samochody dostarczają nas na miejsce.

Po przyjeździe Pp. Wiceministrów: Rolnictwa Wierusz-Kowalskiego i Przemysłu i Handlu — Rozego, rozpoczyna się uroczystość poświęcenia Zakładów, w obecności miejscowych i powiatowych władz, oraz miejscowej ludności, razem około 300 osób.

Na wstępie ks. kanonik Szymański wygłosił piękne przemówienie, poczem poświęcił wszystkie działy Zakładów.

Następnie szczegółowo zwiedziliśmy budowle i urządzenia Zakładów, wyjaśnień udzielali nam Prezes Zarządu Związku Spółdzielni „Społem“ pp. Rapacki i Dyrektor Zakładów w Dwikozach p. Walczakowski, którzy demonstrowali nam przetwory z jagód i owoców.

Owoce i jagody bez dotykania rąk są bardzo dokładnie myte, gniecione lub krajane, poczem prasą wyciska się z nich sok i kieruje się specjalnymi przewodami do specjalnych tanków, znajdujących się w piwnicach, gdzie sok jest przechowywany, przy czem zahamowany jest zupełnie rozwój bakteryj w płynie, gdyż z tanków uprzednio wypompowuje się powietrze. Tanków takich jest 15 pojemności 20.000 litrów każdy.

Następnie płyn przychodzi rurociągami do góry, gdzie pasteryzuje się i mechanicznie nalewa się do butelek.

Butelki są myte, suszone i pasteryzowane za pomocą powietrza również pasteryzowanego przez przejście przez metrową warstwę kawałków porcelany i przez gorącą wódę 80°. Korki również są pasteryzowane za pomocą odwodnionego palącego się gazu świetlnego.

Tak sporządzony, rozlany do butelek i zabezpieczony płyn nie może fermentować i nie wytwarza alkoholu. Jest przeto niezmiernie zdrowy i pożyteczny.

Po pokazie Zakładów przemawiał do zebranych prezes Rapacki, podkreślając cel i zadanie Zakładów, poczem zaprosił gości do świetlicy Zakładów, gdzie gospodarze częstowali nas wyrobami „Społem“, jak to: płynnym owocem z jabłek i żórawin, cukierkami, ciastkami i t. p.

Podczas tego przyjęcia wygłosili przemówienia: p. Wiceminister Wierusz-Kowalski, podkreślając wielkie znaczenie dla rolnictwa powstanie nowych Zakładów, p. Wiceminister Roze, podkreślając znaczenie Zakładów dla przemysłu i handlu, przy czem zaznaczył, że podobne placówki zwalczają opilstwo w kraju i dobrze robią, że zwalczają.

Przemawiał jeszcze prezes Rady Spólnoty p. Dr. Całkosiński i dy-

rektor Państwowego Banku Rolnego, p. Jastrzębski, witając powstanie nowej placówki.

Poczem wygłosiłem następujące przemówienie:

Pp. Ministrowie, Panie i Panowie!

W imieniu p. redaktora Szymańskiego, który nie mógł tu przybyć, gdyż jest kierownikiem kursu alkohologji w Warszawie w Państwowej Szkole Higjeny, oraz w imieniu Zarządu Głównego Polskiego Towarzystwa „Trzeźwość", mam zaszczyt powitać powstanie niezmiernie ważnej placówki, mającej wielkie znaczenie dla społeczeństwa i Państwa naszego.

Nikt chyba nie cieszy się tak z tego faktu, jak my, abstynenci, a to z powodów następujących: używanie alkoholu, jako napoju, uznane jest przez powagi lekarskie i ekonomistów za klęskę społeczną i państwową. Polska walczy z tą klęską intensywnie, dowodem czego może służyć wszchświatowy kongres przeciwalkoholowy, odbyty w Warszawie w roku ubiegłym pod protektoratem Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, oraz odbywający się obecnie w Warszawie w Państwowej Szkole Higjeny kurs alkohologji.

Statystyka wykazuje, że w ciągu jednego roku w Polsce wydaje się na napoje alkoholowe 1.444.000.000 zł., że prawie 40% poborowych Komisje Poborowe odrzucają, jako nie nadających się do wojska, więzienia są u nas przepełnione, lecznice dla umysłowo chorych — również przepełnione, opieka społeczna nie może zaspokoić wszystkich potrzeb skutków alkoholizmu. Sąsiedzi nasi ze wschodu i zachodu propagują u siebie trzeźwość, celem podniesienia wartości fizycznej i moralnej jednostek i społeczeństwa, nie możemy przeto my być obojętni do sprawy otrzeźwienia społeczeństwa.

Ale obyczaje picia są tak w naszem społeczeństwie zakorzenione, że niepodobna obejść się bez napoju przy jakichbądź uroczystościach lub zebraniach, a z obyczajami trzeba się liczyć.

Dlatego też powstanie pierwszej na naszym terenie największej w Polsce Wytwórni Napojów Bezalkoholowych witamy z najżywszem uznaniem i radością.

Przetwory owocowe i jarzynowe i surówki owocowe, zawierające życiodajne witaminy, bez wątpienia przyczynią się do otrzeźwienia i uzdrowienia naszego społeczeństwa, a to przyczyni się do potęgi i bogactwa Państwa naszego.

Tak bardzo pożytecznej placówce życzę jaknajlepszego rozwoju. Szczęść Boże.

Huczne oklaski były odpowiedzią na to przemówienie.

Pozatem Dyrektor Juljan Bugajski przedstawił historję powstania Zakładów w Dwikozach, podkreślając, że przewodnią myślą budowy Zakładów było, jak słusznie nasz miły gość, przedstawiciel „Trzeźwości" podkreślił, chęć dania społeczeństwu zdrowego i pożytecznego napoju w zamian alkoholu.

Dowiedzieliśmy się, że koszt budowy łącznie z maszynami wynosi 850.000 zł., a całkowicie Zakłady będą kosztować około 2.000.000 zł. Maszyna do rozlewania płynu owocowego i korkowania jest najnowszej konstrukcji, piąta na świecie; produkcja roczna Zakładów wynosi 1.000.000 litrów płynnego owocu z winogron, jabłek, żórawin, porzeczek,

marchwi, pomidorów i t. d., oraz przetwory: powidła z jabłek i śliwek, marmelada, ekstrakty, dżemy i t. p. Po przemówieniu jeszcze miejscowego wójta, który zaznaczył, że dumny jest z tego, że za jego urzędowania powstały tu Zakłady, obecni udali się samochodami do Sandomierza na obiad, gdzie jeszcze parę godzin spędziliśmy na miłej pogawędce, poczem pełni wrażeń wyjechaliśmy do domów.

Oby podobnych Zakładów powstało u nas jaknajwięcej.

Radom. *Konstanty Kryśko.*

DZIAŁALNOŚĆ REHABILITACYJNA W POLSCE.

Pracą rehabilitacyjną zajmowały się do niedawna wyłącznie Zgromadzenia zakonne, dlatego też Komitet opisuje tu tylko zakłady, przez te Zgromadzenia prowadzone *).

Zakłady rehabilitacyjne istnieją w Polsce już od kilkudziesięciu lat i utrzymują się prawie wyłącznie z pracy zakonnic i wychowanek, oraz z ofiar i darowizn prywatnych.

Wiek przebywających w nich dziewcząt, a umieszczonych przymusowo przez rodziny, instytucje społeczne, lub sądy dla nieletnich, wynosi od 10 do 21 lat — wiek zaś zgłaszających się dobrowolnie bywa różny.

Zadaniem zakonnic jest urabianie ich charakterów, wpajanie zasad moralnych i etycznych, kształcenie woli, wyrabianie zamiłowania do pracy — słowem przysposabianie dziewcząt do samodzielnego, uczciwego trybu życia po opuszczeniu zakładu. Nauka podawana obejmuje: czytanie, pisanie, wiadomości z dziedziny religji, historji, rachunków i gimnastykę. Niektóre zakłady stosują t. zw. system Macierzy Szkolnej, obejmujący program szkoły powszechnej. Pozatem dziewczęta uczą się: gospodarstwa domowego, krawieczyzny, bieliźniarstwa, trykotarstwa, czapnictwa, haftów, prania, prasowania, ogrodnictwa, hodowli drobiu i trzody.

Nastrój panujący w zakładach jest naogół pogodny i wesoły, pozbawiony przypisywanej im ponurości i ducha pokutniczego. Dziewczęta w chwilach wolnych od zajęć uprawiają różne gry i zabawy na świeżem powietrzu; urządzane są dla nich przy okazji różnych świąt tradycyjne uroczystości i obchody (choinki z podarunkami, święcone, śpiewy chóralne, przedstawienia amatorskie i t. p.).

Okres ich pobytu w zakładzie trwa, zależnie od ich postępów od 6 miesięcy do 3 lat i dłużej. Dziewczęta skierowane przez sądy dla nieletnich, przebywają do czasu osiągnięcia swej pełnoletności. Te, które zgłosiły się dobrowolnie, mogą zakład w każdej chwili opuścić — pro-

---

*) Polski Komitet do walki z handlem kobietami i dziećmi, na którego czele stoi Dyrektor Państw. Szkoły Higjeny, Dr. Witold Chodźko, b. Minister Zdrowia Publicznego, nadesłał nam ten Komunikat, który podajemy w całości ze względu na ścisły związek pomiędzy alkoholizmem, a omawianemi sprawami. *(Red.)*.

ponuje się im tylko w takich razach (wszelako bez żadnego nacisku), aby spróbowały przetrwać w nim jeszcze tydzień lub 10 dni. Praktyka wskazała, że po upływie tego czasu większość dziewcząt już przywyka do miejscowego reżimu i pozostaje nadal. Zdarzają się naturalnie i takie dziewczęta, które tej propozycji nie przyjmują i tym nie robi się żadnej trudności w opuszczeniu zakładu.

Metody stosowane przez zakonnice podzielić można na ogólne i indywidualne. Wpływ swój na dziewczęta wywierają rozmową z nimi, pogadankami, przykładem, dostarczaniem dobrych książek do czytania. Praca zakonnic jest bardzo ciężka, wymagająca zupełnego bez reszty oddania się jej, bezgranicznej cierpliwości, taktu, umiaru, umiejętnego podejścia i, w dużym stopniu, intuicji. Wychowanki, szczególniej umieszczone przymusowo, są z reguły w pierwszych czasach wrogo względem nich nastawione, krnąbrne, nieufne, kierują się fantazjami, mają dużo złych nałogów, są leniwe, kłamią i buntują swe towarzyszki. Nie mogą one łatwo zapomnieć swych przeżyć z okresu, poprzedzającego wstąpienie do zakładu. U jednych wspomnienia te wywołują uczucie wstrętu i wstydu — u innych zaś żal za utraconą swobodą, zabawami, strojami, alkoholem i papierosami, od których trudno im się odzwyczaić. Stopniowo tylko, z wielkim nakładem umiejętności i cierpliwości dają się przerobić. Zdarza się, że dziewczęta, które, pozornie, już są na dobrej drodze, które, zdawałoby się, opanowały już do pewnego stopnia swój charakter, pod wpływem nowoprzybyłej dziewczyny, powracają do dawnego postępowania i pracę nad nimi trzeba zaczynać od początku. Zdarzają się także i takie, które, nieoczekiwanie dla wszystkich, dostają jakby napadów szału, demolują sprzęty, tłuką szyby, biją i szarpią swe towarzyszki i t. p. Perswazje, przemawianie do rozsądku, nie odnoszą w takich wypadkach żadnego skutku. Trzeba czekać cierpliwie, aż taki atak minie i dziewczyna, zawstydzona, przyjdzie sama przeprosić i obiecać poprawę. Większość dziewcząt tłumaczy się w takich razach tem, że same nie wiedzą, dlaczego się tak uniosły.

Trzeba mieć nadzwyczajną siłę charakteru i cierpliwość, by przez codzienne obcowanie wyłącznie tylko z tak nieobliczalnemi istotami, nie zmieniać linji swego postępowania z niemi.

Mając w pamięci, iż w zbieranych dla Ligi Narodów, życiorysach prostytutek, niektóre podawały się za wychowanki zakładów rehabilitacyjnych, inspektorka Komitetu, przy zwiedzaniu w towarzystwie policjantki zakładu w Wiktorynie pod Lublinem, prosiła o sprawdzenie, kiedy i jak długo przebywały w nim 2 takie prostytutki, zanotowane przez policjantkę. Po bardzo dokładnem sprawdzeniu, okazało się, że dziewczyn o takich nazwiskach nigdy w zakładzie nie było. Według informacyj, zbieranych w innych zakładach, dziewczęta takie istotnie w nich przebywały, ale nigdy dłużej, niż przez 2 do 3 miesięcy.

Zakłady rehabilitacyjne mają też niezwykle ciężkie zadanie do spełnienia, gdy chodzi o koszta utrzymania wychowanek. Za dziewczęta kierowane do nich przymusowo, otrzymują dziennie po 1 zł. (w ostatnich czasach Ministerjum Sprawiedliwości podwyższyło opłatę za dziewczęta, umieszczane przez Sądy dla nieletnich do 1 zł. 50 gr.). Przebywające dobrowolnie przeważnie nic nie płacą, gdyż same nic nie posiadają. A jednak trzeba dać wszystkim mieszkanie, opał, światło, poży-

wienie, ubranie, często leczenie i materjał potrzebny do nauki zawodu— a materjał ten, nieumiejętnie się jeszcze z nim obchodząc, często w dodatku niszczą. Zakonnice muszą się własnym przemysłem starać o wypełnienie tych luk w budżecie, starać się o ofiary, uczyć wyrobu i szukać odbiorców dla wykonywanych robót. Niektóre działy przemysłu, które mogłyby liczyć na powodzenie, bywają dla nich niedostępne z powodu braku funduszów na zakup odpowiednich maszyn, narzędzi lub materjału (np. dział konfekcji). Dużą trudność stanowi także znalezienie dziewczętom, które mają już zakład opuścić, odpowiedniej pracy zarobkowej, gdyż poza kryzysem, przeszkadza w tem nieufność społeczeństwa do dziewcząt, które już niegdyś uprawiały prostytucję.

Zdaniem nie tylko zakonnic, pracujących w zakładach rehabilitacyjnych, ale i osób świeckich, stykających się z tego rodzaju dziewczętami, należyte przystosowanie ich do normalnego i uczciwego trybu życia uwarunkowane jest głównie odseparowaniem ich (do czasu wyrobienia w nich innych poglądów na życie) od reszty społeczeństwa. Byłe prostytutki, nawet szczerze pragnące rehabilitacji, cechuje w pierwszych miesiącach ich pobytu w zakładzie brak wytrwałości, której dopiero z czasem, pod umiejętnym kierunkiem nabierają. Bywały wypadki, że dziewczęta, którym dozwolono wyjść na parę godzin z zakładu, dla odwiedzenia chorych rodziców, na sprawę w sądzie, lub do lekarza, albo wcale już do zakładu nie wracały, albo przychodziły spóźnione i czasem nawet pijane po jakiejś libacji w niepożądnem towarzystwie.

Wspomniane wyżej trudności powodują, że nie należy liczyć na zupełną poprawę więcej niż u 40 — 50% wychowanek zakładów rehabilitacyjnych. Podanie dokładnej liczby dziewcząt, co do których nie zachodziłaby już obawa, że zejdą na złą drogę, jest zupełnie niemożliwa, gdyż niektóre tracą kontakt z zakładem, a wśród opuszczających go bywają dziewczęta zupełnie pod tym względem pewne, a także i takie, które nie zdołały zahartować swego charakteru i pod wpływem warunków mogą się ponownie wykoleić.

Kwestja leczenia chorych wenerycznie wychowanek, bywa rozmaicie załatwiana. Na Pomorzu np SS. Pasterki posiadają w Toruniu własny szpital dla kobiet chorych wenerycznie, w którym wychowanki zakładów rehabilitacyjnych są ściśle odseperowane od pozostałych pacjentek - prostytutek. (Do ich oddziału prowadzi nawet oddzielne wejście). Dziewczęta z zakładów rehabilitacyjnych, przebywające tam na kuracji, znajdują, jeśli chcą zajęcie, pomagając w pracach gospodarskich, lub wykonywując różne roboty ręczne. Prostytutki nie dają się prawie nigdy nakłonić nawet do lekkich zajęć.

Zakłady rehabilitacyjne w innych częściach kraju radzą sobie różnie: zakłady prowadzone przez SS. Magdalenki posiadają gabinety lekarskie (z lampami kwarcowemi i przyrządami dentystycznymi). Inne zakłady, jak np. w Brzuchowicach (prowadzony przez Zarząd lwowskiej Misji Dworcowej) dowożą wychowanki na zabiegi do lekarzy w najbliższych miastach, lub utrzymują wykwalifikowane pielęgniarki - zakonnice, które wykonywują potrzebne zabiegi według wskazań lekarza.

Zakonnice, pragnące się obecnie poświęcić pracy rehabilitacyjnej muszą przejść odpowiednio długi kurs przeszkolenia praktycznego i je-

dynie te, które wykazują odpowiednie kwalifikacje, są do niej dopuszczane.

Zasadniczo nie należy narzucać personelowi wychowawczemu zakładów rehabilitacyjnych zgóry określonej metody postępowania — w niektórych bowiem wypadkach teorja, albo nie daje się zupełnie zastosować w praktyce, albo zastosowanie jej daje ujemne wyniki. Trzeba zostawić dużą swobodę inicjatywie wychowawczyń, których kwalifikacje winny oceniać osoby o szerokich poglądach, mogące się wykazać długotelnią owocną działalnością w zakładach wychowawczo-poprawczych.

Konkluzje. Istniejąca w Polsce liczba 26 zakładów rehabilitacyjnych, posiadających około 2.000 wychowanek, jest niewspółmiernie mała do dzisiejszych potrzeb i wymaga bezwzględnie zwiększenia. Wszystkie zakłady są przepełnione, wskutek czego pomieszczenia mają o wiele za ciasne.

Najtańszym sposobem zaradzenia złu, byłoby udzielenie kredytów na rozbudowę niektórych zakładów, posiadających przy swych domach obszerne place, a nie mających funduszów na przeprowadzenie budowy (np. zakład w Lackiem Małem mógłby, w razie uzyskania pieniędzy na dokończenie rozpoczętej budowy domu, powiększyć liczbę swych wychowanek do 150 i założyć tak dla nich potrzebną szkołę powszechną.

Nowe zakłady należałoby otwierać nie w miastach, lecz w miejscowościach, położonych zdala od pokus miejskich i możliwie zdrowotnych, gdyż wychowanki, rekrutujące się przeważnie ze sfer uboższych, miewają często wskutek niehigjenicznych warunków, w jakich wzrastały i nierządnego trybu życia, zdrowie nadwątlone.

Pożądane byłoby również, aby w skład personelu zakładowego wchodziła zawsze jedna wykwalifikowana pielęgniarka.

Jednym ze względów, przemawiających za rozszerzeniem sieci zakładów, prowadzonych przez kongregacje religijne jest również ten, że są one o wiele tańsze od utrzymywanych przez organizacje świeckie, których koszta administracyjne podwyższają niezmiernie wydatki personalne, nie obowiązujące zakony.

Słabe wyniki pracy rehabilitacyjnej są zależne od dużego odsetka dziewcząt psychopatycznych i upośledzonych umysłowo i dlatego, przed przyjęciem do zakładu, należałoby je poddać *badaniom psychjatrycznym* i segregować. Dla dziewcząt nienormalnych umysłowo można przeznaczyć 2 — 3 zakłady, w których opieka psychjatryczna jest konieczna. Dopiero wtedy będzie można mówić serjo o wynikach pracy rehabilitacyjnej.

ZE ŚWIATA KSIĄŻEK.

W dyskusjach, toczonych na temat walki z alkoholizmem, słyszy się często pytanie: co w zamian, czem zastąpić napoje alkoholowe?

Pytania podobne ujawniają sporą dozę nieporozumień.

Powiedzmy jasno: czy można truciznę, tak swoiście działającą na układ nerwowy, jak alkohol, zastąpić jakąś inną *nietrucizną*, która dawałaby jednak w sferze psychicznej efekty podobne do tych, jakie wy-

wołuje alkohol? — Rzecz prosta, że poza innemi substancjami *narkotycznemi,* jak np. morfina, lub kokaina, substancyj takich niema i być nie może.

Są natomiast środki — szereg środków, które, działając zespołowo na psychikę i stan fizyczny człowieka, mogą go uchronić i zabezpieczać przed używaniem narkotyków, a więc i przed wytworzeniem się nawykowego nałogu. Oczywista, mowa tu o jednostkach nieobciążonych skłonnościami zdecydowanie psychopatycznemi, których żadne środki, warunki i sposoby nie uchronią przed poszukiwaniem narkotyków.

W arsenale środków obronnych człowieka zdrowego przed alkoholizmem, wypływającym z pustki życiowej, z braku głębszych przeżyć intelektualnych i uczuciowych — jedno z naczelnych miejsc zajmuje książka.

Dlatego też w naszej działalności przeciwalkoholowej, dlatego w „Trzeźwości" prowadzimy stałą, konsekwentną propagandę książki; jesteśmy nawet zwolennikami i wyznawcami *kultu* książki, gdyż niewątpliwie w bardzo wielu wypadkach poza ogólnokulturalnem znaczeniem *czytelnictwa,* może ono mieć pierwszorzędne znaczenie w walce z oczywistą bezmyślnością marnowania czasu, sił i środków w knajpie lub w domu przy pijatyce.

Przecie nierzadko za cenę jednej zbiorowej libacji można byłoby zakupić wcale pokaźną biblioteczkę...

Po hulance w najlepszym, najszczęśliwszym razie pozostanie „kociokwik" w głowie i pustka w kieszeni — zakup zaś książek, dając wartości realne, przysparza też i wartości wyższych, nieprzemijających.

Służąc stale idei propagandy czytelnictwa i szlachetnego kultu książki — tworzymy obecnie w „Trzeźwości" nowy dział, poświęcony pełnemu czarów, zaklętemu światowi książek.

Mamy nadzieję, a nawet pewność, że inicjatywa ta spotka się z uznaniem naszych Szanownych Czytelniczek i Czytelników, których ewentualne głosy, poświęcone sprawie książek i czytelnictwa, chętnie będziemy umieszczać w „Trzeźwości".

Jan Szymański.

*

Kornel Makuszyński w „Kurjerze Warszawskim" napisał piękny artykuł o książce i czytelnictwie w Polsce. Podajemy go w całości:

O jedną książkę więcej.

Wcale skromna prośba do polskiej społeczności ukazała się na murach stolicy: na wymownym afiszu ręka wtyka „jedną książkę" do szeregu już stojących na półce. Rękę widziałem — pragnąłbym jedynie ujrzeć jeszcze człowieka, aby mu złożyć hołd i czołobitność i przycisnąć do wezbranej piersi. Afisz jest wybornie pomyślany, lecz napis: „O jedną książkę więcej!" — zdaje mi się nieścisły i mogący wprowadzić pewien zamęt w umyśle niewidocznego człowieka. Afisz powinien wołać „O jedną *polską* książkę więcej!" — gdyż może się zdarzyć, że ten i ów okupi spokój wzruszonego sumienia, nabywszy w koszyku na ulicy Koszykowej znakomite dzieło obcej produkcji p. t. „Co narzeczona w dniu ślubu wiedzieć powinna?" (Wiedeń 1936) — albo „Wenus w futrze", albo

wiekopomną powieść „Ouha — król małp“. Nie każdy wpadnie odrazu na myśl, że sprawa toczy się o najnieszczęśliwszą istotę na polskim świecie — o książkę rodzimą, książce bowiem obcej dzieje się w naszym kraju nierównie lepiej. Dla przybyszów mamy zawsze serce naoścież otwarte, tak samo, jak granice. Własna familja, własne dzieci mogą ginąć z głodu. Stało się już rzeczą zgoła niecierpliwie nudną opisywanie klęski, jaką od wielu lat ponosi książka polska. Nieco urozmaicenia w mroczną dziedzinę ducha wniosła niedawno klęska opery, gdy się jawnem stało, że wzgardziwszy czytaniem, wyrzekliśmy się z kolei i muzyki i śpiewu, że Kaliban zdławił za gardło śpiewającego Arjela. Nikczemną jednak pociechą jest wspaniałe odkrycie, że się znalazło ledwie dychającego towarzysza niedoli. Gdyby się tak pilnie rozejrzeć, możnaby zebrać dość pokaźne towarzystwo nieboszczyków na urlopie i założyć związek z największym głodomorem na czele, jako prezesem: trzebaby jedynie omdlewającym głosem zwołać braci Apellesów i Fidjaszów, połykaczów gliny. Wszystko leży pokotem, jak podczas morowego powietrza, nikt z tych duchów skrzydlatych nie może poruszyć ani ręką, ani nogą; słychać jedynie gwałtowne bicie serc, ludzie ci bowiem posiadają serca namiętne, rozpalone i niezłomne. To ich tylko trzyma przy życiu i wciąż im się majaczy promienista nadzieja. Marzenia żadna klęska nie zdławi.

Takiem pięknem marzeniem wieczystych optymistów, strzelistym wykrzyknikiem ich gorącej wiary w szlachetność ducha, jest ów afisz, na którym ręka dzierży nabytą książkę. Wiem z gorzkich doświadczeń, że nie pierwszy to raz rozlega się wielkie i rozgłośne wołanie. Wypisaliśmy wszyscy beczkę atramentu, byle poruszyć martwe morze. — „Buchnęło, zawrzało i zgasło“... — A my nic — wierzymy w dalszym ciągu, że spadną łuski z oczów ludzkich i oto z nową, zdumiewającą, szlachetną energją czynimy nową wyprawę na rzesze, co się owinęły w czarną opończę obojętności. A nuż się uda! A nuż coś drgnie, a nuż poruszy się skała! My bowiem, cośmy duszę zaprzedali literaturze, wiemy o tem doskonale, że klęska książki urodziła się z ciemnej, tragicznej pomyłki. Nieprawdą jest oczywistą, aby nie rzec: grubem łgarstwem, że w trzydziestokilkomilionowym narodzie nie może się znaleźć parę mizernych tysięcy sprawiedliwych, coby nie mogli kupić książki. Narzekanie na nędzę, już obleśne i już nierównie irytujące — jest obrzydliwą wymówką kiepskiej imitacji ludzi. Naprawdę nie może kupić książki ten, który ją kiedyś kupował łakomie i otaczał ją gorącą miłością. Ten, co nie może sobie dzisiaj kupić kawałka chleba: t. zw. „inteligent“. Nie jest to żadna pozycja, ani zawód, tylko taka nazwa — nieco ironiczna... Ten się już nie liczy. Książka polska płacze po nim, jak po najdroższym umarłym, co umarł na zgryzoty, w zapomnieniu, jako „człowiek niepotrzebny“, przyciskając książkę kurczowo do piersi — książkę po stokroć umiłowaną. Jest to nie do wiary, a jednak niezbicie prawdziwe, że i dziś jeszcze on czasem ją kupi za cenę głodu i chłodu. Lecz inni, gdzie są inni? Gdzie te liczne zastępy, co jednak dobrze żyją i zasobnie, czasem hucznie, czasem marnotrawnie, bo przecie widać to tu i ówdzie? A niech sobie za swoje pieniądze żyją, jak im się podoba, niech im się szczęści, jak najbardziej, jednakże rzeczą jest słuszną i sprawiedliwą, aby spełnili swój obowiązek wobec ducha i choćby przez chwilę pomyśleli o tem, że na tym świecie jest coś jeszcze ponad brzuch, sytość, pławiący się

sam w sobie, niezmącony spokój, marne zadowolenie i głupie rozrywki. Jakże ci dziwni ludzie nowego kroju mogą żyć bez książki, bez iluzji, bez marzenia, bez przygody urojonej i ślicznej, bez tęsknot, bez tęczy, na ponurym widnokręgu? Ślimak tak żyje i ostryga... Straszne to i koszmarne musi być takie życie, jałowe i nikczemne. Oto taki właśnie „człowiek-brzuch" mniema bezmyślnie, że skoro nabył tłómaczone romansidło, już spełnił swoje obowiązki wobec kultury. Byle sprzedawca w księgarni dostarczy nam ścisłych wiadomości, kto, ile i co kupuje! Zawyć można z wybornej uciechy...

Równocześnie po polskiej ziemi szerzy się ogromny głód książki. Łaknie jej robotnik, uczeń, rzemieślnik, łaknie jej nieprzeliczona gromada szarzyzną udręczonych ludzi, którzy przez okienko książki pragną ujrzeć skrawek błękitu, dla których ta cudowna książka stanie się zaczarowanym bagdadzkim dywanem, co ich jak wicher poniesie „w rajską dziedzinę ułudy". Ja sam, na moim małem literackiem gospodarstwie, otrzymuję gromady listów, błagających o książki, listów rozrzewniających, wzruszających i bolesnych z zapadłych stron tego radosnego świata, z przeklętych zakątków, zapomnianych przez ludzi. Piszą nauczyciele, pisze młodzież wiejska z biednych szkółek. Tam oddaliby duszę za najmizerniejszą książczynę. Jakaś szkółka prosi, by jej wysłać książkę, choćby za połowę ceny, bo chociaż biedaczyny, obłożyły się podatkiem po 9 (słowem: dziewięć) groszy na nieszczęsną głowę, nie mogły zebrać kilku złotych. Dziewięć groszy — to ogromna suma dla tych zrozpaczonych dzieci, dla których książka jest najwyższem, najbardziej upragnionem szczęściem. Doprawdy, że się serce kraje. I cóż z tego, że jeden z drugim pisarz, do głębi wzruszony, wyśle kilka egzemplarzy ze swojego autorskiego zapasu, kiedy tych książek trzebaby setek tysięcy i jeszcze byłoby za mało. Komedja i tyle. Ci, którzy mogą, nie kupują książek, ci, którzyby ją z krzykiem radości przycisnęli do serca, napełnili nią sobie duszę, ubarwili cudownie smętne, mroczne życie, posiadają — dziewięć groszy majątku. Naród nie ma książki i to jest najstraszniejsze. Naród się modli: — „Książki naszej powszedniej, daj nam dzisiaj..." — ale nikt mu jej nie daje. Więc potrzebą gwałtowną, niecierpliwą, najgorętszą jest stworzenie bibliotek, któreby nasyciły całą Polskę. Skąd wziąć pieniądze? Czy ja wiem? Na chleb i na książki muszą się znaleźć pieniądze, choćby spod ziemi. Śmiem twierdzić, że za te krocie, wydane na jałowe, a zgoła do wielkanocnego chrzanu potrzebne imprezy, które obwozimy po świecie, wcale tych imprez nie ciekawym, możnaby zakupić dziesiątki tysięcy książek. Wększa byłaby radość z jednej uczciwej książki na Polesiu, niż z tańcowania choćby w Honolulu. Dziwnem stworezniem jest pan Polak. „Czapkę sprzeda, pas zastawi", aby zadziwić świat, (który jest taki zuchwały, lub głupi, że go byle co nie zdziwi), nie chce jednak usłyszeć błagania, które się w jego własnym rozlega domu.

W tej chwili ci, których przeraża kamienna obojętność wobec książki, starają się przemówić do sumienia tych, co mogą kupić książkę, aby wreszcie ruszyć głaz z miejsca. Starają się przemówić oględnie i wytwornie. Aż zbyt oględnie i zbyt wytwornie. Ja myślę, że nie należy polecać nieszczęsnej książki pstrej łasce pańskiej, którą niech wszyscy porwą djabli, lecz rzec tym głowom kamiennym słowem twardym:

— „Coby się z tobą stało, o zimny człowieku, gdyby nie polski pisarz i jego książka? Dziczą otoczony, sam byłbyś dziki, o, Piętaszku! Gadałbyś językiem brudnym i zaśmieconym. Byłbyś ponury i straszny. A ta książka, przed którą uciekasz do teatrzyku, czy do klubu, to był twojej Ojczyzny miecz i brewjarz. Książka poiła serca uczciwe entuzjazmem, słodyczą mazała usta, świeciła, jako lampa Alladyna w nocy, a w dzień śpiewała ciężko pracującym. Ona wychowała to pokolenie bohaterów, co ci wywalczyło dach nad głową, spokój i szacunek świata. Ona była na szerokim świecie ambasadorem i posłem. Ona pracowała nadludzko, tak, że słowa w niej były czasem, jak krew czerwone. O tem wiedzą ci, co już zginęli, albo ci, których nie stać na życie. Trzeba jednak, abyś to pojął i ty, biały Kafrze!"

Tak chyba trzeba mówić. Ale niech nie mówi jeden, to trzeba mówić stu głosami, tysiącem głosów. Ludzie najczęściej nie wiedzą, co czynią. Więc ich trzeba nauczać i wykazać im, że zmarnieją bez książki, prędzej czy później, zdławieni szarzyzną, otruci szalbierstwem tandety, pogrzebani w bagnie.

Oto tu jest wdzięczna rola dla prasy polskiej, która zawsze chce najlepiej, lecz nie zawsze ma czas i miejsce. Niechże je znajdzie, teraz szczególnie, in extremis, kiedy się rozpoczęła sprawa już nie o podniesienie dobrobytu twórcy, ten bowiem nie o swoje walczy sprawy, lecz o dobro powszechne i o skarb narodowy, lecz sprawa o życie książki polskiej.

Niech wreszcie zmęczone widokiem ciągłej, ciągłej szarzyzny oczy ludzkie spojrzą z zachwytem na promienistą książkę polską, mówiąc spojrzeniem:

„...Wszystka jesteś piękna, przyjaciółko moja i niemasz w tobie zmazy!"

I nie należy być trwożliwie skromnym. Nie wołać „o jedną książkę więcej" — lecz o dziesięć i dwadzieścia, aby odrobić szpetne zaniedbanie.

(Kurj. Warsz. 28.III. 38).

Kornel Makuszyński.

*

Poruszając ten sam temat, nieodżałowany *Jan Czempiński* pisał w „Kurjerze Warszawskim" dn. 4.VI. 38 m. in. co następuje:

„Powstało wiele czynników w życiu powojennem, które odsuwają masy ludzkie od czytania. Te same czynniki są niemniej silne w innych krajach: należą tu bowiem przedewszystkiem sporty, powtóre o wiele groźniejszy brydż i inne gry w karty, alkoholizm w najszerszem znaczeniu i nocne spędzanie życia w różnych lokalach publicznych od barów do kosztownych dancingów. Publiczność nasza od tej, która pije piwo, lub czystą wódkę w barze, do tej, która spędza noce kolejno w kilku dancingach, jest wrogiem czytania i o tyle szkodliwszym, iż nie tylko sama nie odczuwa potrzeby czytania, ale odstręcza wiele osób na parkietach tanecznych oraz przy kieliszku".

ABSTYNENCKA LIGA KOLEJOWCÓW.

Rok 1938 dobiega końca. Można więc już obecnie zdać sobie sprawę, w zakresie przybliżonym, z wyników działalności w tym roku Abstynenckiej Ligi Kolejowców.

Pomimo bardzo trudnych warunków finansowych, A. L. K. dokonała szeregu wyczynów, świadczących o żywotności tej organizacji, a co więcej, o potrzebie istnienia jej w środowisku pracowników kolejowych. W roku 1938 A. L. K. pozyskała z górą 600 nowych członków, ubyło zaś z różnych przyczyn zaledwie kilkunastu; ponieważ w żadnym z poprzednich lat nie wstąpiło do A. L. K. tylu nowych członków, to rok obecny, pod tym względem, można zaliczyć do rekordowych. Następnie utworzono w roku 1938 13 nowych Kół A. L. K., które razem z poprzednio istniejącymi stanowią już 58 Kół. Koła te, poza skupieniem pewnej ilości pracowników kolejowych w zrzeszeniach osób dobrej woli, wyrzekających się używania napojów alkoholowych, albo powstrzymujących się od ich nadużywania, są poważnym ośrodkiem propagandy idei trzeźwości nie tylko pośród swoich kolegów — pracowników kolejowych i członków ich rodzin, lecz również wśród osób prywatnych z poblizkiego otoczenia, przez przykład wstrzemięźliwości, zebrania, pogadanki, wykłady, odczyty, zabawy bezalkoholowe i t. d.

Nowoobrany w roku bieżącym Zarząd Główny A. L. K. na pierwszem plenarnem posiedzeniu w dniu 20.III r. b., między innemi, uchwalił, jako jedno ze swoich głównych zadań, tworzenie nowych Kół i pozyskiwanie członków dla A. L. K. Należy zaznaczyć więc, że w tym kierunku, jak widać z powyższego, Zarząd Główny osiągnął znaczne sukcesy.

Niektóre Okręgi i Koła A. L. K. powzięły inicjatywę urządzenia Kursów Alkohologji dla słuchaczów fachowych kursów kolejowych, które są zorganizowane przy poszczególnych Dyrekcjach kolejowych dla nowowstępujących pracowników. Takich kursów alkohologji, z których każdy trwał 10—14 godzin, i na których wykłady wygłaszali wybitni prelegenci, wysłuchało w roku bieżącym około 800 osób. Biorąc pod uwagę, że słuchaczami byli przeważnie młodzi ludzie, którzy w przyszłości zajmą w służbie kolejowej kierownicze stanowiska, mające styczność z ruchem pociągów, należy podkreślić ogromną korzyść tych kursów alkohologji dla kolejnictwa, gdyż niewątpliwie przyczynią się one do zwiększenia bezpieczeństwa ruchu przez dokładne i głębokie uświadomienie słuchaczy o szkodliwości używania alkoholu wogóle, a w służbie kolejowej w szczególności. Tu znowuż wypada zaznaczyć, iż w żadnym z poprzednich lat, Kursy Alkohologji przy Dyrekcjach nie były zorganizowane w tak szerokim zakresie, jak w roku 1938, gdyż przedtem Kursy te odbywały się w bardzo ograniczonej ilości, a w ciągu szeregu lat ostatnich wcale się nie urządzały.

Oprócz powyższych kursów, grono pracowników kolejowych, w liczbie 27, wysłuchało Kursu Alkohologji, zorganizowanego, jak corocznie, w Szkole Higjeny przez Ministerjum O. S. przy udziale Tow. „Trzeźwość". Z uwagi na to, że słuchacze tych kursów tworzą kadry bojowni-

ków idei trzeźwości i kształcą się na prelegentów, doniosłe znaczenie ich dla A. L. K. zasługuje na szczególne podkreślenie.

Najpoważniejszy środek propagandy przeciwalkoholowej, wagon-wystawa A. L. K., skierowany był w m. maju r. b. zagranicę, do Bułgarji, na czas trwania Zjazdu Delegatów Międzynarodowego Związku Kolejarzy Przeciwników Alkoholu, który odbywał się w Sofji. Członkowie Zjazdu podziwiali wagon, jako jedyne tego rodzaju urządzenie ruchomej wystawy przeciwalkoholowej na kolejach w Europie, które ma możność dotrzeć do najmniejszych i nawet najgłuchszych stacyj kolejowych. Po powrocie z zagranicy, wagon-wystawa kursował po kolejach polskich, zwiedzając około 130 miejsc, w czasie od czerwca do grudnia włącznie. Wagon zwiedziło w tym okresie przeszło 140.000 osób, a przez prelegenta, znanego działacza przeciwalkoholowego, p. Mikołaja Skibę, wygłoszono około 1500 prelekcyj. Frekwencja zwiedzających wagon w roku bieżącym przekroczyła znacznie frekwencję z lat poprzednich. Świadczy to, m. in., o wzrastającem wciąż zainteresowaniu szerszego ogółu zagadnieniami walki z alkoholizmem, jak również o doniosłości pomysłu urządzenia takiego wagonu-wystawy.

Idąc za głosem potrzeby rozwoju kulturalnego, bliższego zapoznania między sobą poszczególnych ośrodków organizacyjnych A. L. K. i, wreszcie, potrzeby zbliżenia naszej organizacji z pokrewnemi stowarzyszeniami zagranicą, A. L. K. urządziła w roku bieżącym cztery wycieczki krajowe dla 160 uczestników i pięć wycieczek zagranicznych dla przeszło 200 uczestników. Pomimo korzyści duchowych, jakie czerpie z wycieczki każdy, biorący w niej udział, wycieczki te służą, w dużej mierze, do celów propagandowych, szeroko informując o istnieniu A. L. K. Dodać należy, że, zawdzięczając sprężystości i zapobiegliwości kierowników wycieczek, koszty, poniesione przez uczestników, były minimalne.

Na zakończenie tego zarysu sprawozdawczego, który, z braku niektórych danych, bynajmniej nie wyczerpuje całokształtu działalności A. L. K., należy się głęboka wdzięczność tym bojownikom idei trzeźwości, którzy swoją pracą i poświęceniem przyczynili się do tak pomyślnych wyników, o których wyżej mowa.

(29.XII. 1938 r.) *Inż. J. Szadziewicz*

Prezes Zarz. Gł. A. L. K.

*

Koło Młodzieży A. L. K. w Kielcach.

Dnia 24-go października 1938 r. zostało założone Koło Młodzieży Abstynenckiej Ligi Kolejowców z pośród młodzieży, uczęszczającej do Świetlicy Rodz. Kol. Do Koła M. A. L. K. zapisało się 80 członków ze szkół powszechnych i średnich. Prezeską Koła została wybrana Zofja Kossowska, kierowniczka Świetlicy. Zebranie organizacyjne odbyło się w Świetlicy Rodziny Kolejowej w Kielcach.

Działalność Koła M. A. L. K. polega na szerokiej, ustawicznej propagandzie idei trzeźwości, przez urządzanie zebrań dyskusyjnych, sprawozdań w prasie, odczytów, zabaw, przemówień publicznych przy wszelkich okolicznościach — przedstawień amatorskich oraz urządzanie choinki propagandowej dla członków A. L. K.

Co wtorek w Świetlicy Rodziny Kolejowej odbywają się pogadanki o zwalczaniu alkoholizmu, młodzież czyta chętnie doskonale postawiony miesięcznik „Trzeźwość", prowadzi ożywioną dyskusję na temat pijaństwa, które jest plagą w naszym kraju, zachęca swych kolegów i koleżanki, by zapisywali się do K. M. A. L. K.

Dotąd odbyło się jedno zebranie organizacyjne, kilka wtorkowych zbiórek oraz Akademja Abstynencka. Pozatem młodzież ze Świetlicy zwiedziła Wagon-Wystawę i skorzystała z odczytu, wygłoszonego przez p. Mikołaja Skibę.

(Kielce, dn. 30.XI. 38 r.). *Zofja Kossowska*
Prezeska Koła Młodzieży A. L. K.

Sprawozdanie z Akademji A. L. K. w Kielcach.

Dnia 27-go listopada 1938 r. o godz. 16-ej, w Sali Ogniska Kolejowego Przysposobienia Wojskowego, staraniem Koła Młodzieży A. L. K. przy Świetlicy Rodziny Kolejowej, oraz Oddziału Kieleckiego A. L. K., została urządzona uroczysta Akademja z obfitym programem, składającym się z wiązanki estetycznych i wzruszających wrażeń, będących prawdziwym pokarmem duchowym dla publiczności, która po brzegi



Z Akademji A. L. K. w Kielcach 27.XI. 1938.

wypełniła widownię obszernego budynku K. P. W. Jest to druga z kolei akademja, ciesząca się wprost niebywałem powodzeniem w tym roku. Po przybyciu gości z Radomia, Prezesa Okręgowego A. L. K. P., p. Konstantego Kryśki i P. Profesora D-ra Vorbrodta, punktualnie o godz. 16-ej rozpoczęto Akademję, którą zagaił sekretarz Koła A. L. K. Kowalski, witając zebranych imieniem gospodarzy i w krótkiem swem

przemówieniu podkreślił szkodliwy wpływ alkoholu na organizm ludzki, oraz nawoływał do abstynencji, do wstrzymania się od napojów alkoholowych, przytaczając m. in. słowa P. Prezydenta Rzeczypospolitej,



Z Akademji A. L. K. w Kielcach 27.XI. 1938.

Profesora Mościckiego, wpisane do księgi A. L. K., poczem młodzież ze Świetlicy zgodnym chórem, z wiarą w ideję trzeźwości, odśpiewała „Hymn abstynentów polskich", którego publiczność wysłuchała, stojąc. Na tle chóru zadeklamowano wiersz do abstynentów i odczytano „10 przykazań dla abstynentów". Następnie P. Kryśko wygłosił odczyt o szkodliwych, trujących własnościach alkoholu, o bezpieczeństwie ruchu kolejowego, komunikacji morskiej, samochodowej i w lotnictwie. Mówca podkreślił doniosłe znaczenie, jakie ma służba komunikacji u nas, w Polsce. Każdy funkcjonarjusz komunikacji musi być bezwzględnie abstynentem. Z kolei P. Profesor Dr. Vorbrodt wygłosił w bardzo przystępnej formie treściwy odczyt p. t. „Alkohol, jako pożywka szkodliwy, a ja-

ko materjał popędowy, pożyteczny". Obaj mówcy zbierali rzęsiste oklaski, co było wymownym dowodem uznania ze strony licznie zebranej publiczności. Pani Inż. Małachowska odśpiewała z uczuciem i znajomością pieśni polskiej dwie piosenki, zjednując sobie zasłuchane audytorjum. Następnie odegrano dwa skecze, jeden p. t. „Awantura małżeńska", w którym wzięli udział p. Czechowska i p. Zbigniew Gembka, którzy doskonale odtworzyli swe role. Drugi skecz z życia ślązaczek p. t. „Papućkowice", został świetnie odegrany przez ucz. gim. Marję Hoffmanównę i Zofję Stachnikównę. Pan Jagielski, zawsze dowcipny i wesoły, opowiedział kilka kawałów, zjednując widownię. Koło Młodzieży A. L.K. pod reżyserją Kierowniczki Świetlicy Zofji Kossowskiej, z dużem zrozumieniem sztuki odegrało jednoaktówkę p. t. „Precz z alkoholem" w opracowaniu Z. Kossowskiej, która ze względu na pomysłowe kostiumy, cieszyła się powodzeniem. Na zakończenie odbył się koncert orkiestry symfonicznej pod batutą niestrudzonego kapelmistrza orkiestry kolejowej p. Brzuszczyńskiego. Akademja udała się nadzwyczaj dobrze, była na wysokim poziomie artystycznym i stała się jednocześnie znakomitą propagandą idei zwalczania najgorszego wroga ludzkości, jakim jest — alkohol.

Bez trzeźwych nie masz ani dziś, ani jutra — przez wstrzemięźliwość do zupełnej abstynencji. Świat powinien należeć tylko do trzeźwych — z tem hasłem na ustach śmiało w życie idźcie i zwyciężajcie, a nastanie królestwo Boże na ziemi.

Zofja Kossowska
Prezeska Koła Młodzieży A. L. K.

Abstynencka Liga Kolejowców w Dęblinie.

W Dęblinie dnia 27 listopada 1938 roku odbyła się Abstynencka Wieczornica w salach Ogniska K. P. W., przy udziale około 250 osób, składających się z miejscowych pracowników kolejowych, ich rodzin, wojskowych, oraz społeczeństwa cywilnego — z programem następującym:

1) Zagajenie wygłosił p. Dr. Kazimierz Wyrzykowski, Prezes A. L. K., w którem przytoczył cały szereg życiowych przykładów o szkodliwości alkoholu, wzywając zebranych do jak najaktywniejszej walki z alkoholizmem.
2) Delegat Zarządu Okręgu A. L. K. z Radomia, p. Stankiewicz, w zwięzłych słowach podziękował Prezesowi Koła A. L. K., p. Dr. Wyrzykowskiemu za jego intensywną pracę dla A. L. K., jak również p. Wacławowi Liziniewiczowi za równie aktywną pracę w A. L. K., co spotkało się z hucznymi oklaskami zebranych.
3) Hymn abstynencki odśpiewał chór Ogniska K. P. W. pod dyrekcją p. Młodnickiego.
4) Deklamacje, wygłoszone przez miejscowych harcerzy.
5) Muzyka solo na wiolonczeli — 2 utwory w wykonaniu muzyka-amatora p. Pacuszki.
6) Odczyt p. Mikołaja Skiby p. t. „Alkoholizm, a zagadnienie gospodarcze w Polsce". Odczyt swój p. Skiba wygłosił z temperamentem, potwierdzając ciekawymi przykładami z różnych dzie-

dzin życia gospodarczego, jaką szkodę przynosi alkohol w gospodarstwie jednostek i Państwa.

7) Skecz p. t. „Trzeźwość w kolejnictwie“, napisany przez jednego z członków Koła, p. Wacława Liziniewicza, odegrany został przez harcerzy.

Całość Akademji wywarła wśród zebranych dodatnie wrażenie i widzowie z żalem opuszczali lokal K. P. W.

Szczupły wymiar sali nie mógł zmieścić wszystkich chętnych. Sala była wypełniona szczelnie przez słuchaczy.

W tymże dniu 27.XI. b. r. na stację osobową przybył „Wagon-Wystawa“, który zwiedziła duża ilość osób w liczbie około 600. Wśród publiczności zwiedzającej byli kolejarze, ich rodziny, szkoła powszechna, harcerze i kompanja wojska.

W dniu następnym Wagon-Wystawa odjechał na lotnisko, gdzie zwiedzali go — Szkoła Podchorążych Lotnictwa, oficerowie i urzędnicy Centr. Skł. Lotn. i ich rodziny.

Dęblin, 4.XII. 1938. *Dr. Kazimierz Wyrzykowski*
Prezes Koła A. L. K.

*

Zarządzenie Dyrekcji Okr. Kolei Państw. w Poznaniu z dn. 20.IX. 38: „Do P. P. Naczelników Służb i Biur, Oddziałów i równorzędnych jednostek służbowych. W ostatnim czasie zdarza się coraz częściej, że pracownicy kolejowi, a nawet zajmujący stanowiska kierownicze, oddają się pijaństwu. W stanie nietrzeźwym wywołują pracownicy kolejowi rozmaite zajścia, którymi poniżają ogół pracowników kolejowych w opinji publicznej. Tego rodzaju niewłaściwe i gorszące postępowanie nie licuje z godnością pracownika kolejowego i stanowi naruszenie § 19 pragmatyki służbowej. Zwracając uwagę na powyższe, polecam P. P. Naczelnikom zwalczać ten zgubny i szkodliwy nałóg wszelkimi do dyspozycji stojącymi środkami. Za Dyrektora Kolei Państwowych (—) Mgr. Kałuski, Wicedyrektor Kolei Państwowych“ („*Świt*“).

DO WSZYSTKICI PP. PRACOWNIKÓW KOLEJOWYCH P. K. P.

O D E Z W A

pod Wysokim Protektoratem Jego Eminencji

KS. KARDYNAŁA HLONDA, PRYMASA POLSKI oraz
PANA MARSZAŁKA ŚMIGŁEGO RYDZA

W DNIACH OD 1 DO 8 LUTEGO 1939 R. ODBĘDZIE SIĘ
TYDZIEŃ PROPAGANDY TRZEŹWOŚCI

pod hasłem:

„TRZEŹWOŚĆ OBYWATELI - PODSTAWĄ OBRONNOŚCI PAŃSTWA“

Istotnie, w każdej dziedzinie pracy i twórczości ludzkiej potrzebna jest trzeźwość umysłu, przydatność fizyczna i wysoka wartość mo-

ralna, bez których nie może być mowy o pokonaniu jakichkolwiek trudności tak, aby rzec było można, że powierzone zadania wykonane są dobrze i przynoszą całkowity pożytek Społeczeństwu i Państwu.

W szczególności praca w służbie kolejowej, związana z dużymi obowiązkami i dużą odpowiedzialnością za transport w czasie pokoju i wojny, za mienie i życie ludzkie, wymaga od personelu niezwykłej przytomności umysłu, silnych nerwów i znacznej odporności fizycznej.

Pracownicy kolejowi, jak wynika z warunków ich pracy i ważności ciążących na nich obowiązków względem Państwa i Społeczeństwa, powinni przedewszystkiem HOŁDOWAĆ IDEI TRZEŹWOŚCI.

Niech więc akcja podczas TYGODNIA PROPAGANDY TRZEŹWOŚCI uświadomi wszystkich pracowników kolejowych o szkodliwości używania alkoholu.

PRZETO WZYWAMY PRACOWNIKÓW KOLEJOWYCH I CZŁONKÓW ICH RODZIN DO:

WYSŁUCHANIA odczytów o WALCE z ALKOHOLIZMEM, wygłaszanych z okazji TYGODNIA PROPAGANDY TRZEŹWOŚCI,

CZYTANIA WYDAWNICTW i PISM ABSTYNENCKICH,

PRZESTRZEGANIA TRZEŹWOŚCI,

KRZEWIENIA IDEI ABSTYNENCKIEJ i ZAPISYWANIA SIĘ W SZEREGI ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW.

Zarząd Główny
ABSTYNENCKIEJ LIGI KOLEJOWCÓW

Warszawa, w lutym 1939 roku.

*

Warszawa, dn. 2 stycznia 1939 r.

MINISTERJUM KOMUNIKACJI
Biuro Personalne
P. 5-58/244/38
Na Nr. 448/38 z dnia 29.XI. 1938 r.
Określenie sprawy: wykłady alkohologji dla słuchaczy kursów kolejowych.

Do

Zarządu Głównego Abstynenckiej Ligi Kolejowców

w Warszawie
ul. Oboźna 4, m. 28.

Ministerjum Komunikacji wyraża zgodę na organizowanie przez Koła Abstynenckiej Ligi Kolejowców, w porozumieniu z Dyrekcjami Okręgowymi Kolei Państwowych, bezpłatnych wykładów z dziedziny alkohologji dla pracowników Polskich Kolei Państwowych, słuchaczy kursów kolejowych, prowadzonych przy Dyrekcjach O. K. P. Wykłady mogą być organizowane według programu, nadesłanego przy piśmie Za-

rządu Głównego z dn. 29.XI. 1938 r. Nr. 448/38 (najwyżej 13 godzin wykładów), wyłącznie w godzinach pozasłużbowych.

Włączenia wykładów alkohologji do programów kursów kolejowych Ministerjum Komunikacji nie przewiduje.

W końcu Ministerjum Komunikacji oznajmia, że jednocześnie wydaje Dyrekcjom O. K. P. stosowne zarządzenia w tej sprawie.

Dyrektor Biura
(—) *Rafał Sadowski.*

*

W związku z powyższem, Zarząd Gł. A. L. K. rozesłał następujący okólnik:

Warszawa, dn. 11.I. 1939 r.

Abstynencka Liga Kolejowców
Zarząd Główny
Warszawa, ul. Oboźna 4, m. 28.
Nr. 6/39.

Do
Zarządu Okręgu (Koła)
w . . . .

Przesyłając na odwrocie odpis pisma Ministerjum Komunikacji, Zarząd Główny A. L. K. gorąco poleca organizowanie kursów Alkohologji, dla pracowników P. K. P. słuchaczy kursów kolejowych.

Ramowy program kursów podaje się poniżej.

O przebiegu organizowania kursów uprasza się komunikować Zarządowi Głównemu.

Za Zarząd Główny:

(—) *Zygnerski Feliks* — Zast. Sekretarza Gen.

(—) *Inż. Szadziewicz Józef* — Prezes

Program wykładów alkohologji

dla słuchaczy kursów kolejowych w Dyrekcjach Okręgowych Kolei Państwowych.

L. P.	Temat wykładów	Godz.
1.	Produkcja i skład chemiczny napojów alkoholowych	1
2.	Działanie alkoholu na organizm ludzki	2
3.	Alkoholizm, a wychowanie fizyczne i sport	1
4.	Wpływ alkoholu na psychikę	1
5.	Alkoholizm a moralność	1
6.	Alkoholizm a choroby weneryczne	1
7.	Alkoholizm a przestępczość i nieszczęśliwe wypadki	1
8.	Alkoholizm, a zagadnienie komunikacji	1
9.	Wpływ alkoholu na pracę zawodową kolejarza i jego rodzinę	1
10.	Alkoholizm jako zagadnienie gospodarcze	1
11.	Walka z alkoholizmem jako złem społecznem	1
12.	Pokaz przezroczy przeciwalkoholowych	1

Koło A. L. K. w Brześciu nad Bugiem.

Koło to pod kierownictwem p. D-ra L. Zgirskiego okazuje wybitną aktywność i inicjatywę.

W marcu b. r. urządzona została przez Koło pierwsza w Brześciu Wystawa Przeciwalkoholowa. W jej organizacji czynny udział wzięli pod kierownictwem Prezesa, p. D-ra Zgirskiego, p.p. Romuald i Apolonja Szymańscy, Kazimierz Kwiatkowski i Mikołaj Paleczek, członkowie Zarządu Koła, oraz p.p. Adam Wojeński i Piotr Wasilewski. Podczas Wystawy rozdano przeszło 1000 odezw i kilkadziesiąt broszur propagandowych — rozpowszechniano też kalendarzyk abstynencki, wydany przez Koło A. L. K. we Lwowie. Niestety, w stosunku do nakładu pracy, włożonej w organizację i propagandę Wystawy — frekwencja publiczności była niedostateczna. Jednakże wyniki Wystawy są dodatnie, co się wyraziło znacznym wzrostem zainteresowania w społeczeństwie miejscowem zagadnieniem walki z alkoholizmem.

Obecnie Koło w porozumieniu z Oddziałem Poleskim Pol. Tow. Higjenicznego urządza w dniach 24—27 stycznia 1939 r. I Kurs Przeciwalkoholowy p. t. „Alkoholizm klęską społeczną".

Na Kurs ma się złożyć 11 wykładów, które wygłoszą p. p. Dr. med. L. Zgirski, Dr. med. S. Brokowski (Wilno), Dr. chemji J. Vorbrodt (Radom), Dr. med. J. Jaworski (Garbatka), Mikołaj Skiba (Lwów), Prof. Z. Hryniewicz (Wilno), red. J. Szymański (Warszawa), K. Kalinowski, Prezes Z. Gł. Tow. „Trzeźwość", K. Kryśko, Prezes Z. Okr. A. L. K. (Radom) i W.-Prokurator Eug. Goździk (Brześć). W celu organizacji i propagandy idei Kursu, powstał Komitet Organizacyjny Kursu, do którego weszli p.p.: Dr. L. Zgirski, jako przewodniczący i jako członkowie p.p.: Dr. med. K. Morawski i Dr. med. A. Niewiński, oraz p. M. Paleczek, jako sekretarz Kursu.

Z Kursem połączone będą 3 wystawy:

1) wydawnictw przeciwalkoholowych,

2) bezalkoholowych napojów - soków owocowych firm krajowych,

3) do Brześcia przybędzie w czasie Kursu wagon-wystawa do walki z alkoholizmem A .L. K.

*

Redakcja „Trzeźwości" prosi Zarządy Okręgów i Kół A. L. K., aby artykuły, sprawozdania i notatki, przeznaczone dla „Trzeźwości", pisane były wyraźnie, najlepiej na maszynie, po jednej stronie papieru. Zwłaszcza czytelnie należy podawać wszelkie: nazwiska, imiona i nazwy.

Fotografje do reprodukcji nadają się ostre, na papierze błyszczącym. Na odwrotnej stronie fotografji uprasza się podawać, co ona oznacza, przyczem chodzi o napis wyraźny, zwłaszcza nazwisk i nazw.

PRZEGLĄD PRASY.

Z Dziejów Obyczaju w Polsce. (Warszawa 1937, str. 129).

Nakładem Polskiego Towarzystwa walki z alkoholizmem „Trzeźwość“ ukazała się źródłowa praca pani Hanny Nałęcz-Ostrowskiej Szymańskiej pod powyższym tytułem. Zawiera ona dzieje alkoholizmu w Polsce i podaje wiele cennych wskazówek dla nauczycieli i wychowawców, a nieraz nawet dla fachowych historyków i socjologów, zasługuje przeto na szersze omówienie jej na łamach pisma pedagogicznego, jakim jest *Muzeum*.

„Przez pryzmat zagadnienia alkoholowego“ — pisze we wstępie p. Ostrowska-Szymańska — „życie ludzkie nabiera szczególniejszego wyglądu, uwidacznia swe kulisy, częstokroć tragiczne, a prawie zawsze oparte na pewnej niezłomnej logice faktów, którym należy umieć przyglądać się krytycznie, by należycie pojąć całe skomplikowanie sprawy“.

Założenie słuszne i głębokie, bo alkoholizm w życiu ludzkiem odgrywa dużą rolę i niejednego już człowieka, nie wykluczając nawet geniuszów, jakim był naprzykład Aleksander Wielki, król macedoński — strącił w przepaść. Nie mniejszą rolę alkoholizm odgrywa w życiu narodów, to też byłyby nader ciekawe dzieje naszego narodu badane przez pryzmat zagadnienia alkoholowego. Takiego dzieła nie posiadamy dotąd, pomimo, że alkoholizm w przeszłości naszej odegrał dużą rolę.

„Nieznajomość naszej historii w dziedzinie alkoholowej“ — pisze słusznie Autorka — „jest zjawiskiem utrudniającym należyte zrozumienie konieczności oparcia szerokich reform społecznych o podstawy abstynencji“. (Str. 9).

Aby uzupełnić tę lukę w naszej literaturze pedagogicznej, Autorka przedstawiła nam pracę, w której wykazuje, „jak alkoholizm obyczajowy był w naszych dziejach zazębiony o całokształt stosunków społeczno-ekonomicznych i jak wplątał się w życie wszystkich warstw“. (str. 11).

W tym to celu Autorka bada skrzętnie piśmiennictwo polskie na przestrzeni niemal dziesięciu stuleci w zakresie alkohologji, poczynając od kronikarzy, historyków, moralistów i mężów stanu, a kończąc na kaznodziejach, uczonych, literatach i pisarzach politycznych XVI i XVIII wieku.

Dzieło jej przedstawia istną kopalnię wiadomości pod względem wpływu alkoholizmu na nasze stosunki w przeszłości, na nasz narodowy charakter, a tym samym i na przyszły nasz rozwój narodowy i polityczny.

Szkoda tylko, że Autorka, rozporządzając tak wielkim materiałem historycznym, nie dokonała jego klasyfikacji i oceny pod względem wartości naukowej, ale przytacza wzmianki autorów dorywczo, nie trzymając się chronologji, rozpoczyna bowiem swą pracę od dzieła Al. Jelskiego: „Zarys obyczajów szlachty etc.“, które wyszło w roku 1897.

W książce niema rozdziałów, które ułatwiłyby czytelnikowi orientację, Autorka bowiem cytuje wciąż dzieła pisarzy, dodając do nich swoje uwagi i komentarze, przy czem ma wciąż na uwadze chwilę obecną i dzisiejsze potrzeby nasze — ciągnie się to zaś na przestrzeni 112 stronic dużej ósemki.

Utrudnia to czytelnikowi pracę; kto jednak zdoła szczęśliwie przedrzeć się przez ten las nagromadzonych w książce cytacji, uwag, spostrzeżeń i argumentów setek historyków, kronikarzy i pisarzy, — kto zwłaszcza przetrawi należycie ten obfity materiał naukowy, temu zrobi się jaśniej w głowie, bo wyjaśni mu się niejedna zawiła dotąd kwestja w naszej przeszłości, a przytem ukaże mu się droga do moralnego i ekonomicznego odrodzenia naszego narodu.

Przytoczone przez Autorkę dowody wykazują bowiem naocznie, jak nasz narodowy charakter paczył się stopniowo pod wpływem alkoholizmu, jak zatraciliśmy wskutek pijaństwa krytycyzm, zdolność przewidywania i miłość dobra powszechnego, co doprowadziło nas w końcu do upadku państwa i stuletniej niewoli.

Tak często mówi się dziś o ciasnocie myśli i egoizmie, o kłótliwości i niesforności szlachty, a nie widzi się przyczyny tego, choć wyjaśnia nam to znana już teraz dobrze psychika alkoholika, określona ściśle przez psychjatrów.

Podkreśla się nieraz, że światlejsze jednostki nie miały u nas wpływu na tok spraw publicznych, a nie zastanawia się nad tem, co uniemożliwiało ten wpływ mądrzejszych ludzi na szerokie masy szlachty, choć obyczaje ówczesne to nam tłumaczą.

„Alkoholizm chroniczny" — mówi Autorka — „pozbawiał nas zdolności rzeczowej oceny sytuacji politycznej, gospodarczej i społecznej; żyliśmy w atmosferze euforji, co się fatalnie, w następczym otępieniu, odbijało na układzie stosunków indywidualnych i narodowych. Nie rozumieliśmy i nie byliśmy w możności odczuć oczywistych potrzeb i nakazów chwili — niemal nigdy nie byliśmy przewidujący, nie mieliśmy trzeźwego, realnego stosunku do spraw dziejących się, a które najczęściej zastawały nas nieprzygotowanymi".

„Egoizm wybujały, przenikający we wszystkie dziedziny życia, mający swe źródło w tak nam już znanej psychice alkoholika, zamykał nas w kręgu małych, drobnych interesów, zacieśniał horyzonty myślowe, znieczulał serca na biedę i nędzę, która zawsze była u nas wielka. Jednocześnie rozwielmożniło się wszechwładnie lenistwo, nieodłączny towarzysz obyczajowego pijaństwa. Pracować nie umieliśmy i nie lubiliśmy. W nieróbstwie, w odrętwieniu schodziło nam życie... Marnotrawienie najcenniejszego skarbu narodowego, jakim jest *człowiek*, odbywało się i odbywa wytrwale, doprowadzając do bardzo niewesołego stanu rzeczy". (str. 112).

Ten surowy osąd naszej przeszłości uzasadnia Autorka licznymi dowodami. Przedewszystkiem prostuje ona panujące dotąd przekonanie, jakoby pijaństwo rozwinęło się u nas dopiero pod koniec, za panowania Sasów.

Istniało ono w zaraniu państwa naszego przedewszystkiem na dworze królewskim. „Bolesław Chrobry upijał się często, a brat jego Władybój umarł z pijaństwa, jak również i Kazimierz Sprawiedliwy zakończył życie, pijąc wino". (str. 12).

Leszek Biały był takim smakoszem piwa, że „prosząc Papieża o zwolnienie go od dopełnienia ślubu krucjaty, podał za przyczynę, że w gorących krajach braknie mu piwa". (str. 38).

Szajnocha pisze, że „karczmarstwo piwno-miodowe roiło się w Pol-

sce tak dalece, że w każdej wsi bywało do 30 szynków, więc pijaństwo kwitło, podkopując stan moralny i ekonomiczny kraju". (str. 13).

Naruszewicz tak się wyraża o ówczesnym prawodawstwie alkoholowym: „Ustawa Olbrachtowa z 1494 r. pozwala dziedzicom ciągnąć korzyści bezwzględne z propinacji, przez co pijaństwo ludu stało się jednym z ważniejszych źródeł dochodów w dominiach, a z upadającą moralnością gminu roboczego marniało gospodarstwo wiejskie, zapomagając jeno żydów, którzy już dawno rozgościli się na padole naszych smutnych stosunków krajowych. Szlachta i żydzi wcześnie się porozumieli na punkcie ciągnięcia zysku z ludu przez wódkę i w wieku XV doszło już do tego nawet, że sądy wiejskie odbywały się zwykle w karczmach, a później budowano szynki obok świątyń dla przywabienia ludu. Pijaństwo już wtedy było powszechne, to też zapytany mądry Grzegorz z Sanoka, co jest w Polsce najdroższego i najtańszego, odpowiedział: „*napoje, bo je kupują za cały majątek i piją niby wodę*". Piła szlachta, pił lud zapamiętale, dziedzice i rolnicy, musiał więc szwankować warsztat gospodarczy w ich ręku... Było w tym kolosalne marnotrawstwo sił żywotnych narodu, które się już nigdy nie wzmogły wskutek osłabienia rdzennego". (str. 14).

Prof. Bystroń w swej pracy: „Dzieje obyczajów w dawnej Polsce" mówi, że pijaństwo było (u nas) obowiązkiem towarzyskim".

„Pito dużo, za dużo... Szesnasty wiek jest jeszcze wcale wstrzemięźliwy, ale stopniowo, wraz z upadkiem wyższych aspiracyj kulturalnych, pacyfikacją kraju i wzrostem zamożności przeciętnego szlachcica, pijaństwo stało się czymś powszechnem, dobrze widzianem, prawie że towarzysko obowiązującem"...

„Rozwielmożnienie się pijaństwa i podniesienie go do zasady towarzyskiego życia nastąpiło w ciągu wieku XVII, do szczytu zaś doszło w następnym wieku... Czasy saskie były kulminacyjnym okresem rozpusty pijackiej, po czem dopiero stopniowo za Stanisława Augusta zaczynało się częściowe otrzeźwienie". (str. 81).

Najgorszym w tych zgubnych obyczajach szlachty było rozpijanie ludu. Karczmy były własnością dworu i tym więcej przynosiły dochodu, im więcej chłop pił, to też przymuszano go do picia.

„Praktykował się zwyczaj" — pisze Jelski — wyganiania na robotę poza wszelki przepis inwentarzy, niby za wynagrodzenie i zamiast pieniędzy dawały się asygnatki do żyda karczmarza, który, mając zawsze chłopów zadłużonych i rachunki z panem, likwidował owe kartki... Nieszczęsny lud, zamiast oświaty, dostawał z rąk starszych braci napój upajający, a ohyda tak zamroczyła sumienie obywatelskie, że wcale się nie wstydzono łudzić prostaka grzeszną przynętą, to też w powszechnym użyciu były t. zw. *tłoki mokre* na rzecz dziedziców w czasie zbiorobrania, zasadzając się jedynie na pojeniu wódką robotników". (str. 17).

Rak pijaństwa toczył również i niszczył u nas mieszczaństwo, a przywilej propinacyjny najbardziej powszechnym był w miastach. Nadanie bowiem miastu wolności i handlu mieściło w sobie przyznanie każdemu mieszczaninowi wolności sporządzania i sprzedawania trunków, wskutek czego „browary i gorzałczarnie wszędy nabudowane, już nie

tylko zboża, ale i same wioski i miasteczka wywarzyły", pisze Ks. Hieronim Powodowski w r. 1595. (str. 17).

Ta wolność przetrwała aż do r. 1767, t. j. do chwili, gdy ustawa wolność tę ograniczyła z powodu, że w wielu miastach „dla wolności każdemu mieszczaninowi robienia i szynkowania trunków, handle i rzemiosła upadły, gdyż ledwie nie wszyscy bawią się samą tylko propinacją". (str. 37).

Cóż dziwnego, że przyszło w końcu do upadku mieszczaństwa i zażydzenia miast i miasteczek naszych? że mężna dawniej i patrjotyczna szlachta polska doszła do takiego zaniku poczucia godności, iż pierwszy rozbiór odbył się bez walki, a nawet bez wystrzału?...

Alkoholizm, jak słusznie pisze p. Ostrowska-Szymańska, jest ściśle związany z całym zespołem czynników natury ustrojowo-społecznej i hoduje pewne wady charakteru, które bez niego nie przybrałyby takiego natężenia.

„Prywata i egoizm szlachecki" — mówi Autorka — dużą rolę odegrały w dramacie naszym. Szczególnie podkreślam *egoizm i ciasnotę myślową*, bo te cechy obecnie w psychologji alkoholizmu są uznane jako dominujące w psychice przeciętnej zalkoholizowanej jednostki... Te same spostrzeżenia zaczynają występować również w psychice zbiorowej. Zestawiwszy cechy przeciętnego pijaka... zauważymy analogiczne rysy szarego tłumu szlacheckiego; a więc znajdziemy ten sam egoizm, jaskrawo się uwydatniający w stosunku do innych stanów — brutalność i swarliwość, wyżywającą się w niezliczonych procesach, napadach, zajazdach — tę samą ciasnotę horyzontów". (str. 70).

Taką to dziedzicznością obciążone są umysły nasze, a obyczaj picia został głęboko wrośnięty w strukturę naszej umysłowości.

Ruch przeciwalkoholowy jest dążeniem do uwolnienia nas z tej smutnej spuścizny po przodkach — zmierza on do wyzwolenia w człowieku wszystkich sił twórczych, jest apoteozą życia, jego pełni i jego radości. Aby ten ruch był skuteczny, musi on oprzeć się na znajomości przeszłości naszej.

„Uświadomienie młodego pokolenia o grozie alkoholizmu — pisze słusznie Autorka — „winno się opierać właśnie na zapoznawaniu się z przeszłością, tak fatalnie upośledzoną i hańbioną przez obyczaje pijackie". (str. 63). Do tego celu służy znakomicie jej książka, trzeba tylko, aby Autorka w drugiem wydaniu rozsegregowała ten olbrzymi materiał i wprowadziła w książce swej rozdziały, których brak obecnie daje się odczuć przy czytaniu. Wtedy dzieło to odda wielkie usługi wychowawcom i nauczycielom polskim.

„Muzeum" — Lwów.

Ks. Dr. Jan Ciemniewski.

*

Hanna Nałęcz-Ostrowska Szymańska: „Z dziejów obyczaju w Polsce". Z przedmową prof. Michała Orzęckiego — Warszawa 1937, Polskie Towarzystwo Walki z Alkoholizmem „Trzeźwość" (Oboźna 4, m. 28). W 8-ce większej, str. 120.

Smutna, upokarzająca i zawstydzająca książka. Zawiera przegląd dziejów obyczaju picia alkoholu w Polsce przedrozbiorowej. Pokazuje

bez obsłonek, bez niedomówień i „pedagogicznych" zniekształceń, lub zatajeń prawdy, jak ojczyzną opojów jest kraj, gdzie uważa się od dzieciństwa i wpaja na prawo i lewo, że pijaństwo, to grzech główny. Analizując (w oparciu o bogatą literaturę) historję obyczaju pijackiego, autorka uwydatnia całe jego barbarzyństwo i destrukcyjność, dowodzi, że alkoholizm i pańszczyzna upadlały zarówno górę, jak dół społeczny, deprawowały i gnębiły tych, którzy mieli władzę i tych, którzy ich jarzmu podlegali (str. 111). Cytując całe ustępy, dotyczące pijaństwa, z prac najlepszych, autorka stwierdza, że alkoholizm jest zjawiskiem nie oderwanym od innych dziedzin życia, lecz ściśle spojonym z całym zespołem czynników natury ustrojowo-społecznej z jednej strony, a z drugiej — podtrzymującym, hodującym pewne wady charakteru, które, być może, bez niego nie przybrałyby tak wielkiego natężenia (str. 63). Dopiero gdy się zaczyna poznawać obyczaje pijackie, wszechwładnie panujące u nas i gdy się je porówna z całokształtem cech wyhodowanych wiekami, w obrębie owego uświęconego tradycją towarzyskiego przymusu, to się spostrzega, że te same spustoszenia, które czyni alkoholizm w psychice jednostki, zaczynają występować również w psychice zbiorowej (str. 70). Na opis tych strasznych obyczajów pijackich u szlachty staropolskiej z jej dewizą saską: „Jedz, pij i popuszczaj pasa!" moglibyśmy patrzeć daleko spokojniej i pobłażliwiej, gdybyśmy wiedzieli, że to tylko przeszłość, od której teraźniejszość odbiegła. Tymczasem, chociaż zanikły dziś drastyczne formy przymusu pijackiego, oraz wszystkie akcesorja towarzyszące piciu, wraz z zupełną przemianą warunków życia społecznego, to jednak obyczaj picia pozostał niesłychanie głęboko wrośnięty w strukturę umysłowości naszej, co nie pozwala nam zająć objektywnego stanowiska względem samego zagadnienia alkoholizmu (str. 88).

Oby bogata i pracowita książka p. Szymańskiej przyczyniła się do uświadomienia konieczności szerzenia abstynencji.

(„Przegląd Ewangelicki", Nr 25, r. 1938).

C. L.

*

„Zielony Sztandar" Naczelny Organ Stronnictwa Ludowego w N-rze 33 zamieścił następujący artykulik:

Dochody z wódki.

„Pijaństwo rośnie! Wr. 1936 przypadło w Polsce 1,02 litra czystego spirytusu „na głowę"; w r. 1937 zaś, spożycie spirytusu wyniosło już 1,13 litra „na głowę". Monopol spirytusowy przewiduje, że w tym roku spożycie spirytusu jeszcze bardziej się podniesie i że skarb państwa otrzyma z tego źródła na czysto *250 miljonów zł. za jeden rok.*

Polska w porównaniu z Anglją, Francją, Ameryką, i t. p., jest *krajem nędzy*. Jeżeli u nas chłop czy robotnik kupuje wódkę, to nie z tego, co mu pozostaje po opatrzeniu potrzeb, lecz kosztem tego, iż odmawia sobie cukru, tłuszczu, gazety, a nieraz i chleba. Polska jest krajem, w którym się *ludność nie dożywia*. Zaciska pasa, albo wypełnia żołądek mało pożywnymi ziemniakami, często bez soli. Główny Urząd Statystyczny obliczył, że spożycie kartofli wynosi w Polsce prawie 77 kilogramów „na

głowę“ rocznie. *Przy takiem odżywianiu — kieliszek, dwa, powoduje zatrucie i zamroczenie, które tak często jest powodem awantur, bójek, nieraz zbrodni.*

Nie można więc spożycia alkoholu w Polsce, porównywać z tem, co jest w innych, zamożniejszych krajach.

Suma 250 miljonów zł., którą skarb państwa ma uzyskać w ciągu roku ze spożycia spirytusu, jest czemś nad wyraz smutnem. A rozpowszechnianie pijaństwa i ułatwianie go przez tworzenie coraz to nowych miejsc sprzedaży alkoholu na wsi, przez dostarczanie alkoholu w małych buteleczkach i t. p., jest czemś, co przyczynia się do obniżenia zdrowia fizycznego i moralnego w społeczeństwie“.

*

Wychowywać rodziców!

W obszernej i zajmującej dyskusji sejmowej na temat wychowania młodzieży nie poruszono wcale sprawy bodaj najważniejszej — wychowania rodziców.

Jasne jest, że rodzina, jej atmosfera duchowa i moralna, stosunek rodziców do dzieci — wszystko to posiada decydujące bodaj znaczenie dla wychowania młodzieży.

Tymczasem, powierzchowne nawet rozejrzenie się w stosunkach istniejących wysuwa na czoło zagadnień wychowawczych — konieczność należytego „wychowania“ czy też „przeszkolenia“ rodziców.

Badania lekarskie i obserwacje nauczycieli w szkołach powszechnych stwierdzają alarmujące szerzenie się wśród dziatwy alkoholizmu, a w niektórych okolicach kraju (Śląsk, Suwalszczyzna) — eteromanji. Całkowitą winę szerzenia się tej fatalnej plagi, niszczącej w zarodku zdrowie, siły moralne i fizyczne młodzieży, ponoszą rodzice, a raczej — ich ciemnota i nieuświadomienie. Dziecko nie kupi sobie wódki ani eteru, bo nie ma za co. Ale „dobra“ matka lub rozczulony tatuś nie odsunie przecież malca od uczestnictwa w libacji rodzinnej i poczęstuje go wódką lub eterem. „Dobroć serca“, miłość dla dziecka wyrażają się tu w czynach, które prowadzą wprost do jego fizycznej i moralnej zguby.

Ale ta sama matka lub ojciec z pewnością powstrzymaliby się od okazywania tego rodzaju objawów „dobroci“, gdyby byli należycie uświadomieni co do skutków alkoholizmu, lub eteromanji dla młodego zwłaszcza organizmu.

Inteligencja w zakresie wychowania popełnia inne błędy.

Wobec rozpowszechnionego wśród inteligencji systemu „jednego tylko dziecka“, rodzice skłonni są do nadmiernego rozpieszczania swych jedynaków i jedynaczek. Wyrastają z nich samolubni egocentrycy, równie zarozumiali, jak nieprzystosowani do współżycia społecznego, jak i do walki życiowej. Szkoła i wojsko wygładza te kanty zarozumiałego samolubstwa rozpieszczonych jedynaków, ale wad nabytych w domowym wychowaniu żadne późniejsze wpływy wytępić doszczętnie nie są w stanie. Dlatego należyte uświadomienie rodziców w zasadniczych sprawach wychowania jest zagadnieniem równie ważnem, jak sprawa należytego i jednolitego wychowania młodzieży.

(Express z 20.II. 38 r.).

ZMARLI.

Ś.p. Marja Czesława Przewóska (Helja).

Znana i zasłużona literatka, publicystka i działaczka społeczna, ś. p. M. Cz. Przewóska, na wszystkich polach swej płodnej i ożywionej działalności wykazywała wielką ruchliwość. Jej słowo żywe, czy pisane, każde Jej wystąpienie na zewnątrz przesiąknięte było troską szlachetną o dobro powszechne, o tryumf pierwiastka duchowego w stosunkach ludzkich.

Była też ś. p. Zmarła przekonaną zwolenniczką sprawy walki z alkoholizmem, jako z czynnikiem niszczącym sferę psychicznego i moralnego życia człowieka. To też popierała i propagowała ideały Tow. „Trzeźwość", brała żywy udział w naszych pracach, zebraniach, Akademjach. Gdzie mogła, walczyła o realizację zasad całkowitej trzeźwości.

Cześć i hołd Jej świetlanej pamięci!

ś. p. Redaktor Jan Czempiński.

Ś. p. Jan Czempiński — rasowy, w najlepszem tego słowa znaczeniu, dziennikarz i publicysta, znał do gruntu zagadnienie wielkich chorób społecznych. Na Uniwersytecie Warszawskim studjował medycynę i prawo, przez czas dłuższy pracował w Ministerjum Zdrowia Publ. To też w swej niezmiernie cennej i czujnej pracy zawodowej, stojąc na wysoce odpowiedzialnej placówce publicystycznej — zwracał szczególną uwagę na sprawy zdrowia publicznego, a wśród nich — usilnie zaznaczał doniosłość sprawy alkoholizmu i konieczność istotnej walki z tą wielką klęską społeczną. I trzeba dodać: z biegiem lat czynił to z coraz większem przekonaniem i naciskiem.

Towarzystwa naszego i pisma był prawdziwym, przekonanym zwolennikiem i przyjacielem; niejednokrotnie też oddał sprawie naszej duże usługi, rzetelną pomoc.

Śmierć ś. p. Jana Czempińskiego, będąc bolesną stratą dla publicystyki polskiej, okrywa nas żałobą, gdyż straciliśmy w Nim człowieka mądrego, jasno zdającego sprawę z ogromu społecznego znaczenia akcji przeciwalkoholowej.

ś. p. Senator Dr. Emil Bobrowski.

Wybitny, w swoim czasie, działacz P. P. S., ś. p. Emil Bobrowski — był przez szereg lat gorącym zwolennikiem energicznej walki z alkoholizmem, jako z jednym z największych wrogów klasy pracującej. W Krakowie, przed wielką wojną, brał czynny udział w akcji przeciwalkoholowej, specjalnie zaś popierał sprawę zamykania szynków w niedziele i święta. Dzięki wysokim zaletom charakteru, dzięki przepięknej wymowie, wywierał On wielki wpływ na szerokie sfery robotnicze.

Po wojnie, w Sejmie, a następnie w Senacie, stale popierał akcję przeciwalkoholową — zwłaszcza, gdy chodziło o przeprowadzenie w Sejmie ustawy przeciwalkoholowej, a następnie o jej obronę.

Cześć Jego pamięci!

Jan Szymański.

SPRAWA ŚRODKÓW ODURZAJĄCYCH W MIĘDZYNARODOWYM URZĘDZIE HIGJENY PUBLICZNEJ.

We wrześniu 1938 r. w Bernie szwajcarskim odbył się Zjazd Ekspertów Międzynarodowego Urzędu Higjeny Publicznej.

Przewodniczył dr. H. Carrière, uczestniczyli: dr. R. Pierret, dyrektor generalny Międzynarodowego Urzędu Higjeny Publicznej, prof. dr. Tieffenau z Paryża, prof. dr. Gunn z Oxfordu, prof. dr. Straub z Monachjum, prof. dr. Knauff-Lenz z Wiednia, prof. dr. Jerzy Modrakowski z Warszawy.

Na porządku obrad znajdowały się dwie sprawy: konopi indyjskich i desomorfiny.

W sprawie konopi indyjskich utrzymana została w mocy uchwała, powzięta na poprzednim Zjeździe w lutym 1935 r. Zgodnie z postanowieniami wszystkie przetwory, zawierające nalewkę lub wyciąg konopi indyjskich, obowiązkowo podlegają kontroli, stosowanej do wszystkich innych środków odurzających.

Druga sprawa, pochodnej morfiny — dwuhydrodesoxymorfiny D.(desomorfina), wywołała dłuższą dyskusję. Wyrób tego środka jest zabroniony w Stanach Zjednoczonych Ameryki (p. „Trzeźwość" nr. 6 z czerwca 1937 r. „Z frontu walki z narkotykami", wzmianka p. t. „Nowy środek odurzający").

Obecnie eksperci uznali ten zakaz za niezupełnie usprawiedliwiony. Własności desomorfiny są pięć do dziesięciu razy silniejsze od morfiny, posiada więc ona wartości lecznicze, które jedynie badania kliniczne będą mogły w przyszłości ustalić. Liczyć się trzeba z tem, że podobnie, jak morfina, wywołuje ona nałóg. W Europie jest ona w chwili obecnej wyrabiana przez dwie fabryki, jedną szwajcarską, drugą niemiecką. Czy działanie obu związków jest identyczne, nie jest dotychczas ustalone i dokładne badania będą musiały być przeprowadzone celem stwierdzenia istotnych wartości każdego z nich.

M. S.

ROZMAITOŚCI.

Wiara w człowieka.

Z Anglji przyszła dziwna wieść. Oto przeszedł w Izbie Gmin wniosek, wzywający rząd do zniesienia stosowania kary śmierci tymczasem na 5 lat.

Powtarzam, jest to wieść dziwna. Przyzwyczailiśmy się bowiem w dzisiejszych czasach, że w większości państw jednostka schodzi coraz bardziej do roli kółka od maszyny, kręcącego się gdzieś bezdusznie w takt automatu. I gdy koło jest złe, — to wrzuca się je do śmieci. I dlatego cóż kogo może obchodzić kwestja kary śmierci, stosowanej do jednostek wyobcowanych ze społeczeństwa. Prawda, walka między zwolennikami kary śmierci, a jej przeciwnikami nie jest nowa. Całe stulecia były jej świadkami. I nie można powiedzieć, aby argumenty zwolenników tej kary nie miały pozorów słuszności. Nie o to jednak cho-

dzi. Ostatnio walka między tymi prądami omal ustała całkowicie. Przeciwnicy kary śmierci zamilkli, jakby onieśmieleni tym nawrotem barbarzyństwa, którego pierwszym sygnałem była Rosja bolszewicka.

Zdeptano godność ludzką, zbrukano poczucie własnego *ja*. Najdobitniej się to zaznacza w systemach karnych. Już nic nikogo nie dziwi. Wysuwane wszak są nawet teorje, że karze się człowieka nie tylko za czyny, ale za przekonania. Wprowadza się pojęcia odpowiedzialności zbiorowej. Człowieka prześladuje się za jego pochodzenie, za wiarę, przy której trwa.

Nic więc dziwnego, że w tych warunkach, ludzkość powoli oswoiła się z bezwzględnością ludzi wobec ludzi. Zapomniano o szczytnych, pięknych hasłach litości i wiary w człowieka. Bo wszak ci wszyscy, którzy kiedykolwiek z karą śmierci walczyli, to robili to nie z uwagi na tolerancję przestępstwa. Kierowała nimi piękna, acz niekiedy zawodna może, zasada „wiary w człowieka".

I dlatego z takiem wzruszeniem słuchamy wieści z Anglji. Może to naiwne, może ów eksperyment, uchwalony przez parlament, nie wyda właściwych owoców. Zanotujmy jednak ten fakt, jako rzadko dzisiaj spotykany objaw wiary w człowieka.

Kurjer Warszawski, 23. XI. 1938 r.

*

Palić nie wolno!

To, co piszemy niżej, nie jest krucjatą przeciwko paleniu, ani nawoływaniem palaczy do zaniechania nałogu. Rozumiemy dobrze, że byłby to głos wołającego na puszczy.

Chodzi nam o co innego. Narkoman rujnuje sobie zdrowie, ale też tylko on sam na tem cierpi. Tymczasem palacz zmusza do wchłaniania dymu wszystkich, którzy razem z nim w danem miejscu się znajdują. Czy chcą, czy nie chcą, muszą się „wędzić" i dusić, muszą jeść przydymione potrawy, pić pachnące nikotyną napoje... Terror...

Znamy wypadek, gdzie lekarz, wezwany do chorego kilkumiesięcznego dziecka, stwierdził... zatrucie nikotyną... Dziecko oczywiście nie paliło, ale palili w mieszkaniu oboje rodzice (po 50 papierosów na głowę), — palili też i goście.

Nałóg palenia — sam przez się nie byłby dla innych tak dokuczliwy, gdyby palacze nie byli nastrojeni nietolerancyjnie do swych niepalących bliźnich. I co więcej: gdyby zechcieli stosować dawne normy dobrego wychowania, dziś zanikające z przeraźliwą szybkością. Tabliczki „palić nie wolno", albo „uprasza się o niepalenie" stały się martwą literą...

Gdzie się podział zwyczaj, że po obiedzie przechodzono na papierosa lub cygaro do sąsiedniego pokoju... Istnieje on po dziś dzień... w Anglji i niektórych krajach zachodnio-europejskich, gdzie palenie przy stole uważa się za nietakt.

Ba, ale gdyby tylko o palenie przy czarnej kawie lub po deserze chodziło! Ale dziś pali się przy przekąskach, do zupy, między zupą

a mięsem, przy mięsie, po mięsie, przy deserze... Obrus po takim posiłku wygląda nieraz, jakby nim wygarniano popiół z pieca, a puszczanie dymu w talerz sąsiadowi uważane jest za miłe zaproszenie do rozmowy.

Pali się poza tem wszędzie, gdzie przepisy policyjne tego nie wzbraniają, a tam gdzie wzbraniają, pali się również — tylko ukradkiem. Pali się w przedziałach kolejowych dla niepalących, gdzie pokutuje legenda, że skoro wszyscy się zgodzą, to palić można... Zazwyczaj zgoda następuje przez uprzejmość (zresztą niezrozumiałą), albo przez... milczenie. Rzadziej wynikają konflitky, gdy podróżny niepalący broni swych praw. To, że przedział nasiąka dymem i dla następnych podróżnych, jest już „palący", to drobiazg.

W schroniskach turystycznych, gdzie wspólne sale noclegowe gromadzą nieraz po kilkadziesiąt osób, palenie stało się okropnością. Jeśli dodać, że są ludzie, którzy palą w nocy — nie będzie przesadą twierdzić, że higjena nie idzie tu w parze ze sportem.

Od plagi palenia nie są wolne nawet oficjalne uroczystości, gdzie wszak poczucie taktu i szacunku winno grać rolę hamulca. Nikt jeszcze nie umarł od tego, że przez godzinę lub dwie ulubionego papierosa nie zapali. A jednak — podczas jednej z ostatnich oficjalnych akademji — miało się wrażenie, że jest się w wędzarni...

O kawiarniach i lokalach rozrywkowych nie mówimy. Te z nich, które wprowadziły pokoje dla niepalących, muszą stale borykać się z bezwzględnością palaczów, którym snać za mało przeznaczonych dla nich pomieszczeń.

Jak zaznaczyliśmy, nie chodzi nam o odzwyczajanie palaczów od nałogu. Ale o to, aby nie zatruwali nim życia bliźnim. A oto fakt charakterystyczny:

Kilku podróżnych pali w przedziale polskiego wagonu restauracyjnego, przeznaczonego dla niepalących. Jeden z gości skarży się na dym. Steward w sposób uprzejmy zwraca uwagę palaczom. Otrzymuje w odpowiedzi urągliwych słów kilka, poczem panowie i panie palą dalej.

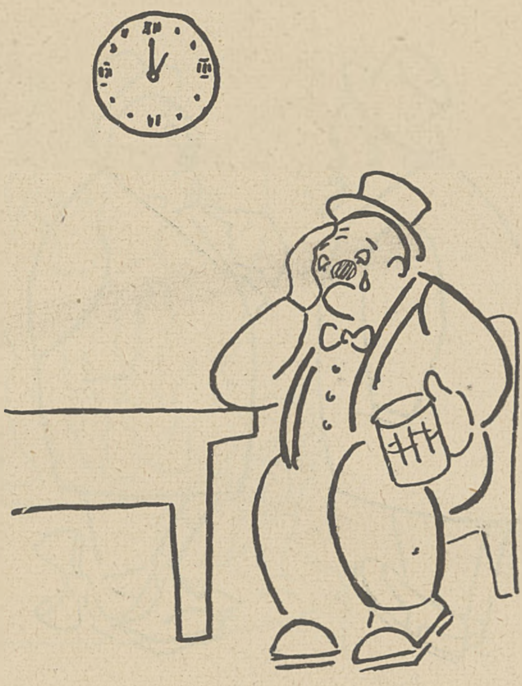
A teraz obrazek z Niemiec, kraju, gdzie już nie tylko papieros, ale i cygaro jest nierozłącznym towarzyszem obywatela... W wagonie restauracyjnym „Mitropy" 80 podróżnych spożywa obiad. Nie pali nikt! Naraz ktoś, oczywiście cudzoziemiec, po mięsie sięga po papierosa. Kelner rzuca krótkie *„rauchen nicht gestattet"* (palenie nie dozwolone) i idzie dalej. Pan chciałby domowym zwyczajem zlekceważyć przepis, ale rzut oka na sąsiadów odbiera mu odwagę. Rozumie, że nie znajdzie tam nie tylko aprobaty, ale wręcz przeciwnie — gotów otrzymać upomnienie. Teraz westchnąwszy na „dzikie porządki" i „brak swobody", chowa papierosa do papierośnicy.

Manewru z zapaleniem próbuje dwukrotnie, a bezskutecznie. Dopiero po deserze, do czarnej kawy, kelner przynosi popielniczki, a jednocześnie tacę z cygarami i papierosami. Wagon napełnia się dymem. Ale kto go wąchać nie chce, mógł zawczasu zjeść spokojnie i ulotnić się.

Cóż chcecie! Autres pays — autres moeurs!

Kurjer Warszawski 25. VII. 38. *J. Poker.*

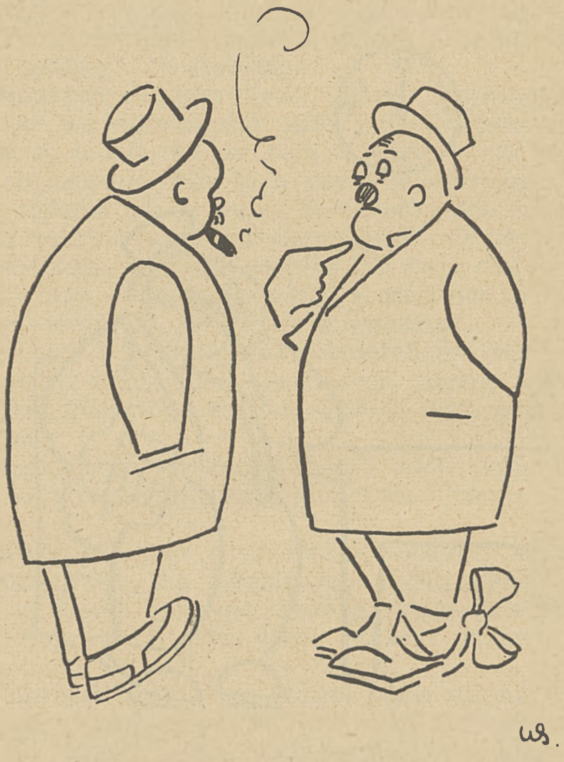
WACŁAW SZULC. — Cztery rysunki.



R o z t e r k a.

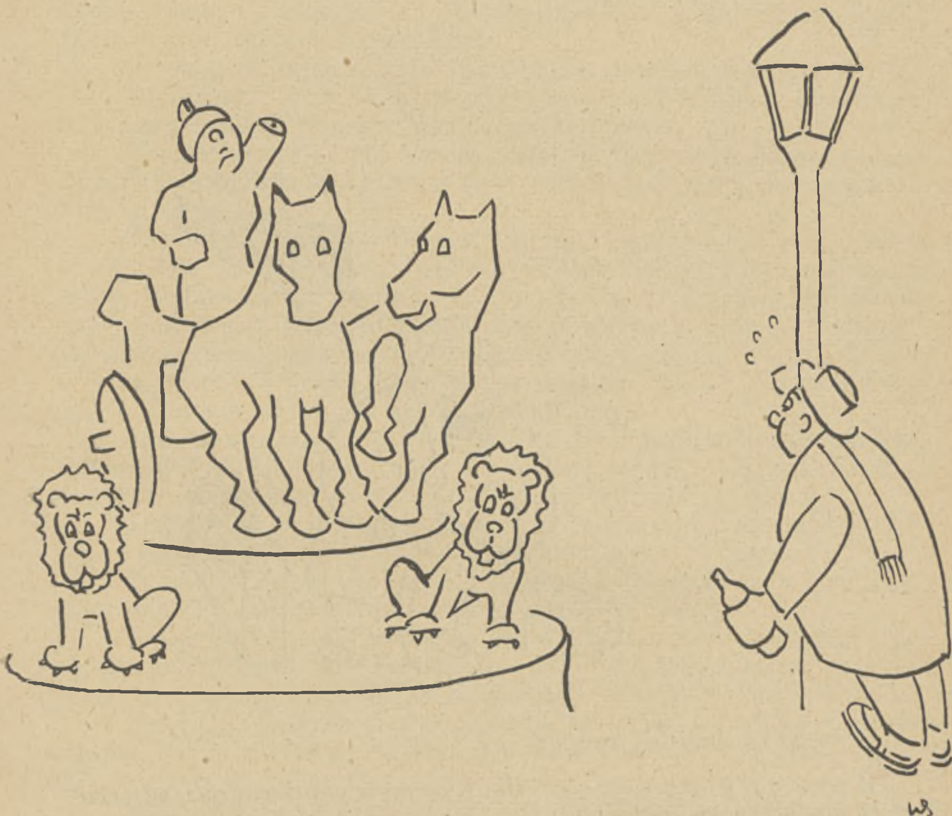
Dlaczego płaczesz?

Nie wiem właściwie, czy mam wypić 1 kufel i wrócić o 12-ej, czy też dwanaście kufli i wrócić o 1-ej.



Nogę sobie skaleczyłeś?

Nie, szyja mnie boli, ale bandaż się zsunął...



Dorooożka! — Do mnie!...



Z czego się pan tak cieszy?

Z a w i a n y p a s a ż e r: Bo ci, co mnie odprowadzali, odjechali, a ja nie zdążyłem wskoczyć!

KRONIKA.

Ś. p. Aleksander Kardynał Kakowski, Arcybiskup Metropolita Warszawski, zmarł dn. 30 grudnia. Obszerne wspomnienie, poświęcone ś. p. Zmarłemu, podamy w następnym numerze.

Akademja „Trzeźwości“. W związku z „Tygodniem propagandy „Trzeźwości“, odbywającym się w całej Polsce pod protektoratem J. E. ks. Kardynała - Prymasa Hlonda i Pana Marszałka Edwarda Śmigłego Rydza — Polskie Towarzystwo walki z alkoholizmem „Trzeźwość“ urządza dn. 5 lutego w Warszawie w Wielkiej Sali Tow. Higjenicznego o godź. 12 uroczystą Akademję Trzeźwości.

Przemawiać będą p.p. Jan Starczewski, Dyrektor Wydź. O. S. i Zdr. Publ. w Zarządzie m. st. Warszawy, ks. poseł Dr. Władysław Padacz, Dr. Kazimierz Jasielewicz i mec. Jan St. Szczerbiński.

W części artystycznej wezmą udział: p. Henryk Domański i p. Kazimierz Szerszyński, 2 orkiestry Tow. „Trzeźwość“, oraz chór tegoż Towarzystwa.

Zjazd Jubileuszowy. Doroczny Zjazd Delegatów Kół Tow. „Trzeźwość“, Koła Abstynentów i Pokrewnych Organizacyj, który ma się odbyć w Warszawie dn. 18 maja 1939 r., będzie miał charakter jubileuszowy; albowiem będzie to dzień XX-lecia założenia Tow. „Trzeźwość“, którego pierwsze, organizacyjne zebranie odbyło się dn. 18 maja 1919 r. w Warszawie, w Wielkiej Sali Pol. Tow. Higjenicznego. — Bliższe szczegóły o Zjeździe podamy w następnym numerze.

Apel Komendanta Gł. Pol. Państw., Gen. Kordjana Zamorskiego. Z powodu Tygodnia Propagandy Trzeźwości, wydał p. Generał Kordjan Zamorski zarządzenie do Policji, w którem czytamy m. in.:

„Trzeźwość w szeregach Policji, to podstawowy warunek sprawnego i sumiennego pełnienia odpowiedzialnej służby bezpieczeństwa.

Trzeźwy i dobrze wyszkolony policjant, to bezstronny i sprawiedliwy opiekun społeczeństwa i niezawodny stróż prawa.

Trzeźwy policjant, to pewny stróż bezpieczeństwa, spokoju i porządku publicznego, to ruchomy propagator trzeźwości wśród najszerszych warstw społeczeństwa w najdalszych zakątkach Państwa.

Trzeźwy policjant, to wartościowy, poważny, honorowy, prawdomówny, godny zaufania i zasługujący na poważanie i szacunek obywatel“.

XIII. Kurs Alkohologji odbył się w Państw. Szkole Higjeny w dn. od 12 do 17 grudnia przy udziale 243 słuchaczy. Obszerniej o Kursie napiszemy w następnym numerze.

Ks. Rektor Dr Wł. Padacz, znany i zasłużony działacz przeciwalkoholowy, został wybrany posłem na Sejm z Warszawy. Składamy ks. Posłowi serdeczne życzenia i wyrażamy nadzieję, że zajmie się skutecznie na terenie parlamentarnym tak b. zaniedbaną tam sprawą walki z alkoholizmem.

Połowa zarobku — na wódkę. Znany pisarz i feljetonista, p. *Zygmunt Nowakowski* w dowcipnym feljetonie, poświęconym Zakładowi uprawy tytoniu w Jagielnicy koło Czortkowa (I. K. C. z 24.X. 38), powiada m. in., że *uderza skrajna nędza* rusińskich wsi, sąsiadujących z Jagielnicą, których ludność za produkowany przez nią tytoń otrzymu-



XIII. Kurs Alkohologji w Państwowej Szkole Hygjeny 12—17.XII. 1938 r.

je 30 miljonów zł. rocznie. I dodaje, że „połowa, dokładnie 50% idzie podobno na wódkę, czyli z jednego monopolu do drugiego"...

„Lot nad Atlantykiem z oceanem wody sodowej" — pod takim tytułem podał „Wieczór Warszawski" reportaż o olbrzymim słynnym locie mjr. Makowskiego dokonanym w czerwcu 1938 r. Trasa lotu 26.000 kilometrów (Los Angeles w Stanach Zjednoczonych A. P. przez Meksyk, Kolumbję, Peru, Czile, Buenos Aires w Argentynie, Rio de Janeiro, ocean Atlantycki, Afrykę Północno-Zachodnią, Włochy, Austrję do Warszawy).W reportażu czytamy: „Kabina pasażerska zamieniła się w sztab operacyjny... W kącie kabiny widać całą baterję butelek.

„Lecieliśmy nad oceanem z „oceanem" wody sodowej i lemonjady" — śmieje się jeden z członków załogi — opowiadając, jakie zapasy żywności mieli ze sobą podczas gigantycznego przelotu.

Walka z Alkoholizmem w Chojnacie (pow. Skierniewicki). O szkodliwości napojów alkoholowych dowiedzieli się mieszkańcy Chojnaty i okolic, gdy do miejscowej Szkoły Powszechnej przybyły nauczycielki p.p. Z. Czeczotówna i N. Potocka, zdecydowane abstynentki. Jako młodzież szkolna poznawaliśmy przeto powyższe zagadnienie i uświadamialiśmy naszych rodziców i znajomych.

Walkę z alkoholizmem na naszym terenie zapoczątkowało i prowadzi od 3 lat Koło Wychowanków Szkoły miejscowej. Delegowało kolejno kol. Józefa Seligę, obecnego stud. S. G. G. W., oraz kol. Stanisława Wieczorka na Kurs Alkohologji, oraz pierwszego na XXI Międzynarodowy Kongres Przeciwalkoholowy w Warszawie, którzy przy ofiarnej współpracy wspomnianych Pań nauczycielek, prowadzą i prowadzić będą prace uświadamiające.

Koło organizuje rok rocznie akademje w Tygodniu propagandy Trzeźwości, oraz prowadzi pogadanki i odczyty dla członków. Mając na uwadze prace, prowadzone równolegle w szkole, stwierdzamy, że wkrótce wyrośnie w Chojnacie i okolicy nowe pokolenie — abstynentów.

Sprawę tę czynnie poparło miejscowe Koło Gospodyń Wiejskich z p. Salamonową, jako prezeską na czele.

W celach propagandowych wystawiło Koło Wychowanków obraz sceniczny Eli Oleskiej: „Wszystko wolno, dawaj wódki", oraz wyświetlone zostały przezrocza, wypożyczone z Tow. „Trzeźwość". Koło otrzymuje miesięcznik „Trzeźwość", który wykorzystuje na świetlicach i odczytach. Za wszelką pomoc składamy Tow. „Trzeźwość" w Warszawie na ręce p. red. Szymańskiego serdeczne podziękowanie.

Grupa abstynentów wzrasta z dniem każdym, tak, że przewidziane jest już utworzenie Sekcji Abstynentów przy Kole.

Czyniliśmy próby urządzania zabaw bez napojów alkoholowych i przekonaliśmy się, że w akcji tej naczelną przeszkodę stanowi karczma, mieszcząca się tuż przy kościele i szkole.

Przeobrażenie naszego terenu pod względem moralnym i kulturalnym, nastąpi szybciej, gdy współpracować będą z nami inne miejscowe organizacje, o co gorąco prosimy. Walcząc z alkoholizmem, umożliwiamy rozwój czytelnictwa i oświaty. Chojnata, 10.I. 1939 r.

J. S.

Reklama alkoholu w prasie wzmaga się systematycznie w okresie przedświątecznym i przybiera w tym czasie wprost ogromne roz-

miary. Tak np. obecnie przed świętami Bożego Narodzenia i przed Nowym Rokiem zwiększenie liczby ogłoszeń alkoholowych rzucało się w oczy. Reklama ta nie omija *żadnych* kierunków politycznych, społecznych, religijnych, dociera wszędzie, przemawia *do wszystkich.*

W niektórych z tych ogłoszeń gwiazda betleemska rzuca swe promienie na butelki z alkoholem. Piękny, poetyczny symbol, jakby towarzyszy i uświęca truciznę, czającą się w tych butelkach... Czego to się nie robi dla... dochodu...

Na „Dekadach „Trzeźwości“ przemawiać będą: 30.I, p. Dr *Z. Rozen,* 10.II, p. Dr *P. Radło,* 20.II, p. Dr *M. Kaczyński* i *1.III,* p. red. *St. Biernacki.*

Bydgoszcz. Na konferencji księży moderatorów Bractw Wstrzemięźliwości m. Bydgoszczy i okolicy w sprawie walki z alkoholizmem stwierdzono m. in. *wzrost alkoholizmu,* oraz w związku z tym smutnym faktem konieczność wzmożenia akcji trzeźwościowej, a także energicznego zwalczania nierządu.

Zjazd Stowarzyszeń Polskiej Młodzieży Ewangelickiej w Wieluniu dn. 30.X. 1938 r. powziął m. in. następującą uchwałę: „Zjazd uchwala, iż Stowarzyszenia zajmą się *zagadnieniem alkoholizmu* na swych terenach i zwraca się do specjalnego pracownika ks. T. Wojaka, aby, jako kierownik młodzieżowy, z urzędu tę sprawę poruszył wśród innych Towarzystw“.

Wzrost zużycia alkoholu do celów technicznych. W r. 1938 nastąpił w Polsce silny wzrost sprzedaży spirytusu do celów technicznych, a zwłaszcza, jako paliwa do motorów samochodowych. W r. 1937 na cele techniczne poszło 27,6 miljonów litrów spirytusu, a w r. 1938 około 40 milj. litrów. Dla motorów automobilowych: w r. 1936 — 3 milj. l., w r. 1937 — 10 m. l. i w r. 1938 przeszło 20 milj. litrów czystego 100^0 alk.

Masowe tajne gorzelnictwo w Nowosielcach. Przez dłuższy okres czasu w Nowosielcach uprawiano tajne gorzelnictwo i władze skarbowe natrafiały na wielkie trudności przy wykryciu potajemnego wyrobu spirytusu. Ludność bowiem solidarnie brała udział w przestępstwach, nie chcąc wydawać sprawców. Dopiero po żmudnych inwigilacjach i dłuższych dochodzeniach Brygada Ochrony Skarbowej wykryła całą tę szajkę konkurentów Monopolu Spirytusowego. W czasie licznych rewizyj zajęto aparaturę oraz większą ilość samogonki, przyczem ustalono, że Andrzej Mroszczyk za wynagrodzeniem wypożyczał ludziom aparaturę do pędzenia samogonki. Mroszczyk został aresztowany, a ponadto odpowiadać będą przed sądem mieszkańcy Nowosielec oraz okolicy.

Stwierdzono, że samogonka produkowana była z melassy, którą tamtejsza ludność nabywała w cukrowni wzamian za ziemniaki. *(I.K.C.)*

Naczelna potrzeba Polski. Na Ogólnopolskim Zjeździe wójtów w listopadzie w Warszawie w im. P. Premjera, gen. Sławoja Składkowskiego przemawiał Wiceminister Spr.Wewn., p. Korsak, który powiedział m. in., co następuje:

„Musimy iść naprzód, opierając się o własne siły.

Rząd w miarę sił i możliwości robi wszystko, aby ulżyć gminie w jej położeniu, aby stworzyć dla niej i ludności warunki jak najszerszego rozwoju. Ale nie łudźmy się. Nie zapowiadajmy wzajemnie rzeczy, których nie potwierdzi życie. Zrobiliśmy już bardzo wiele i potrafimy

wiele zrobić. Ale po to, aby usunąć ślady wiekowego obcego panowania, aby podnieść naszą wieś i gminę na taki poziom, jak tego wymaga interes Polski, potrzeba jeszcze dalszych dwuch dziesiątków lat zgodnej, wytężonej pracy wszystkich" — i, dodalibyśmy: „w warunkach absolutnej trzeźwości". Ileż „wytężonej pracy" idzie u nas na marne wskutek panujących obyczajów pijackich!

Straszny, tragiczny bilans. Prasa podaje liczby o wzroście przestępczości wśród nieletnich w Polsce. Dn. 1.I. 1937 r. było 1663 nieletnich — do lat 14 — pozbawionych wolności (w tem 1447 chłopców), a 1.I. 1938 r. było 2.109 nieletnich pozbawionych wolności (w tem 1749 chłopców). Liczba nieletnich skazanych na umieszczenie w Zakładach zabezpieczających wynosiła dn. 1.I. 1935 r. — 351, dn. 1.I. 1937 r. — 896 i dn. 1.I. 1938 r. — 1.749.

Wzrasta również liczba przestępstw, popełnionych przez nieletnich, a stwierdzonych prawomocnymi wyrokami sądowymi. W 1935 r. liczba tych przestępstw wynosiła 23.217, w 1936 r. — 26.061. Wśród przestępstw są wszystkie rodzaje zbrodni, jakie zdarzają się śród dorosłych, nie wyłączając zabójstw, sutenerstwa, rozboju i t. d.

W ciekawy sposób rozkłada się przestępczość nieletnich na okręgi sądów apelacyjnych, a mianowicie: warszawski w 1935 r. — 6.584, w 1936 r. 6.541, lubelski w tychże latach 2.311 i 2.628, wileński 1.786 i 2.245, poznański 5.489 i 6.285, katowicki 1.330 i 1.452, krakowski 2.618 i 3.396, lwowski 3.099 i 3.514. Spadek liczby przestępstw widać jedynie w okręgu warszawskim, znaczny wzrost w poznańskim, krakowskim i lwowskim.

W 1931 r. nie umiało czytać ani pisać w miastach w wieku do lat 10 — 12,2 proc. młodzieży, w wieku od 10 do 14 lat — 2,3 proc., od 15 do 19 lat — 4,2 proc.

W tragicznem zjawisku przestępczości nieletnich — ogromną rolę gra alkoholizm środowiska, z którego dzieci pochodzą i co za tem nieodłącznie idzie — alkoholizm dzieci.

„Wrażenia z Zakopanego". W związku z art. p. M. Sokalówny pod powyższym tytułem, umieszczonym w poprzednim N-rze „Trzeźwości" (str. 432) — nadesłano nam interesujący wycinek z „I. K. C." — treść tej ciekawej notatki podajemy w całości i bez jakiejkolwiek zmiany:

„Na pocztówce.

Do Redaktora „Il. Kuryera Codz.".

„Jeśli niedzielne tańce i zwyczaje regionalne wsi podhalańskiej w Zakopanem były tem, co pokazuje się *najlepszego* nie tylko nam, lecz i zagranicy, przyzna Pan Redaktor, że jest to s k a n d a l! W s t y d! H a ń b a!

Wszystkie tańce bez stylu, formy, rutyny. Śpiewy solowe przed muzyką, to wycie szakali. No, a koroną wszystkiego było bicie się po twarzach danserów. O h y d a! „Figle" polegające na uderzaniu się dwóch ludzi pośladkami, ordynarne. Żłopanie wódki z butelek, potworny brak kultury. Tarzanie się pijaków po ziemi u p o k a r z a j ą c e.

Czy nie ma kulturalnych aranżerów i ludzi dobrej woli na Podhalu? Straszne! I żal, że to... tak wygląda kultura polskiej wsi.

Z poważaniem
Natalja Wrzywicka".

Gościejewo. Dyrektor Zakładu, p. Dr *Z. Szczepański* ustąpił na własną prośbę z zajmowanego stanowiska; obowiązki Dyrektora pełni obecnie p. Dr *Aleksander Żuk-Skarszewski.*

Kooperatystki przeciw alkoholizmowi. Koło Kooperatystek na Pradze w Warszawie urządziło dn. 11 października 1938 r. odczyt z dyskusją o alkoholizmie. Prelegentem był p. red. Jan Szymański. Odczyt był ilustrowany licznemi tablicami statystycznemi. Prelegentowi zadawano liczne pytania.

Polskie jabłka i niemiecki „płynny owoc". Pisma podają wiadomość, że niemiecki przemysł przetwórczy zainteresował się importem z Polski owoców, zwłaszcza jabłek, dla przerobu na t. zw. płynny owoc. Przy ustalaniu jesiennych kontyngentów w obrotach handlowych polsko-niemieckich, mają być uwzględnione również i nasze owoce. „Oby tylko, pisze „Kurjer Czerwony", nie doszło do paradoksalnej sytuacji, że zaczniemy sprowadzać niemiecki płynny owoc, wyrabiany z polskich jabłek".

Przemyt polskiej wódki. Obostrzono znacznie rewizje celne bagaży emigrantów polskich, udających się za ocean z portów francuskich i angielskich. Przyczyną tych utrudnień są przypadki przewożenia przez emigrantów nieoclonych przedmiotów, głównie zaś polskiej wódki.

Poradnie sportowo-lekarskie. W grudniu na posiedzeniu Rady Naukowej Wychowania Fizycznego był m. in. wygłoszony referat kpt. D-ra Grodzkiego: „O działalności poradni sportowo-lekarskich w Polsce". Proponuje się zorganizowanie takich poradni w 89 Ośrodkach Zdrowia w przeciągu 4 lat. Projekt bardzo ważny — miejmy nadzieję, że poradnie te w dostatecznej mierze uwzględnią zagadnienie alkoholizmu, gdyż w obecnych warunkach w niejednym wypadku jest on w sporcie naszym wprost popierany i kultywowany.

Robotniczy Klub Sportowy „Rakowiec" urządził dn. 8 grudnia „Uroczystą Akademję Sportowo-antyalkoholową" z obszernym programem. Młodzi organizatorzy Akademji zwrócili się do Towarzystwa „Trzeźwość" z prośbą o pomoc w urządzeniu tej uroczystości. Ciekawe były pobudki, które skłoniły kierowników wymienionej organizacji do zwrócenia uwagi na konieczność walki z alkoholizmem; gdy klub rozpoczął niedawno działalność na terenie Rakowca (dalekie peryferje Wielkiej Warszawy), okazało się, że ogromną przeszkodą, wprost uniemożliwiającą prowadzenie zamierzonej pracy, jest alkoholizm, zakorzeniony wśród młodzieży. Aby umożliwić właściwą pracę — należało zacząć od walki z alkoholizmem. Z ramienia Tow. „Trzeźwość" wziął w Akademji, jako prelegent, udział p. sen. Aleksander Iżycki, a w części artystycznej, orkiestra Tow. „Trzeźwość". Wiersze przeciwalkoholowe deklamowali p.p.: Czesław Konopski, Eugenja Gajewska, Halina Górnicka, Irena Krawczykówna, Stanisław Orłowski i Marja Kotlarkówna. — Publiczność zebrana bardzo licznie, gorąco przyjmowała mówców i występy artystyczne.

Mistrz olimpijski o alkoholu i nikotynie. *Birger Ruud,* znakomity narciarz, dwukrotny zwycięzca olimpijski (1932 i 1936), powiedział: „alkohol i nikotyna prowadzą sportowca na dziady". *(„Świt").*

Do numeru tego załącza się portret ś. p. Prof. D-ra Pawła Gantkowskiego, oraz *treść pisma za rok 1938.*

DRUK UKOŃCZONO DNIA 27 STYCZNIA 1939 ROKU.

POLSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA, Sp. z ogr. odp., SENATORSKA 17. TEL. 251-58

TABLE DES MATIÈRES:

Polska Drukarnia Nakładowa, sp. z ogr. odp., Warszawa, Senatorska 17. Telef. 251-58.